

ZAPAŚĆ DEMOGRAFICZNA. SENATOR GRZEGORZ BIERECKI APELUJE: POLACY, WRACAJCIE DO POLSKI!



WIDMO REWOLUCJI KRĄŻY NAD EUROPĄ

UKRAINIEC W POLSKIM RZĄDZIE. CZYJE INTERESY REPREZENTUJE?



ZIOBRO W AMERYCE, TUSK I ŻUREK UPOKORZENI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

21 (703) 2026
18–24 maja 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)





TYLKO U NAS

HIPOKRYTA

DONALD TUSK JEDNEGO DNIA ATAKUJE KOŚCIÓŁ, DRUGIEGO „MA IDENTYCZNE POGLĄDY" Z PAPIEŻEM, A NASTĘPNEGO ZAPOWIADA „MAŁŻEŃSTWA" HOMOSEKSUALNE. TEN CYRK TRWA OD LAT

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

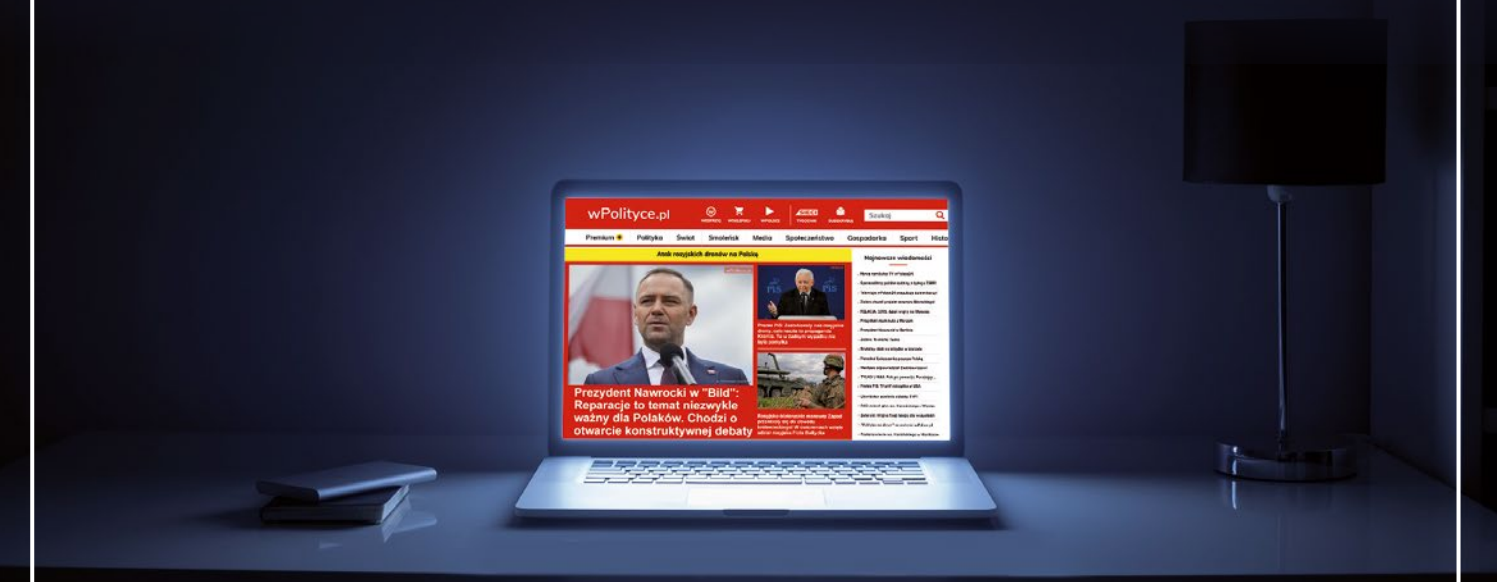
9 772544 269601 21

Numer w sprzedaży do 25 V 2026 r.

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Techno party, czyli wszystko na sprzedaż



Wieloletni dyrektor Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie Paweł Jaskanis został odwołany z zajmowanej funkcji. Wszystko po tym, jak na dziedzińcu pałacu zorganizowano koncert techno, na który wpuszczono aż 7 tys. osób. Impreza z cyklu Circoloco od początku była krytykowana, ale jak wskazał były minister kultury Piotr Gliński, resort dobrze wiedział o jej organizacji. Mimo że agencja Awake Events gwarantowała, że zabytek zostanie otoczony ochroną, wojewódzki konserwator zabytków szybko wskazał na rażące naruszenia. Chodziło o wielki hałas, użycie ciężkiego sprzętu i pirotechniki, szkodliwych dla zabytków i parkowej fauny. Zgoda została wydana ze względu na korzyści finansowe muzeum, które za rządów Tuska jest po prostu niedofinansowane.

Sprawa wywołała słuszne oburzenie. Po wizji lokalnej okazało się, że konieczna będzie rekultywacja trawników, na które żaden turysta, kupując bilet, nie ma przecież wstępu. Co ciekawe, podobna sytuacja miała miejsce już trzy lata temu, gdy odbyła się tam Wielka Aukcja Charytatywna Top Charity 2023. Jej organizatorem była należąca do Omeny Mensah OmenaArt Foundation. Ta sama fundacja została mecenasem imprezy techno, a sam Jaskanis – jak się okazało – zasiadał w jej radzie artystycznej. Tutaj w ogóle unosi się zapach – a może smród – sporych pieniędzy, gdyż w ostatnich latach gwiazda TVN wpłaciła niemal milionową darowiznę na rzecz wilanowskiego muzeum. Do tego minister Cienkowska, która teraz jest oburzona, wzięła udział w organizowanej przez nią wycieczce do Ghany, ale jak zastrzega... prywatnie.

Dyrektor objął swoją funkcję 24 lata temu. Przyszedł w trudnej sytuacji, gdyż pałac był zadłużony i wszystko – mury, elewacje, posadzki, rzeźby – wymagały zaległych remontów. Trzeba przyznać, że dobrze przysłużył się temu miejscu, znakomicie przywracając mu świetność. Dlatego był w stanie przetrwać zmiany kolejnych ekip władzy i współpracować z każdą z nich, także z minister Hannę Wróblewską, która pod koniec 2024 r. nieoczekiwanie zdecydowała, że dyrektor zostanie na swoim stanowisku.

Od początku sposobem na ratowania kiepskiego budżetu muzeum było m.in. organizowanie na jego terenie imprez komercyjnych. Np. w 2004 r. dyrektor po raz pierwszy wynajął barokowy pałac na wesele starszego syna Jerzego Staraka. Gdy sprawa wyszła na jaw i pojawiły się obawy, że zabawa weselna może zaszkodzić pałacowym posadzkom, ogrodom i eksponowanym dziełom sztuki, w ostatniej chwili przeniesiono ją w inne miejsce. Mimo to zaczęło się wtedy coraz częstsze urządzanie imprez w zabytkowych obiektach. Tych samych, w których zwiedzający podlegają ścisłym obostrzeniom.

Jednocześnie dyrektor zawsze był wrażliwy na zagrożenia grożące barokowemu kompleksowi pałacowemu, np. wtedy, gdy planowano budowę Miasteczka Wilanów. To on przygotowywał ekspertyzy dotyczące groźby obniżenia poziomu wód gruntowych w parku w sytuacji, gdy setki hektarów ziemi zostaną zabetonowane. Zawsze był wyczulony na groźbę degradacji krajobrazu, m.in. przez galerie handlowe, niestosowne reklamy, oraz był przekonany, że pałac oraz ogromne ogrody są centralnym elementem architektonicznym dzielnicy, która jeszcze niedawno przywoływała wyglądem swój wiejski charakter.

Teraz popełnił błąd, który kosztował go stanowisko. Być może tylko dlatego, że czuł się absolutnie pewnie, będąc jednocześnie opiekunem zespołu pałacowego, któremu przywrócił dawny blask, a zarazem rzutkim menedżerem, szukającym dla kierowanej przez siebie instytucji pieniędzy za wszelką cenę, nie licząc się z tym, jak jego działania zostaną odebrane i jakie będą miały skutki. Tym razem naraził się mieszkańcom Miasteczka Wilanów, typowej „warszawki", stanowiącej trzon wyborców koalicji rządzącej, którym nie pozwolił spokojnie spać. A przede wszystkim politykom KO, na których spadła słuszna i powszechna krytyka za pozwolenie na huczną imprezę w miejscu, w którym nigdy nie powinna się odbyć. A odbyła się dlatego, że muzeum w Wilanowie jest przez nich niedofinansowane.

Maciej Walaszczyk

Autopromocja

eprasa.pl 88714e0595

SIECI

spis treści



38 **TVP ma szansę na zbawienie**
Maciej Walaszczyk



40 **Polityka w stylu pop**
Konrad Kołodziejski



61 **Rozśpiewane gorzkie dziś**
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **LUDZIE I ZASADY**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PODRÓŻE MINISTER ZDROWIA**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **AKCELERATOR VON DER LEYEN, CZYLI JAK BRUKSELA PRZYSPIESZA PO WŁASNE BANKRUCTWO**
Daniel Obajtek

13 **KTO WYGRA ŚWIATOWĄ RYWALIZACJĘ?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA NATI ISHIGAKI**
Michał Korsun

16 **AFRYKA I EUROPA W NOWYM ŚWIECIE INTERESÓW**
Arkadiusz Mularczyk

17 **SZTUCZNI INTELIGENCI W CZASACH SZTUCZNEJ INTELIGENCJI**
Jan Pietrzak

17 **DYPLOMATOŁKI**
Samuel Pereira

18 **MYŚLĘ, ŻE MYŚLĘ...**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **HIPOKRYTA**
Marzena Nykiel

KRAJ

24 **UKRAINIEC W POLSKIM RZĄDZIE**
Stanisław Janecki

27 **ZIOBRO W USA, ZGRZYTANIE ZĘBAMI W KRAJU**
Piotr Gursztyn

30 **UPOKORZENI**
Jan Rokita

33 **POLACY, WRACAJCIE DO POLSKI!**
Z Grzegorzem Biereckim rozmawia Jerzy Szmit

36 **WYMIERAMY!**
Dorota Łosiewicz

38 **TVP MA SZANSĘ NA ZBAWIENIE**
Maciej Walaszczyk

OPINIE

40 **POLITYKA W STYLU POP**
Konrad Kołodziejski

43 **DRUGA JAPONIA CZY DRUGA GRECJA?**
Dariusz Matuszak

ŚWIAT

46 **WIDMO REWOLUCJI KRĄŻY NAD EUROPĄ**
Marek Budzisz

49 **WSZYSCY RAZEM NA KOZETCE**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

52 **PRAWDA O ZWYCIĘSTWIE POD MONTE CASSINO**
Stanisław Płużański

55 **KARA ŚMIERCI DLA ŻYDOWSKIEGO POLICJANTA. ZBRODNIARZ CZY OFIARA?**
Piotr Gontarczyk

GOSPODARKA

58 **WIERZYMY W TĘ INICJATYWĘ**
Z Beatą Daszyńską-Muzyczką i Pawłem Nieradą rozmawia Maciej Wośko

SIECI KULTURY

61 **ROZŚPIEWANE GORZKIE DZIŚ**
Jolanta Gajda-Zadworna

63 **PO PROSTU PANI STASIA**
Maciej Walaszczyk

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

NATURA DLA LUDZI

66 **ZIELONY GIGANT Z GŁĘBIN**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

68 **MOJE SMAKI: LILLA WYJADŁOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **LALKI BEZ OCZU**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **LARA, MONICA, PIJAK, RUBIKON**
Ryszard Czarnecki

74 **ROZMIAR KAPELUSZA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 88714e0595

BRONISŁAW WILDSTEIN

Ludzie i zasady

Wiele napisano już o byłym przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski abp. Józefie Michaliku; ostatni numer „Sieci" otwiera kompetentny wstępniak na jego temat autorstwa Marzeny Nykiel i ja z pewnością nic nowego na jego temat nie mam do dodania. Moja osobista perspektywa może jednak wnieść coś w postrzeganie tego wybitnego kapłana. Piszę o nim jako jego duchowy dłużnik. Miał poważny udział w tym, że odnalazłem się w katolickim Kościele, m.in. udzielił mnie i mojej żonie ślubu, przekształcając nasze wieloletnie, „cywilne" małżeństwo w sakramentalny związek.

Poznałem go na spotkaniach z grupą zainteresowanych sprawami Kościoła dziennikarzy, które zaczął organizować jako przewodniczący KEP. Od początku uderzył mnie autentyzm zainteresowania, jakim darzył swoich rozmówców. Kiedy poznałem go nieco bliżej, wrażenie to pogłębiło się. Jego realna postawa była zaprzeczeniem wizerunku, jaki tworzył główny nurt medialny: zimnego i twardego fundamentalisty. Bardzo podobne odczucie miałem wcześniej, w trakcie dwóch spotkań z papieżem Benedyktem XVI. Był to radykalny kontrast między karykaturą „żelaznego kardynała", nieludzkiego doktrynera, jakim miał być Józef Ratzinger, a niezwykle ciepłym i ujmującym człowiekiem, na jakiego trafiłem. Powinniśmy się przyzwyczaić, że świat, który kreują dominujące, liberalne media jest zaprzeczeniem realności.

Sprawa nie ogranicza się do deprecjonowania duchownych, którzy bronią integralności religii, chociaż z pewnością ma również ten wymiar. Dla reprezentantów liberalnej mentalności obrona zasad wiąże się z nieczułością, brakiem empatii i zrozumienia. Samo pojęcie grzechu czy fundamentalnego zła jest dla nich nie do zaakceptowania. Jeśli mają „tolerować" Kościół, to wyłącznie jako automatyczną pralnię duchową, która zobowiązana jest hurtem odpuszczać wszystkie występki: przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. Jedynym złem ma być brak bezwarunkowego „wybaczenia". Kapłani, którzy trzymają się zasad religii, stają się wrogami i mają nie rozumieć, że Kościół, żeby przetrwać, musi „nadążać za czasem". Ma zatem upodabniać się do epoki, która emancypuje się z wszelkich ograniczeń: moralnych i mentalnych, kulturowych i naturalnych.

Walcząc o emancypację, liberalny jej duch kreuje nieludzki świat „spadania", jak określił go Tadeusz Różewicz. Rzeczywistość bez punktów odniesienia i zaczepienia, w której człowiek nie potrafi się odnaleźć. Wolność samotnych jednostek, które stają się łatwym łupem silniejszych. Kościół, który podąża za tą nowoczesnością zatraca swoje powołanie i sens istnienia. Roztapia się w nieustającym procesie zmiany, który wszystko, a zatem i człowieka, pozbawia tożsamości.

„To był człowiek Kościoła, który prezentował pełny integralizm, wręcz fundamentalizm religijny. Pamiętajmy też, że biskupem został w 1986 r. dzięki Janowi Pawłowi II. Należał do tego pokolenia biskupów, wykreowanych jeszcze przez naszego papieża. Wcześniej był jego bardzo bliskim współpracownikiem w Rzymie [...] Mówiąc krótko: był przedłużeniem tej samej wizji Kościoła konserwatywnego, fundamentalistycznego, którą prezentował JP2. On się wręcz szczycił swoją przyjaźnią z papieżem" – oburza się dla Onetu prof. Stanisław Obirek, dla którego przyznawanie się do przyjaźni z Janem Pawłem II to ewidentna bezczelność. „Zabetonował polski katolicyzm na długie lata" – podsumowuje swoją mowę pogrzebową były jezuita, który wcielił w życie wizję Kościoła otwartego tak bardzo, że zrzucił habit i stał się profesorem od tropienia jego nieprawości.

Wypowiedź Obirka oddaje ton liberalnych mediów, w których określenie „kontrowersyjny" jest stałym, acz stosunkowo łagodnym epitetem wobec zmarłego hierarchy.

Ich potępienia potraktować należy jako laudację. Walka o tożsamość Kościoła i religii ze strony przewodniczącego KEP była obroną instytucji, która daje szanse przetrwania człowiekowi. Empatia i otwartość na ludzi kazała mu występować na rzecz elementarnych zasad, które wyznaczają człowieczeństwo.

Michalik podkreślał, że zabieranie głosu w sprawach znaczących, które rozstrzyga polityka, nie jest „polityzacją" Kościoła, ale jego obowiązkiem i racją bytu. Instytucja religijna nie powinna dysponować dywizjami, ale musi mieć wpływ na sumienia wiernych, jeśli ma przetrwać i zachować znaczenie.

Występując na rzecz zasad, Michalik potrafił być niezwykle otwarty nie tylko wobec konkretnych ludzi, lecz także zbiorowości. Dążył do pojednania z Żydami, Ukraińcami czy nawet Rosjanami, co w tym ostatnim wypadku prowadziło do nieporozumień. Kiedy myślę o nim, przypominam sobie głównie jego uśmiech, twarz człowieka pełnego troski o osobę, z którą się spotyka i wręcz zakłopotanego, czy w pełni ją rozumie.

Pozostaje pytanie, czy Michalikowi i podobnym mu duchownym ukształtowanym przez świętego papieża polskiego udało się zabetonować polski Kościół.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 88714e0595



Sygnalista nadaje

Ziobro za oceanem! Nawet Romanowski za wielką wodą! Okropna wiadomość dla osób demokratycznych i praworządnych, szczególnie dla tych zaangażowanych w ruch Silnych Razem. Nadal wierzymy jednak w ideę rozliczeń PiS, bo w coś trzeba wierzyć. Szczególnie teraz, gdy wroga Polsce Uśmiechniętej propaganda rozsiewa pogłoski o rosnącym bezrobociu, odwoływanych wizytach u lekarzy, niedziałających butelkomatach i innych zjawiskach, które obiektywnie są sukcesem rządu Pana Premiera Tuska, ale subiektywnie są przedstawiane jako porażki. PS Jeśli chodzi o Marcina Romanowskiego, to on chyba jest za wielką wodą. Nie wiadomo dokładnie, a jeśli wiecie, to siedźcie cicho, bo jeszcze prokurator Korneluk zaprosi was do prokuratury. Tak jak zaprosił Tomka Sakiewicza. Chociaż jego to powinna zaprosić Państwowa Inspekcja Pracy. Zwłaszcza gdy okaże się, że redaktor Ziobro nie dostanie obiecanego wynagrodzenia za swoją ciężką pracę korespondenta telewizyjnego.

Nie traćmy jednak wiary w zapowiedzi rozliczenia PiS. Ani w sto konkretów i zniesienie limitów przez NFZ. Bo np. pani minister zdrowia Grenda-Jakoštamska (wspaniała kobieta, ale nie ma sensu pamiętać jej nazwiska, bo niedługo będzie odwołana) mówi, że dzisiaj pacjentom jest lepiej. Może i pacjenci nie doczekają się wizyty u specjalisty, ale za to PiS nie rządzi. I z tego powodu wierzymy panu ministrowi Waldkowi Żurkowi. Wprawdzie nie rozliczył jeszcze żadnego pisowskiego aferzysty, ale za to bardzo fajnie o tym opowiada. No i czekamy, aż podniesie klapę od bagażnika, aby ukazać nam leżącego tam związanego Zbigniewa Z.

Zapiszmy też słowa pani minister Grendy-Jakoštamskiej: „Jeżdżę po kraju i widzę, jak się ludzie cieszą". Nie ma wątpliwości, że te skrzydlate słowa trafią do annałów historii i wejdą do potocznej polszczyzny. Opozycja z pewnością o to zadba.

Ucieczka Zbigniewa Ziobry doprowadziła do zaostrzenia sytuacji międzynarodowej. Rząd Ten Kraju uznał przyjęcie zbiega za wrogi gest ze strony reżimu Trumpa. Marszałek Sejmu ***Włodek Czarzasty*** surowo upomniał soldateskę z Waszyngtonu: „Będziemy musieli jako państwo polskie przemyśleć jeszcze raz politykę w stosunku do różnych decyzji, które mamy wspólnie z USA podejmować". To 258. ostateczne ostrzeżenie marszałka Czarzastego pod adresem Trumpa. Pomarańczowy Dyktator powinien wiedzieć, że zegar zagłady znów przesunął wskazówkę do przodu. Polska Uśmiechnięta dysponuje nie tylko bagażnikiem ministra Żurka, lecz także bombą konstruowaną przez pana Albercika z kolektywu S&F (czyli Sajens end Fikszyn). A jeśli ona nie wystraszy Trumpa (co nie jest możliwe, bo dla niej niet analoga w mirie), to zawsze zostaje broń ostateczna, czyli uchwała Sejmu!

Wracając do marszałka. Potępiamy brutalną agresję ***Ewy Zajączkowskiej-Hernik***, która zaatakowała drugą osobę w państwie: „Ten komuch, u którego lewicowa indoktrynacja wjechała tak mocno, że identyfikuje się jako prezydent, uważa, że Polska powinna się wzorować na polityce migracyjnej hiszpańskiego rządu i nazywa ją »mądrą«" – ogłosiła ta oszalała z nienawiści i nietolerancji osoba konfederacka o nieustalo-

eprasa.pl 88714e0595

nej tożsamości konfederackiej, bo została wyrzucona z Konfy WiN przez Sławka Mentzena, ale nie wiadomo, czy została już przyjęta do Konfy KP przez Grześka Brauna. Powodem ataku były słowa pana marszałka w tonacji dawno niesłyszanej, że Hiszpania to fajny kraj, od którego możemy się uczyć, bo przyjęła 800 tys. imigrantów i traktuje ich jako szansę, a nie zagrożenie. Czyli widzi w nich osoby lekarskie i inżynierskie uwięzione w ciałach analfabetów. No i że dzięki nim jest ubogacenie kulturowe. Potępiamy atak osoby Zajączkowskiej-Hernik i dziękujemy panu Sławkowi Mentzenowi za to, że wyrzucił ją ze swojej demokratycznej i postępowej partii. A osobę Zajączkowską-Hernik upominamy o stosowanie języka tolerancji i inkluzywności. Bo nie można atakować Włodka Czarzastego za to, że jest osobą prezydencką uwięzioną w ciele osoby marszałkowskiej.



Demokratyczna opinia publiczna z uwagą obserwuje ewolucję pana Sławka Mentzena w pozytywną stronę. Widać, że pod jego światłym kierownictwem Konfederacja ma szansę stać się polskim Jobbikiem, czyli przejść na właściwą stronę sceny politycznej i z niej zniknąć. Doceniamy ogromny wkład pana Sławka w walce z pisowskim zagrożeniem. Pochwała i uścisk dłoni Pana Premiera należą się także za kolejne działania. Pan Sławek ogłosił, że polexit jest zły, bo nie ma życia poza Unią. „Są osoby, które mówią, że trzeba wyjść z Unii. Tylko po co? Wielka Brytania wyszła i ma gorzej" – powiedział Sławek. My, Unijczycy polskiego pochodzenia, wiemy to od dawna, bo Radek Sikorski mówi o tym bez przerwy, ale dla prawactwa to szok.



Sławek Mentzen jest zresztą obrażony na Brytoli, bo nie czekali na niego z kwiatami i czerwonym dywanem. Ale prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, a właściwie przy piwie w pubie Mentzen. Tyle było jazgotu o to, że Sławek usługiwał tam Radkowi Sikorskiemu i jego kamaryli, ale się opłaciło. Jakieś kłopoty na lotnisku w Londynie? Telefon do przyjaciela i załatwione. Radek obdzwonił, kogo trzeba i odczepili się od Sławka. A tego Jenota z PiS nie wpuścili!



Wróćmy jeszcze na moment do działań odwetowych, które spotkają USA za udzielanie schronienia pisowskim zbrodniarzom. Robi się naprawdę groźnie, bo głos zabrał także ***Roman Koń-Giertych***. „Jest to wrogi akt ze strony administracji Donalda Trumpa. To osobista decyzja Trumpa, która kładzie się cieniem na relacje polsko-amerykańskie" – stwierdził, goszcząc w Telewizji w Nieustającej Likwidacji u naszej ulubionej redaktor Doroty Obławy-Augustowskiej.



Wszystkie te kłopoty i troski zaprzątają Pana Premiera Tuska i zabierają mu cenny czas, który mógłby poświęcić na coś innego. Nie tylko na sesje fotograficzne z wnukami, lecz jeszcze bardziej na oglądanie albumów z malarstwem. Cała Koalicja Obywatelska kupuje sobie teraz takie albumy i stawia na honorowym miejscu w salonach swych skromnych willi, odkąd jej członkowie dowiedzieli się, że to ulubione zajęcie Pana Premiera. Poświęca mu poranki, przedpołudnia i popołudnia, chyba że czasem trzeba odbyć posiedzenie Rady Ministrów (brr, straszna nuda). Na szczęście praca nie zając i nie ucieknie, więc można spokojnie oglądać te albumy. A wieczorem cygaro albo wino. Tak trzeba żyć!

Nawet papież Leon wie o tej pasji Pana Premiera i sprezentował mu album z jakimiś obrazkami. W Watykanie kler nazbierał sporo tych bohomazów, więc papież miał z czego zrobić album dla Pana Premiera.

Jeśli chodzi o kulturę bardzo wysoką, to plebs, zwłaszcza prawacki, awanturuje się o imprezę techno w Wilanowie. O co chodzi? Stoi tam w chaszczach jakaś stara rudera, której żaden normalny człowiek by nie odwiedził. No i podobno nie można tam hałasować ani deptać po trawniku. Najgorsze, że przyczepili się o to do Rafała, że niby on winny. A Rafał nic nie wiedział o tej imprezie. I to prawda, bo Rafał w ogóle nie wie, co dzieje się w Warszawie.

Tomek Lenz wyleciał z Koalicji Obywatelskiej. To kara za głupotę. Czyli za to, że pojechał do szpitala, gdzie dyrektorem jest facet, z którym ma kosę. Więc zakapował Tomka. A gdyby Tomek pojechał do każdego innego szpitala w województwie, nikt by się o tym nie dowiedział. Tomkowi jednak nie współczujemy, bo wiemy, że da sobie radę. To mistrz partyjnego survivalu. Wyrzucony oknem, wróci kominem. Zakład? Zobaczycie sami w następnej kadencji!

PiS proponuje ustawę zakazującą inwestowanie w kryptowaluty. Bo to niebezpieczne. Dobry pomysł, ale zbyt skromny. Jest propozycja, aby zakazać jazdy samochodami, bo to też niebezpieczne. Jest problem z koleją żelazną, bo jej pęd także jest niebezpieczny, a w okolicy torów kury przestają nieść jaja. PS Mamy pytanie do chłopaków z PiS (i dziewczyn): jak tam „piątka dla zwierząt"? Może być wrócić do tego świetnego pomysłu?

Fot. Liudmyla Skwarczyńska, M. Czutko, Julita Szewczyk, Facebook

eprasa.pl 88714e0595

WIEŻA BAB

Podróże minister zdrowia

Mamy do czynienia z cichą prywatyzacją ochrony zdrowia, wypychaniem ludzi do komercyjnego systemu pod presją bezradności

Słowa Jolanty Sobierańskiej-Grendy brzmią dziś jak podręcznikowy przykład politycznego odklejenia od rzeczywistości. Gdy w ubiegłym tygodniu na antenie TVN24 minister zdrowia zapytana o to, kiedy pacjentom w Polsce wreszcie będzie lepiej, odpowiedziała: „Ja myślę, że już jest lepiej", wielu Polaków przecierało oczy ze zdumienia. Kolejna wypowiedź w Polsat News tylko pogłębiła ten obraz. Minister przekonywała, że jeżdżąc po kraju, widzi, „jak ludzie cieszą się z tego, że 18 mld z KPO przynosi realne już korzyści".

Powstaje pytanie: po jakim kraju podróżuje minister zdrowia?

Bo z pewnością nie po tej Polsce, którą codziennie widzą pacjenci i personel medyczny. Nie po tej Polsce, w której starsi ludzie od świtu ustawiają się w kolejkach do rejestracji, licząc, że uda im się dostać termin na wizytę jeszcze w tym roku. Nie po tej Polsce, w której pacjenci miesiącami czekają na diagnostykę, a w której odwoływane są zabiegi, bo pieniędzy na podstawowe funkcjonowanie systemu po prostu brakuje. Nie po tej Polsce, w której kobiety z mniejszych miejscowości dowiadują się, że ich lokalna porodówka została zawieszona albo zlikwidowana. Nie po tej Polsce, w której coraz więcej obywateli słyszy od lekarza: „Na NFZ termin za rok, prywatnie można w przyszłym tygodniu".

To właśnie tę fundamentalną rozbieżność między propagandowym przekazem resortu a rzeczywistością celnie wypunktował w Sejmie Adrian Zandberg. Jego pytanie – „Komu tak konkretnie jest lepiej?" – powinno wybrzmieć dziś jako oskarżenie wobec całej polityki zdrowotnej rządu Donalda Tuska.

Nie jest zresztą jedynym politykiem, który alarmuje o narastającym kryzysie. Krytyczne głosy płyną ze strony samorządowców prowadzących zadłużone szpitale powiatowe, przedstawicieli środowisk lekarskich oraz opozycji parlamentarnej, która od miesięcy ostrzega, że pudrowanie statystyk i medialny optymizm nie zastąpią realnych decyzji budżetowych. Coraz częściej także eksperci ochrony zdrowia podkreślają, że bez systemowego zwiększenia nakładów i uczciwego planu naprawczego czeka nas dalsza degradacja publicznej opieki medycznej. Bo jeśli spojrzeć na fakty, trudno znaleźć grupę pacjentów, której sytuacja realnie się poprawiła.

Odwoływane badania i operacje nie są incydentem, lecz konsekwencją chronicznego niedofinansowania systemu i gigantycznej luki w budżecie NFZ. Szpitale ograniczają świadczenia nie dlatego, że tak chcą, ale z tego powodu, że państwo nie zapewnia im środków na realizację usług. To pacjenci płacą za tę politykę swoim zdrowiem, bólem i strachem. Każdy przesunięty zabieg to nie abstrakcyjna pozycja w excelowej tabeli, lecz konkretny człowiek pozostawiony dłużej z cierpieniem i niepewnością.

Zamykanie porodówek jest kolejnym symbolem tej zapaści. Władza może opowiadać o „restrukturyzacji", ale dla kobiet w ciąży często oznacza to konieczność wielokilometrowych dojazdów i życie w niepewności. Dla lokalnych społeczności to sygnał, że państwo wycofuje się z gwarantowania podstawowego bezpieczeństwa zdrowotnego. To szczególnie dotkliwe dla mniejszych miast i obszarów wiejskich, gdzie każda likwidacja oddziału oznacza realne pogorszenie dostępności do opieki zdrowotnej.

Najbardziej niepokojące jest jednak to, że publiczna niewydolność systemu staje się paliwem dla ekspansji prywatnych korporacji medycznych. Kiedy pacjent słyszy, że na badanie w publicznym systemie poczeka wiele miesięcy, a prywatnie może je wykonać natychmiast – nawet na raty – nie jest to wybór. To przymus. To cicha prywatyzacja ochrony zdrowia, wypychanie ludzi do komercyjnego systemu pod presją bezradności. Co więcej, odpłatne badania można wykonać także w publicznych placówkach.

Obecna polityka nie naprawia ochrony zdrowia, lecz przyspiesza jej rozwarstwienie. Bogatsi kupują sobie dostęp do leczenia. Biedniejsi czekają, cierpią albo rezygnują. Powstaje system dwóch prędkości – jeden dla tych, których stać na natychmiastową pomoc, drugi dla reszty skazanej na wielomiesięczne oczekiwanie. Minister zdrowia może opowiadać o miliardach i rzekomej radości pacjentów. Problem polega na tym, że w gabinetach lekarskich, na oddziałach szpitalnych i w kolejkach do specjalistów tej opowieści po prostu nie słychać.

Dorota Łosiewicz

Bombowa pożyczka

Ronald Kieł, czyli jak sam o sobie lubił mówić, „najlepszy premier w historii Tenkraju", ze smutkiem patrzył w okno, za którym padał deszcz. Jego podłego nastroju nie zmieniło nawet wejście do gabinetu minister edukacji Barbary Niejakiej – kobiety, która była tak progresywnie ideowa, że świadomie zrezygnowała z wszystkiego, co nawet z daleka pachniało prawą stroną. Do tego stopnia, że nawet obie jej ręce były lewe.

– Ronaldzie, dlaczego jesteś smutny? Przecież wszystko idzie jak po oliwie z oliwek – zapytała z troską Barbara.

– Po jakiej oliwie?! – zdziwił się Kieł. – Chyba jak po maśle.

– Masło jest zwierzęce. Wiesz, ile krów ucierpiało, żeby posmarować jedną kromkę masłem? – Barbara pokazała swoją wrażliwość. – Zresztą nieważne. Skąd twój smutek, Ronaldzie?

– Jestem smutny, bo nie było mnie na zdjęciach z podpisania umowy Sejf.

Baśka zamrugała oczami, co oznaczało zdziwienie:

– Przecież wczoraj mi mówiłeś, że specjalnie nie podpisujesz, żeby nie iść do więzienia, jak Fiona wróci do władzy. Co w sumie jest bez sensu, bo masz tyle za uszami, że i tak skończysz w pierdlu...

– Ty sobie, Baśka, nie pozwalaj, bo zapomnę, że cię lubię – warknął Kieł. – Ja zawsze działam w granicach prawa...

– Tak jak to prawo rozumiemy – wyrecytowała przymilnie Niejaka, wyprężona jak czekista na warcie. Wiedziała, że niezależnie od ich prywatnej zażyłości nie należy drażnić premiera, który, gdy chodziło o jego interes, nie miał żadnych sentymentów. – Wytłumacz mi zatem Ronaldzie, o co chodzi?

– Umowę podpisywali Kamasz i Tumański, bo im kazałem. Wiadomix, że sam nigdy nie podpisuję nic trefnego. Aby w razie czego było na innych. Ale jak już podpisywali, to pomyślałem, że mogłem sobie takie fajne zdjęcie zrobić z tymi papierami. I dać na Igreka z podpisem: „No i co, łyso wam?"...

Nagle otworzyły się drzwi i bez pukania wpadli rozgorączkowani minister finansów Andrzej Tumański i minister obrony Tygrysław Kamasz.

– Oszukałeś nas, Kierowniku – wychrypiał zdyszany Tygrysław.

– Ja? Oszukałem? – Kieł uśmiechnął się szeroko. – Tygrysławie, o co mnie podejrzewasz? Ja przecież zawsze mówię prawdę...

W tym miejscu z gardła wyrwał mu się krótki rechot, ale natychmiast to opanował i udał, że kaszle. – Khe khe. Wybaczcie, troszkę się zaksztusiłem. To w czym rzecz?

– Kierowniku najdroższy, w tej pożyczce Sejf to nie wiadomo, ile mamy oddać. Nie wiadomo, jakie oprocentowanie – powiedział płaczliwym tonem Tumański.

– I co z tego? Przecież pożyczamy od przyjaciół. Nie ufasz im Tumański? – zapytał lekko już rozzłoszczony Kieł.



– Ufam – odpowiedział niepewnie minister finansów. – Ale jest takie powiedzenie: kochajmy się jak bracia, ale liczmy się jak...

– Hola, hola! – przerwał mu Kieł gwałtownie. – Uważaj na słowa.

– No właśnie, słowa mogą ranić! Byłeś bliski mowy nienawiści – dodała z wyrzutem Niejaka.

– Ja nie chcę ranić, ale Kierownik kazał mi podpisać, nie miałem czasu wcześniej przeczytać i teraz się boję... – wyjęczał Tumański.

– Nie jęcz! – Kieł spojrzał na niego z obrzydzeniem. – Nie wiadomo, ile mamy oddać, ale przecież wiadomo, że mnie w Europie nikt nie ogra. Na bank odsetki będą niskie.

Mimo tych słów Tumański nie wyglądał na uspokojonego. Podobnie jak Kamasz, który ze łzami w oczach powiedział:

– Kierowniku, myślałem, że będziemy kupować tylko u polskich dostawców, a od wczoraj ciągle dostaję ulotki firm zbrojeniowych z Niemiec. Nie rozumiem...

– Nie rozumiesz? Co za problem? Mogę przetłumaczyć – przerwał Kieł, ale nie udało mu się uspokoić sytuacji, bo Kamasz tylko zamachał rękami.

– Nie rozumiem, jak to jest, że miały być tylko polskie firmy, a są zagraniczne. Czuję się oszukany Kierowniku, bo jako Tenkrajczyk z dziada pradziada wspieram rodzimy przemysł!

– Ty mi tutaj z dziadkiem nie wyjeżdżaj – Kieł spojrzał na Tygrysława groźnie. – Jak masz coś do mojego dziadka, to droga wolna, nikt cię w rządzie pod pistoletem nie trzyma. À propos pistoletu. Chyba wiecie, że najlepsze na świecie pistolety robią nasi zachodni sąsiedzi. Po co nam tutejsza broń, skoro...

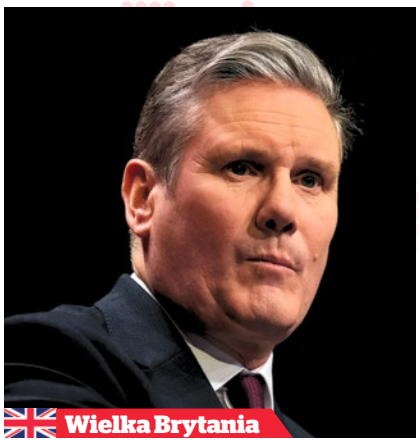
– Lepsza jest w Berlinie – dopowiedziała z automatu Baśka Niejaka.

– Czytasz mi w myślach, Barbaro – uśmiechnął się Kieł i spojrzał na nią pożądliwie, gdyż tego dnia wyglądała naprawdę bombowo.

MuMa

Fot. MuMiN

eprasa.pl 88714e0595



Wielka Brytania

Klęska laburzystów

Wybory lokalne w Wielkiej Brytanii stały się upokarzającą klęską dla Labour Party i urzędującego premiera Keira Starmera [na zdj.], którego przyszłość polityczna wisi na włosku. Tym bardziej że przemówienie wygłoszone przez niego po przegranych wyborach, które miało zmobilizować aktywistów Partii Pracy, rozczarowało wszystkich.

Gra toczyła się o 5 tys. mandatów w 136 radach lokalnych. Dodatkowo odbywały się wybory do parlamentów Szkocji i Walii. Laburzyści stracili większość w 35 radach i 1498 mandatów, co oznacza, że ich stan posiadania spadł o 60 proc. Zdecydowanym zwycięzcą jest Reform UK, która zdobyła 1453 nowe mandaty. Kandydaci tej partii zdecydowanie pokonali laburzystów w ich tradycyjnych twierdzach wyborczych. Nigel Farage, lider Reform UK, występując na konferencji prasowej w Havering, robotniczej i zaniedbanej części Wschodniego Londynu, stwierdził, że to jego formacja jest teraz partią brytyjskich robotników i ludzi pracy.

W dużych miastach dobrze poszło też Zielonym, którzy zwiększyli liczbę swoich mandatów o 440. Niektórzy z nowo wybranych radnych tej partii nawet nie mówią po angielsku – tak jak Areeq Chowdhury, który wygłosił przemówienie po bengalsku.

Wyniki wyborów nie były za to najlepsze dla torysów, którzy stracili 563 mandaty, mimo że utrzymali swój stan posiadania w większości tradycyjnie głosujących na nich okręgów. Okazało się jednak, że tracą oni poparcie, mimo iż są w opozycji, co wcześniej nigdy nie miało miejsca. Wśród konserwatywnych komentatorów pojawiły się głosy, że partia musi pomyśleć o koalicyjnym rządzie z Reform UK, w którym może być partnerem mniejszościowym.

Wyniki w Walii i Szkocji potwierdziły ogólne trendy polityczne. Laburzyści stracili rząd w Walii, gdzie rządzili nieprzerwanie 27 lat, a mandatu nie uzyskała Eluned Morgan, urzędująca premier. Z kolei o dużych zdobyczach – zarówno w Walii, jak i w Szkocji – może mówić Reform UK. Najwięcej głosów zdobyli jednak nacjonaliści. Niewykluczone, że to właśnie oni przejmą władzę w obu krajach.

Gdyby wybory do Izby Gmin odbyły się dzisiaj, Partia Pracy zdobyłaby 15 proc. głosów (w wyborach dwa lata temu miała 33,4 proc.), co równałoby się zepchnięciu jej na trzecie miejsce. Triumfatorem byłaby Reform UK Nigela Farage'a. Do najbliższych wyborów jeszcze cztery lata, co oznacza, że Wielka Brytania, która – jak się wydaje – ostatecznie pożegnała się z systemem dwupartyjnym, wejdzie teraz w czas zawirowań politycznych i słabych rządów.

Marek Budzisz



Hiszpania

Sánchez zalewa Unię imigrantami

W ubiegłym roku socjalistyczny rząd Hiszpanii wydał ponad 1,8 mld euro na pomoc nielegalnym imigrantom, ale już na ochronę zewnętrznej granicy UE tylko 60 mln euro.

Sytuacja jest o tyle dziwna, że pierwotne – i tak kolosalne – środki budżetowe (659 mln euro) przewidziane na ten cel w 2025 r. rosły w tak szybkim tempie, że najpierw zwiększono je do 979 mln, by ostatecznie przekroczyć pułap wspomnianych 1,8 mld euro. W tym celu każdorazowo dokonywano korekt budżetu, zmuszając hiszpańskiego podatnika do finansowania nielegalnej imigracji do własnego kraju. Ok. 1,1 mld euro wydano np. na sfinansowanie sieci humanitarnej, w tym na zapewnienie natychmiastowej opieki dla ludzi przemycanych na teren Hiszpanii łodziami przez organizacje przestępcze.

Rząd w Madrycie rozdziela pieniądze między Hiszpańską Komisję ds. Pomocy Uchodźcom (CEAR), Czerwony Krzyż, Caritas oraz organizacje pozarządowe, a także kieruje je do regionalnych wspólnot autonomicznych. Z tej puli 185 mln euro stanowiły wydatki poniesione przez Wyspy Kanaryjskie, a 115 mln euro – przez Katalonię. Oficjalnie pomoc ta jest rzekomo przeznaczana na objęcie opieką nieletnich i osób ubiegających się o azyl. Koszty ponoszą nie tylko regionalne samorządy, lecz także inne podmioty, np. państwowe przedsiębiorstwo Tragsa, które tylko w zeszłym roku wydało 96 mln euro na budowę obozów dla imigrantów, w tym ich wyżywienie, zapewnienie im bezpieczeństwa i czystości.

Jednocześnie rząd socjalistycznego premiera Pedro Sáncheza osłabił ochronę zewnętrznej granicy Unii, wydając jedynie 60 mln euro na powstrzymanie nielegalnej imigracji, z czego 20 mln pochodziło z budżetu Frontexu. Szacuje się, że na terytorium Hiszpanii mieszka dziś ok. 840 tys. nielegalnych imigrantów; na ten kraj tylko w ubiegłym roku przypadała ok. jedna trzecia całkowitego wzrostu liczby osób urodzonych poza Unią i przebywających na terytorium Wspólnoty. Obecnie hiszpański rząd realizuje program legalizacji pobytu grupy nawet ponad 500 tys. nielegalnych imigrantów, co ma dać im możliwość podejmowania pracy i korzystania ze świadczeń socjalnych.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 88714e0595



Czekając na egzekucję

Arabia Saudyjska

Pod koniec kwietnia w Arabii Saudyjskiej wykonano egzekucje na 3 obywatelach Etiopii. Kolejnym 200 więźniom pochodzącym z tego afrykańskiego państwa także grozi kara śmierci, a 65 z nich może zostać straconych już w najbliższym czasie.

W większości są to imigranci, którzy w latach 2020–2022 opuścili swój kraj z powodu wojny domowej toczącej się w regionie Tigraj. Najczęściej udawali się do Somalilandu, skąd przeprawiali się przez Zatokę Adeńską do Jemenu, a stamtąd w poszukiwaniu bezpiecznej przystani i stabilnej pracy docierali do królestwa Saudów.

Niektórzy przywozili ze sobą liście khatu, czyli czuwaliczki jadalnej – rośliny powszechnie rosnącej w Afryce Wschodniej i na Półwyspie Arabskim. Ma ona silne działanie pobudzające i jest legalnie uprawiana oraz spożywana w Etiopii i Jemenie. Jej żucie ma tam nawet charakter społecznego rytuału. Problem polega jednak na tym, że w Arabii Saudyjskiej ta używka jest traktowana jak narkotyk, a za jej przywożenie i posiadanie grozi kara śmierci, o czym etiopscy migranci nie mieli pojęcia.

Władze w Rijadzie traktują tego typu przestępstwa bardzo poważnie, o czym świadczy rekordowa liczba egzekucji w ciągu ostatnich dwóch lat. W 2024 r. wykonano tam 345 wyroków śmierci, a w 2025 r. – 356. Znaczną część ze skazanych stanowili obcokrajowcy, uznani za winnych przestępstw narkotykowych bez użycia przemocy. Procesy takich osób – jak alarmują organizacje praw człowieka – bardzo często przebiegają bez tłumaczy oraz pomocy prawnej i konsularnej, a zatrzymani podpisują dokumenty w języku arabskim, którego nie znają.

Rząd w Addis Abebie nie upomniał się do tej pory o swoich obywateli znajdujących się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Głos w ich obronie zabrał natomiast Etiopski Kościół Ortodoksyjny. Bp Tesfaselassie Medhin zaapelował o podjęcie natychmiastowych działań dyplomatycznych w celu wstrzymania egzekucji, by uratować ludzi, którzy uciekli ze swojego kraju, chcąc ocalić życie, a ostatecznie wpadli w objęcia śmierci.

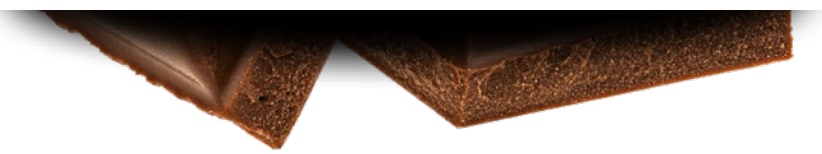
Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x4



Ghana

Czekoladowe eldorado



W ciągu ostatnich dwóch lat cena czekolady na świecie gwałtownie wzrosła. Nie przekłada się to jednak na dochody afrykańskich rolników, którzy stoją dziś na krawędzi bankructwa.

Produkcja kakao stanowi ok. 7 proc. PKB Ghany, która – obok Wybrzeża Kości Słoniowej – należy do największych światowych producentów ziarna kakaowego. Jego eksport generuje 15 proc. wpływów dewizowych kraju. Wydawałoby się zatem, że nagły wzrost cen kakao w 2024 r., który został spowodowany słabymi plonami, powinien przynieść tamtejszym rolnikom duże zyski. Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Międzynarodowe koncerny żywnościowe, które skupują ziarno kakaowca, zareagowały na problemy z surowcem w bardzo sprytny sposób – zmniejszyły wielkość tabliczek czekolady i zarazem podniosły ich cenę. Dzięki temu utrzymały wysokie dochody.

Gdy producenci czekolady podliczali zyski, afrykańscy rolnicy pogrążali się w ubóstwie. Problem polega na tym, że ceny kakao w Ghanie i Wybrzeżu Kości Słoniowej są ustalane urzędowo na podstawie średniej z poprzedniego roku. Ma to chronić rolników przed spekulantami i nadużyciami. Skoro w 2024 r. plony były słabe i cena kakao wzrosła, to na kolejny rok ustalono urzędową cenę skupu w wysokości 5,3 tys. dol. za tonę. Traf chciał, że rok później zbiory kakao okazały się bardzo udane. Jednak koncerny, które są głównym odbiorcą ziarna kakaowego, nie zmieniły swojej polityki. Mimo obfitości surowca tabliczki pozostały mniejsze. Bo skoro klienci przyzwyczaili się do nowych rozmiarów, nie warto było niczego zmieniać. Efekt był taki, że popyt na kakao zmalał, a afrykańscy farmerzy pozostali z ogromną ilością niesprzedanego ziarna.

Zarządzające skupem w Ghanie państwowe przedsiębiorstwo Cocobod próbowało ratować sytuację obniżeniem ceny urzędowej do 3,5 tys. dol. za tonę, zmniejszono również pobory kadry zarządzającej. Na niewiele się to jednak zdało. Rolnicy skarżyli się bowiem, że koszty produkcji kakao są zbyt wysokie i obniżenie cen skupu doprowadzi ich gospodarstwa do bankructwa. Podobna sytuacja wystąpiła również w sąsiednim Wybrzeżu Kości Słoniowej, gdzie pod koniec marca zalegało 200 tys. t niesprzedanego kakao.

Głównym wygranym tego kryzysu są wielkie koncerny żywnościowe. Mimo że surowiec, z którego produkują czekoladę, jest dziś tani i dostępny, tabliczki czekolady są mniejsze i droższe niż kiedyś. To czysty zysk, na który zrzucają się z jednej strony klienci w krajach rozwiniętych, a z drugiej – stojący dziś na krawędzi bankructwa afrykańscy rolnicy.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl 88714e0595

Akcelerator von der Leyen, czyli jak Bruksela przyspiesza po własne bankructwo

Ursula von der Leyen ma dar. Potrafi każdą porażkę swojej polityki sprzedać jako triumf cywilizacyjny. Najnowszy przykład? Cypryjska prezydencja Rady Europejskiej właśnie ujawniła dokument, w którym policzono (wreszcie!) koszty unijnych inicjatyw będących w trakcie negocjacji. I tu zaczyna się zabawa



Tylko jedno rozporządzenie – tzw. Akcelerator (oficjalnie Akt w sprawie przyspieszenia rozwoju przemysłowego, część Czystego Ładu Przemysłowego) – ma kosztować przedsiębiorstwa 6 mld euro, a sektor publiczny dodatkowo 1 mld. 600 mln rocznie, rok w rok, prosto z kieszeni firm i podatników. Bruksela nazywa to „inwestycją w konkurencyjność". My, zwykli śmiertelnicy, nazywamy to haraczem za ideologię.

Problem nie leży nawet w samej kwocie, choć jest ona astronomiczna, lecz w tym, co dokument ujawnia między wierszami. Komisja Europejska przygotowała pełną ocenę skutków tylko wybranych inicjatyw. Reszta? Puste rubryki. Żadnych wyliczeń kosztów wdrożenia, żadnych prognoz wpływu na miejsca pracy, na rachunki za prąd, na konkurencyjność europejskiego przemysłu wobec Chin i Ameryki. Tablica świeci pustkami jak lodówka w czasie sesji u studenta.

A korzyści? Tu von der Leyen jest mistrzynią uników. „Zbyt trudne do oszacowania" – brzmi odpowiedź Komisji. Za to emisje CO_2 spadną, więc przedsiębiorstwa zapłacą mniej za uprawnienia w systemie ETS. Czyli najpierw Bruksela stworzyła kosztowną, biurokratyczną pułapkę ETS, która dusi europejski przemysł, a teraz sprzedaje nam kolejne narzędzie, które ma „złagodzić" skutki poprzedniego. Za dodatkowe miliardy. To nie jest polityka klimatyczna. To jest *perpetuum mobile* kreatywnej księgowości na cudzy koszt.

Von der Leyen i jej ekipa od lat grają w tę samą grę. Najpierw Zielony Ład – wielkie hasło, zero rzetelnych analiz. Potem Net-Zero Industry Act, teraz Akcelerator, jutro pewnie jakiś Superakcelerator. Za każdym razem obiecują „transformację", „nowe miejsca pracy" i „strategiczną autonomię". A w praktyce mamy droższą energię, uciekające inwestycje i chińskie panele na dachach, bo europejskie zakłady zamykają się jedne po drugich.

Cypryjski dokument to nie jest techniczny, nudny raport. To akt oskarżenia. Pokazuje, że Komisja Europejska od lat proponuje prawa bez rachunku. Jakby ktoś budował most, nie pytając, ile będzie kosztował i czy w ogóle da się po nim przejechać. A kiedy ktoś pyta – dostaje odpowiedź: „Zaufajcie nam, korzyści będą nie do oszacowania".

No właśnie. Nie do oszacowania. Jak strata konkurencyjności Europy. Jak tysiące miejsc pracy w hutach, chemii i energetyce. Jak rachunki, które płacą polscy przedsiębiorcy, a potem my wszyscy w sklepach.

Dlatego żądanie jest proste i oczywiste – koniec z kreatywną matematyką. Każda inicjatywa Komisji musi mieć pełną, uczciwą ocenę skutków – z kosztami, korzyściami i realnym wpływem na gospodarkę. Nie „trudne do oszacowania". Nie „w długim terminie się zwróci". Tylko konkrety. Bo inaczej to nie jest legislacja. To ideologiczny szantaż, za który wszyscy płacimy.

Von der Leyen lubi mówić, że Europa musi być „globalnym liderem". Liderem w czym? W wymyślaniu coraz droższych sposobów na rozwiązywanie problemów, które sama stworzyła? Dziękujemy. Taki akcelerator nam niepotrzebny. Wolimy zwykłą, staromodną konkurencyjność bez unijnego pustosłowia za miliardy monet.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 88714e0595

Kto wygra światową rywalizację?



Marta Kaczyńska-Zielińska

Na początku XXI w. Stany Zjednoczone sprzedawały towary o wartości ok. 729 mld dol. rocznie, a wartość chińskiego eksportu wynosiła 266 mld dol. Aktualnie roczna wartość chińskiego sprzedaży zagranicznej to ok. 3,59 bln dol., a eksport USA sięga ok. 1,9 bln dol.

Chińska „fabryka świata" dominuje w produkcji przemysłowej, elektronice użytkowej, tekstyliach, bateriach, panelach słonecznych i coraz większej liczbie nowoczesnych technologii. Największą część chińskiego eksportu stanowią maszyny i urządzenia elektryczne, w tym smartfony, komputery i komponenty elektroniczne.

Stany Zjednoczone pozostają jednak największą gospodarką świata pod względem nominalnego PKB oraz zachowują przewagę w produktywności, innowacjach i globalnych finansach. Dominacja dolara jako światowej waluty rezerwowej daje USA wyjątkową pozycję, pozwala na finansowanie deficytów handlowych i zadłużenia publicznego przy stosunkowo wysokim zaufaniu inwestorów. Deficyt handlowy Stanów Zjednoczonych nie oznacza wyłącznie słabości gospodarczej – jest również efektem ogromnej siły nabywczej amerykańskiego konsumenta i centralnej roli dolara w światowym systemie finansowym.

Handel pomiędzy USA i Chinami pozostaje jednym z najważniejszych kół zamachowych światowej gospodarki, mimo wzajemnych ceł. Stany Zjednoczone importują z Chin elektronikę, urządzenia elektryczne, meble, zabawki i tekstylia, a Chiny kupują od USA maszyny, surowce energetyczne oraz produkty chemiczne i rolne. W czasie pierwszej kadencji Donalda Trumpa produkcję częściowo przeniesiono do Wietnamu, Indii oraz Meksyku, ale Chiny pozostają centralnym ogniwem światowych łańcuchów dostaw.

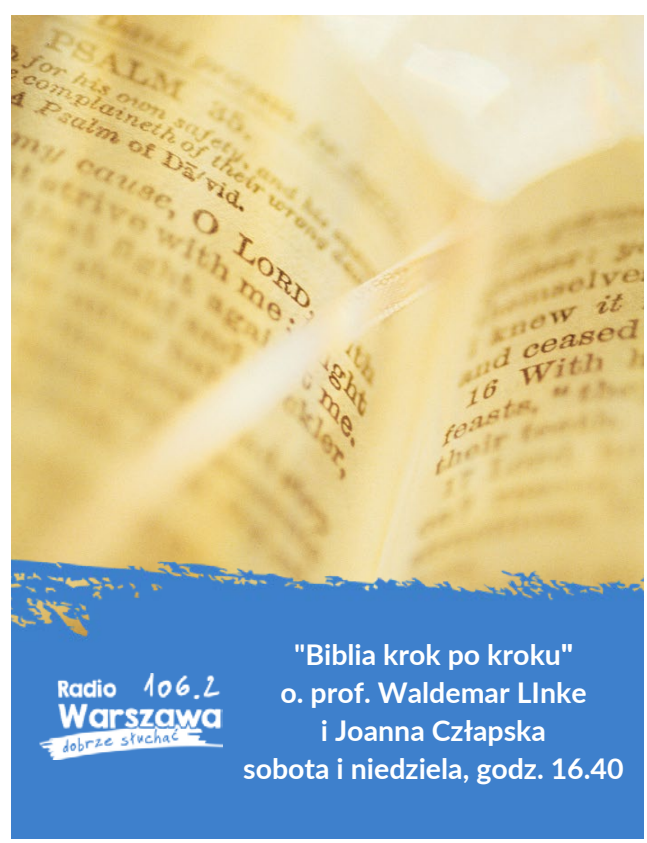
Oba państwa zmagają się z rosnącym zadłużeniem publicznym, choć charakter tego zadłużenia jest odmienny. Dług publiczny USA przekroczył 39 bln dol. i stale rośnie od czasu kryzysu finansowego z 2008 r. oraz pandemii COVID-19. Mimo to Stany Zjednoczone korzystają z denominacji w dolarze, co daje im znacznie większą stabilność finansową niż większości państw. W przypadku Chin problem jest bardziej ukryty i związany głównie z zadłużeniem samorządów, sektora nieruchomości oraz tzw. shadow banking – pozabankowym systemem finansującym przedsięwzięcia, które okazały się nierentowne. Wielu ekonomistów uważa, iż rzeczywisty poziom zadłużenia Chin jest wyższy niż oficjalne dane.

Stany Zjednoczone dominują w najbardziej zaawansowanych technologiach sztucznej inteligencji, półprzewodnikach, oprogramowaniu oraz sektorze start-upów technologicznych. Najważniejsze firmy AI są amerykańskie i wyznaczają światowe standardy rozwoju sztucznej inteligencji. Chiny starają się nadrobić dystans zwłaszcza w zakresie wdrażania technologii na masową skalę. Państwo Środka osiągnęło sukcesy w produkcji pojazdów elektrycznych, baterii, paneli słonecznych oraz technologii związanych z tzw. zieloną energią.

Kluczowym polem rywalizacji pozostają półprzewodniki i dostęp do zaawansowanych chipów. Zarówno USA, jak i Chiny są uzależnione od Tajwanu, gdzie produkuje się większość najbardziej zaawansowanych układów scalonych świata. Przewagą Chin pozostają pierwiastki ziem rzadkich. Państwo to posiada największe na świecie zasoby tych surowców i dominuje w ich przetwarzaniu. Pierwiastki ziem rzadkich są niezbędne do produkcji baterii, turbin wiatrowych, smartfonów, systemów wojskowych i półprzewodników. Stany Zjednoczone próbują odbudować własny sektor wydobycia i rafinacji, ale to wymaga czasu i ogromnych inwestycji.

Militarna przewaga Ameryki pozostaje bardzo wyraźna. USA wydają na wojsko ok. trzykrotnie więcej niż Chiny i dysponują globalną siecią baz wojskowych, lotniskowców oraz zaawansowanych systemów logistycznych. Amerykańska armia posiada ogromną przewagę w lotnictwie, atomowych okrętach podwodnych i zdolności projekcji siły na całym świecie. Chiny rozbudowują swoją flotę, systemy rakietowe i potencjał wojskowy w regionie Azji i Pacyfiku. Być może Pekin byłby w stanie rzucić wyzwanie Waszyngtonowi w pobliżu własnych granic, ale to USA pozostają najsilniejszym mocarstwem wojskowym świata.

REKLAMA



23/0426/F

eprasa.pl 88714e0595



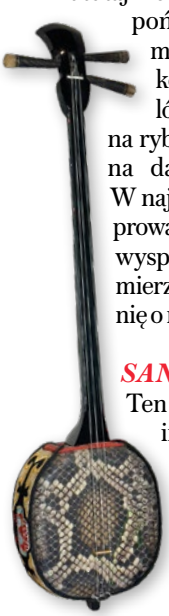
Walizka Nati Ishigaki

właścicielki piekarni na Okinawie, pisarki



Zawsze dużo podróżowałam, m.in. dlatego, że mam rodzinę w Belgii, a mój ojciec mieszka w Norwegii. Pierwszy raz wyprowadziłam się na rok na Erasmusa do Francji. Magisterkę z globalisation and development robiłam w Londynie. Na stażu w banku byłam w Kenii. Potem pojechałam do Korei Południowej, by uczyć się koreańskiego. Trafiłam też do Korei Północnej, gdzie odbyłam staż w polskiej ambasadzie. Stamtąd był już krok na Okinawę, gdzie poznałam swojego męża. Zawsze chciałam zrobić coś dla lokalnej społeczności, marzyłam o stworzeniu miejsca, w którym będą się gromadzić ludzie, np. kawiarni lub szkoły. Opcja komercyjnego wypiekania pieczywa pojawiła się przez przypadek, wraz z możliwością przejęcia sprzętu po likwidowanej starej piekarni. Ponieważ mój mąż jest fanem moich wypieków (tak jak czwórka dzieci), zaproponował otwarcie piekarni. I tak powstał Tulipan. Lokalne japońskie pieczywo jest miękkie i przypomina typowe tostowe, dlatego gdy przychodzą do mnie, stali klienci pytają o „katai pan", co dosłownie znaczy „twardy chleb". Zanim się do niego przekonali, musiałam wytłumaczyć, jak go jeść, że można go kroić i robić kanapki. Ponieważ Japończycy z zasady jedzą mało pieczywa, a mój bochenek o 25-centymetrowej średnicy jest dla nich za duży, zasugerowałam możliwość krojenia go, trzymania w lodówce i rozmrażania po jednej albo dwóch kromkach do śniadania. Choć składniki do chleba na zakwasie są powszechnie dostępne, nikt tutaj nie wypieka go w domu. Japończycy przeważnie nie mają w domach piekarników, tylko małe mikrofalówki i wbudowane grille na ryby. Ich kuchnia bazuje na daniach gotowanych. W najbliższym czasie przeprowadzam się z rodziną na wyspę Miyako, gdzie zamierzam otworzyć kawiarnię o nazwie... Tulipan.





SANSHIN

Ten popularny tutaj instrument jest wykonany ze skóry węża. Zaczęłam naukę gry na nim już w pierwszych miesiącach pobytu na Okinawie. Jego lekkie brzdąkanie idealnie komponuje się ze stylem naszej tropikalnej wyspy.

eprasa.pl 88714e0595





CYNAMONKI

Sprzedają się jak ciepłe bułeczki. Robię je z kokuto, ciemnego cukru z okinawskiej trzciny cukrowej. Jest nierafinowany, dzięki czemu zachowuje wszystkie minerały i mikroelementy. Mówi się nawet, że jest dobry na zęby...



TARUU

Nasz pies to Ryukyu ken, lokalna rasa wysp Ryukyu, czyli dzisiejszej prefektury Okinawa. Charakteryzuje się delikatnymi tygrysimi pręgami i dzięki wilczemu pazurowi – umie wspinać się na drzewa. Te psy są inteligentne, odważne i przyjazne.



SŁOWNIK JĘZYKA OKINAWSKIEGO

Autorstwa dziadka mojego męża – Okuhama Shizuego. Języki Okinawy są na wymarciu, choć młodzi ludzie chcą je zrewitalizować. Większość ludzi, którzy posługują się uchinaaguchi, to stulatkowie, więc bardzo trudno o native speakerów.

FARMA

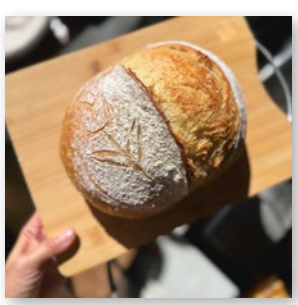
Mój mąż jest rolnikiem. Ponieważ nie używa żadnej chemii, sam obcina wszystkie chwasty. Na 90 proc. ziemi uprawia kurkumę, na pozostałej części bananowce. Tzw. apple banana są mniejsze od znanych w Polsce bananów, mają konsystencję budyniu, wyjątkowy smak, a czasem nawet pestki! Nasz produkt z kurkumy znajdzie się niedługo we wrocławskim sklepie z azjatycką żywnością – Konbini.





CHLEB NA ZAKWASIE

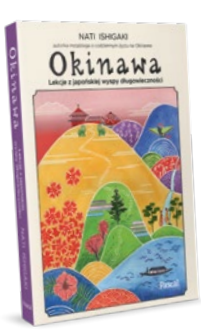
Japończyków, którzy podróżowali po Europie, nie trzeba było przekonywać do polskiego pieczywa i bardzo szybko stali się moimi klientami. Wśród tych, którzy zasmakowali w „katai pan", są nawet tacy, którzy jadą do Tulipana dwie godziny.





CHANPURU

Czyli smażone warzywa – zwłaszcza z mięsem – są tutaj bardzo popularne, moim ulubionym daniem jest goya chanpuru, czyli z dodatkiem gorzkiego melona, który jest bardzo zdrowy.



MOJA KSIĄŻKA

Wydawnictwo Pascal zaproponowało mi napisanie przewodnika po Okinawie. Miałam inny pomysł. Chciałam pokazać wyspę widzianą oczami miejscowych i finalnie zrobiłam z nimi wywiady, m.in. z mistrzem karate, ekspertką od kuchni dworskiej czy artystką tradycyjnego tatuażu hajichi, wykonywanego na dłoniach kobiet.

ZUPA Z WĘŻA

Tuż po urodzeniu trzeciej córki, aby mnie wzmocnić, moja teściowa przyniosła mi zupę. Z węża...





RYBIE OCZY

Oko ryby to największy kulinarny rarytas dla mojego męża. Dla naszych dzieci zresztą też. Często przy stole walczą o ten „przysmak"... A ja nie mogę – nomen omen – na to patrzeć.

DROŻDŻÓWKI

Robię je w różnych smakach, ale klientom najbardziej przypadły do gustu truskawkowe z serem. Zawsze się wyprzedają.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Nati Ishigaki, Shutterstock (x2)

eprasa.pl 88714e0595

Afryka i Europa w nowym świecie interesów



Europa coraz częściej uświadamia sobie, że przyszłość bezpieczeństwa, gospodarki i stabilności nie rozstrzyga się wyłącznie w Brukseli, Berlinie czy Paryżu. Coraz większe znaczenie ma Afryka – kontynent młody, dynamiczny, bogaty w surowce i jednocześnie boleśnie doświadczony przez historię. Właśnie dlatego wspólne posiedzenie Parlamentu Europejskiego i Parlamentu Panafrykańskiego w Eswatini, w którym wziąłem udział w ubiegłym tygodniu, jest wydarzeniem znacznie ważniejszym, niż wielu europejskim politykom się wydaje.

To nie jest wyłącznie dyplomatyczne spotkanie i seria oficjalnych przemówień. To symbol zmieniającego się świata, w którym Afryka coraz głośniej mówi własnym głosem i coraz mocniej domaga się podmiotowego traktowania.

Europa potrzebuje dziś Afryki z powodów strategicznych. Chodzi o bezpieczeństwo, walkę z terroryzmem i nielegalną migracją, dostęp do surowców krytycznych, energetykę czy nowe rynki gospodarcze. Afryka posiada ogromne zasoby litu, kobaltu i metali ziem rzadkich, bez których niemożliwy będzie rozwój nowoczesnych technologii i transformacji energetycznej.

Ale partnerstwo nie może bazować wyłącznie na interesie silniejszych państw europejskich. Afryka oczekuje dziś czegoś więcej – szacunku, uczciwych zasad i historycznej prawdy.

W tym kontekście Polska może rozumieć część afrykańskich argumentów lepiej niż wiele państw Europy Zachodniej. Od lat domagamy się od Niemiec reparacji za zniszczenia i tragedię II wojny światowej. To kwestia pamięci, sprawiedliwości i odpowiedzialności historycznej.

Podobnie wiele państw afrykańskich mówi dziś otwarcie o skutkach kolonializmu. O grabieży surowców, wykorzystywaniu całych narodów, niszczeniu lokalnych społeczności i odbieraniu godności milionom ludzi przez europejskie imperia kolonialne. Coraz częściej pojawia się temat rekompensat oraz wyrównania historycznych krzywd.

Dziś trwa również geopolityczna walka o wpływy w Afryce – między Europą, Chinami a Rosją. Było to widoczne podczas prac nad konkluzjami zgromadzenia, gdy część państw afrykańskich nie chciała wprost nazwać Rosji agresorem odpowiedzialnym za wojnę na Ukrainie. To pokazuje wciąż istniejące punktowo na kontynencie afrykańskim polityczne i wojskowe wpływy Moskwy, a także ekonomiczne Pekinu. Dlatego Unia Europejska, w tym Polska, muszą jeszcze mocniej angażować się we współpracę z Afryką, bo oddanie tam pola może mieć nieodwracalne skutki polityczne.

Świat staje się wielobiegunowy. Afryka przestaje być biernym obserwatorem globalnej polityki. Europa musi to zrozumieć, jeśli chce zachować wpływy i budować stabilną przyszłość.

Arkadiusz Mularczyk

Śmieję się, że mam 18 dzieci

Z Tribbsem (Mikołajem Maciejem Trybulcem), producentem muzycznym, kompozytorem, autorem tekstów, trenerem 9. edycji „The Voice Kids", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Co czuje dziś zwycięski trener „The Voice Kids"?

Tribbs: Przede wszystkim to Wiktor Sas jest prawdziwą gwiazdą i bohaterem, a dla mnie ogromnym powodem do dumy. Bardzo się zżyliśmy, zresztą nie tylko z Wiktorem, lecz także z całą drużyną. Ostatnio cała osiemnastka była u mnie, wspólnie napisaliśmy piosenkę, nasz własny hymn. Śmieję się, że w tej chwili mam 18 dzieci. To niezwykle budujące doświadczenie i relacja, która zdecydowanie wykracza poza sam program.

Dlaczego to właśnie 13-latek z Przechlewa wygrał 9. edycję „The Voice Kids"?

Wiktor wychodzi na scenę i od pierwszej sekundy emanuje spokojem, naturalnością oraz ogromnym luzem. Świetnie się przy tym bawi i jednocześnie pozostaje autentyczny, co w muzyce i występach na żywo ma ogromne znaczenie. Przyda mu się to na Eurowizji Junior [od tej edycji zwycięzca „The Voice Kids" automatycznie zostaje reprezentantem Polski] – tam ma się zaledwie 3 minuty, by pokazać talent, osobowość i udźwignąć ogromną presję. Oprócz tego wszystkiego Wiktor jest po prostu znakomitym wokalistą.



Co panu dał i co uświadomił trenerski debiut w „The Voice Kids"?

Wchodząc do „The Voice Kids", myślałem oczywiście o muzyce, scenie, emocjach, pracy z talentem, ale dostałem coś znacznie większego – relację z dzieciakami, odpowiedzialność za nie i poczucie, że jako trener nie jestem tylko od ustawiania dźwięków czy wyboru repertuaru. Program „The Voice Kids" pokazał mi też, iż dzieci potrafią być niesamowicie odważne, prawdziwe i jednocześnie bezbronne. A o sobie dowiedziałem się, że umiem się bardzo zaangażować, wzruszyć i naprawdę przeżywać cudzy sukces jak własny.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 88714e0595

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Sztuczni inteligenci w czasach sztucznej inteligencji



Jan **Pietrzak**

Historia ludzkości – poza innymi aspektami – jest historią rewolucji technicznych. Dla przypomnienia kilka przykładów, które zrewolucjonizowały życie ludzkich stad: koło, nafta i benzyna, silnik parowy, maszyny tkackie, fale radiowe, obrazy telewizyjne, samoloty, komputery osobiste...

Najnowszy z wynalazków o światowym zasięgu nazwano sztuczną inteligencją. Nazwa nie jest precyzyjna, ale się przyjęła, ponieważ słabo inteligentnym ludziom trudno zdefiniować to, co stworzyli najwybitniejsi *Homo sapiens*. Taki paradoks mamy na tapecie. W naszym kraju należy przede wszystkim starannie określić granicę między sztuczną inteligencją a sztucznymi inteligentami. Z powodów historycznych stało się tak, że społeczna warstwa inteligencji z epoki przedkomputerowej, utworzona na resztkach feudalizmu, stała się siłą niepodległościową. Naród przez półtora wieku zaborów, rujnowany przez dwie mordercze wojny, degradowany przez wschodnie cepy i zachodnie trepy potrzebował ożywczych myśli! Myśli objaśniających nasze tragiczne położenie i ukazujących drogę nadziei. Stąd wysoka pozycja ludzi kultury, sztuki, myślicieli społecznych, ideologów, przywódców politycznych i wojskowych. Elitą zniewolonego narodu była warstwa skoncentrowana na najważniejszym celu – na odzyskaniu niepodległości. Przy każdej okazji była ona prześladowana przez okupantów.

Dygresja rodzinna: dziadek Władysław Majewski z Łukowa, który miał 100 chrześniaków, został zesłany do Rosji w czasie I wojny światowej. Dziadek Jan z folwarku na Mazowszu był ścigany przez kilka lat po II wojnie przez władzę ludową jako obszarnik. Jak wiadomo, w PRL sowieckie rządy przejęła „klasa robotnicza, chłopi oraz inteligencja pracująca". Jedyna pracująca. Proletariat był od rządzenia. Chłopi mieli siedzieć cicho w kołchozach zwanych spółdzielniami produkcyjnymi. Resztki przedwojennej inteligencji, której udało się przetrwać terror, zostały wprzęgnięte w służbę władzy ludowej. Dziadek Jan mówił o takich: „chomąto w krawacie".

Po latach stalinowskich w tej społecznej niszy pojawili się inteligenci kawiarniani, których rządząca partia nie lubiła do tego stopnia, że pewien bonzo co jakiś czas poświęcał im nieprzyjemne słowa. Jak to „siedzom po kawiarniach i szydzom". Pojawiała się też wersja „siedzo i szydzo"!

Wtedy, na początku lat 60., prowadziłem studencki kabaret w Hybrydach i obśmiewaliśmy tę „jelyte". M.in. Wojtek Młynarski napisał wieloznaczną piosenkę o inteligentach przekrojowych: „Inteligencie przekrojowy, jak łatwo cię fascynować...". Nie jestem w 100 proc. pewien, czy to z Hybryd, ale weszło wtedy do obiegu określenie „półinteligenci". Do dzisiaj nie straciło na znaczeniu. Wręcz przeciwnie. Możemy przyjąć tezę, że gatunek, nazwany przed laty półinteligentami, to obecni sztuczni inteligenci. Prawdziwych inteligentów została jeszcze garstka, ale to rzadki, unikalny gatunek. Chrońmy ich.

Dyplomatołki



Samuel **Pereira**

Mało które słowo tak dobrze pasuje do prowadzonej obecnie polityki zagranicznej, szczególnie w kontekście relacji z USA. Gorzej, że jej skutki zagrażają naszemu bezpieczeństwu i mogą być odczuwalne przez długie lata. Zamiast poważnej polityki mamy drwiny polskiego premiera z amerykańskiego prezydenta. Donald Trump ponownie został prezydentem 16 miesięcy temu i ani razu nie zaprosił Donalda Tuska do Białego Domu. Podobnie jest z Radosławem Sikorskim, którego jedyne spotkanie z sekretarzem stanu USA Marco Rubio miało miejsce podczas prywatnej imprezy w Miami. A sytuacja jest poważna.

Świat się zmienia. Administracja Trumpa otwarcie sygnalizuje, że Europa musi brać większą odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo, a jednocześnie trwa strategiczne przestawianie amerykańskiej polityki na rywalizację z Chinami. W takim momencie rolą polskiego rządu powinno być budowanie jak najbliższych relacji z Waszyngtonem i walka o to, by Polska stała się najważniejszym partnerem USA w Europie Środkowej. Tymczasem Donald Tusk zachowuje się jak zwykle, czyli tak, jakby ważniejsze było dobre samopoczucie brukselskich elit i Berlina niż realne interesy Rzeczypospolitej.

Najbardziej absurdalne było jednak stwierdzenie Tuska, że Polska nie powinna „podbierać" amerykańskich żołnierzy z Niemiec. To zdanie przejdzie do historii jako symbol kompletnego zagubienia strategicznego. Polska nie „podbiera" wojsk USA, ale wzmacnia wschodnią flankę NATO. Każdy dodatkowy amerykański żołnierz nad Wisłą zwiększa bezpieczeństwo nie tylko naszego kraju, lecz także całej Europy.

Co więcej, stała obecność sił USA w Polsce to dziś nie tylko kwestia militarna – to również gigantyczna szansa gospodarcza. Za amerykańskim wojskiem idą inwestycje, technologie, infrastruktura, przemysł zbrojeniowy, energetyka i miejsca pracy. Im więcej Ameryki w Polsce, tym większa siła polskiej gospodarki i większe bezpieczeństwo polskich rodzin. Ale jak ma to rozumieć szef rządu, którego „polityka zagraniczna" ogranicza się do rzucania sucharów z cyklu: „Też mam na imię Donald, ha, ha"?

eprasa.pl 88714e0595

Myślę, że myślę...



Jak bumerang wraca widmo V rozbioru Polski. Kumulacja zagrożeń: zbliżające się wejście w życie paktu migracyjnego, drenowanie naszego budżetu przez Ukrainę, unijne dokręcanie klimatycznej śruby, upadek polskiego rolnictwa (Mercosur) i gospodarki (gigantyczne straty największych przedsiębiorstw) – to dzieje się na naszych oczach. Zastój w zbrojeniach i demograficzna zapaść zachęcają naszych odwiecznych wrogów (wciąż tych samych) do hybrydowych ataków na Rzeczpospolitą. Tymczasem niefrasobliwość, z jaką większość Polaków traktuje nadciągającą apokalipsę, jest porażająca.

„Cogito ergo sum" („Myślę, więc jestem") Kartezjusza dziś zastępuje się dewizą „Myślę, że myślę" – mojego autorstwa. Prawdziwość jednostronnie sformatowanych informacji, jakimi karmią nas obecnie mainstreamowe media i internet (przy potężnym wsparciu sztucznej inteligencji, „genialnie" tłumaczącej największe nawet brednie), jest coraz trudniejsza do zweryfikowania. W oceanie półprawd, fake newsów i ordynarnego kłamstwa zanika umiejętność rozsądnego, krytycznego czy intuicyjnego dochodzenia prawdy. Sprzyja temu (wręcz służy) zawłaszczona przez lewicowy marsz edukacja i popkultura, negujące normalność, zdrowy rozsądek i obiektywny, naukowy proces poznania (dedukcji). Tak ukształtowanej, bezmyślnej ludzkiej masie można narzucić każdą narrację, przeforsować największy idiotyzm, wytyczyć dowolny kierunek działania.

W „Pożegnaniu z wolnością" śpiewam: „Człowiek to już nie brzmi dumnie/ Być brojlerem – to jest coś!/ Każdy problem się wyskrobie/ Każdej prawdzie powie: dość!/ Głupiec cieszy się jak głupiec/ Tylko mądry dobrze wie/ Że ten raj za chwilę w piekło zmieni się".

Prawie dwa wieki temu Nikołaj Gogol pisał w „Rewizorze": „I z kogo się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!" Ale kto dziś czyta Gogola?

PS Für Deutschland! Ilu z nas bolą dziś te słowa? Odmowę podpisania tzw. folklisty mój dziadek przypłacił śmiercią. Bohater czy wariat?

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

92-letnia Joan Collins, gwiazda „Dynastii", na otwarciu festiwalu w Cannes



Fot. PAP/EPA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI, KPRM, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KAMIL KASPRZYCKI/REPORTER, MATERIAŁY BIURA SENATORA GRZEGORZA BIERECKIEGO, SHUTTERSTOCK/ONEINCHPUNCH, FADAWAY CREATIVE

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Reklama | 01/0126/F/ZAL

eprasa.pl 88714e0595

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.



Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym



7 maja 2026 r. – faryzeusz Donald Tusk przy grobie św. Jana Pawła II

Hipokryta



MARZENA NYKIEL

Polityczna schizofrenia czy wyrachowany koniunkturalizm? Co sprawia, że Donald Tusk z taką łatwością lawiruje w obszarze osobistych deklaracji na temat wiary i religijności? Dlaczego jednego dnia atakuje Kościół, drugiego leci do Watykanu, by oświadczyć, że „ma identyczne poglądy" z papieżem, a następnego zapowiada „małżeństwa" homoseksualne, otwierając wrota do ideologicznego piekła? Ta schizofreniczna zmienność trwa od lat. Jest w niej jednak jedna stała tendencja – konsekwencja w laicyzowaniu państwa

Zaledwie przed tygodniem Donald Tusk udał się do Watykanu, by zaprosić papieża Leona XIV do Polski. Po wyjściu z audiencji długo opowiadał dziennikarzom o poruszeniu, jakiego doznał podczas spotkania. Oświadczył, że wreszcie znalazł rozmówcę, z którym ma „identyczne poglądy na sprawy polityczne". Złożył też zapewnienie, że dopóki jest premierem, będzie „nadal szukał dialogu i mądrej rozmowy, a nie konfrontacji". I można by się zastanawiać, czy nie doszło do jakiejś duchowej przemiany, olśnienia czy nawrócenia, gdyby nie fakt, że kilka dni później Donald Tusk rozpętał ideologiczne piekło. Nie bacząc na ład prawny, gwarancje konstytucyjne, stanowisko Kościoła i sprzeciw społeczny, podjął decyzję o wdrażaniu transkrypcji „małżeństw" homoseksualnych.

Kolejny raz próbował odegrać katolika, ocieplić wizerunek, podreperować swoją pozycję. Tym razem jednak na próżno. Kościół w Polsce jest jawnie dyskryminowany i wie o tym nawet sam papież. Świadczą o tym zakulisowe doniesienia i nota watykańska.

Z informacji przekazanych nieoficjalnie przez watykanistów wynika, że Tusk mocno ubarwił swoją opowieść. Spotkanie w cztery oczy było krótkie, ponieważ Leon XIV miał napięty ka-

Fot. KPRM

eprasa.pl 88714e0595



lendarz i był umówiony z amerykańskim sekretarzem stanu Marco Rubio. Wiele mówiący jest także komunikat Stolicy Apostolskiej. Wskazuje, że uwagę poświęcono „sytuacji społecznej i gospodarczej kraju, a także relacjom między lokalnym Kościołem a państwem, zwłaszcza w dziedzinie edukacji i w odniesieniu do kwestii etycznych". Ta sytuacja jest doskonale znana Ojcu Świętemu. W grudniu 2025 r. Leon XIV spotkał się z Prezydium Konferencji Episkopatu Polski, podczas którego biskupi rozmawiali z papieżem m.in. o nowej podstawie programowej ograniczającej liczbę lekcji religii w szkołach. „Leon XIV był doskonale zorientowany w sytuacji, my tylko niektóre rzeczy potwierdziliśmy, niektóre dopowiedzieliśmy" – powiedział później przewodniczący KEP, ks. abp Tadeusz Wojda. Trudno więc się spodziewać, by Donald Tusk mógł zostać uznany przez papieża za polityka szczególnie przyjaznego Kościołowi. Pewnie dlatego dorobił do tej relacji tak bujną interpretację. Zaprosił też Ojca Świętego do Polski, żywiąc zapewne nadzieję, że stanie się to przed wyborami parlamentarnymi i pozwoli zagrać na katolickiej strunie, ocieplając polityczny wizerunek. Czynił tak już wiele razy.

> Kilka dni po audiencji u papieża i opowieści, że był pod wielkim wrażeniem spotkania z Leonem XIV, Tusk podjął decyzję o wdrażaniu transkrypcji „małżeństw" homoseksualnych

ŚLUB NA WYBORY I OŁTARZYK

W 2005 r. nagle zapragnął połączyć się świętym węzłem małżeńskim ze swoją cywilną żoną Małgorzatą. Żyli razem od 1978 r., mieli już dorosłe dzieci, ale jak widać impulsem do „nawrócenia" nie były ich wcześniejsze sakramenty – chrzty i pierwsze komunie św., lecz wybory prezydenckie. Donald Tusk konkurował wtedy z Lechem Kaczyńskim. Do dziś nie może się otrząsnąć z traumy po przegranej. Być może dlatego, że cena była tak wysoka.

Kulisy tej operacji ujawnił po latach Jacek Merkel, dawny bliski współpracownik Tuska, współzałożyciel Platformy Obywatelskiej. Z jego relacji wynika, że Tusk chciał rządzić, jeśli nie jako prezydent, to jako premier i dlatego podjął tę koniunkturalną decyzję. Uroczystość odbyła się w katedrze oliwskiej, a sakramentu udzielił abp Tadeusz Gocłowski. „Zrobił to dlatego, że wiedział, że jeśli chce być premierem tego narodu, to jest oczekiwane, że będzie normalnym katolikiem" – przyznał Merkel w 2014 r.

W 2007 r. media obiegło rodzinne zdjęcie Tusków przy domowym ołtarzyku w sopockim mieszkaniu. Pozowali do fotografii przy biurku, na którym ustawiono duży krzyż, obraz Jezusa Miłosiernego, ikonę Chrystusa, żłóbek, szopkę i inne symbole religijne. Kilka lat później, gdy w tym samym pokoju Agata Młynarska przeprowadzała wywiad z Tuskami, w kadrze nie znalazł się żaden symbol religijny. Być może dlatego, że na horyzoncie jaśniała już perspektywa brukselskiej kariery, w której tego rodzaju przebieranki nie są wskazane.

eprasa.pl 88714e0595

Były też momenty, w których Donald Tusk chwalił się zdjęciami ze św. Janem Pawłem II. Na jednym z nich Tuskowie jako młode małżeństwo z kilkuletnią córką klęczą przed Ojcem Świętym podczas audiencji generalnej. Inne, z 11 czerwca 1999 r., ukazywało Tuska całującego papieża w pierścień. W 2011 r. w jednym z wywiadów wspominał pogrzeb Jana Pawła II: „Nie byłem żarliwym katolikiem, jednak to doświadczenie, osobiste spotkania, ale przede wszystkim jego śmierć było czymś, co przywróciło mnie do Kościoła".

ZDJĄĆ KRZYŻE!

A jednak w tym samym roku podczas konwencji z okazji 10. rocznicy utworzenia Platformy Obywatelskiej zapowiedział: „Ten rząd i przyszły, jeśli wygramy wybory, nie będzie się nisko kłaniał ani bankierom, ani związkowcom, nie będziemy klęczeli przed księdzem. Do klęczenia jest kościół. Przed Bogiem, a nie przed księdzem". Powtarzał tę myśl w rozmaitych wariantach.

10 lat później w Gdańsku ciskał gromami w Kościół, oświadczając, że nie ma miejsca dla krzyża w przestrzeni publicznej i powinien zniknąć także z Sejmu: „W szkołach czy urzędach nie powinno być krzyży. To powinny być miejsca wzajemnego respektu i szacunku, niezależnie od tego, czy ktoś jest wierzący, czy nie".

Im mocniej Donald Tusk deklarował przynależność do Kościoła, tym brutalniej go atakował. „Jestem katolikiem i nie mam problemu z tym, aby powiedzieć to głośno. Wewnątrz Kościoła są siły, które niszczą ten Kościół. Na zewnątrz też są siły, które niszczą Kościół – PiS i Kaczyński są tego przykładem" – mówił w lipcu 2021 r.

W czasie, gdy wojna hybrydowa nabierała na sile i zewnętrzne ośrodki były zainteresowane pogłębianiem podziałów społecznych, politycy Koalicji Obywatelskiej uderzali jednocześnie w Prawo i Sprawiedliwość oraz w katolików. W lipcu 2021 r. Tusk przekonywał, że „nikt tak bardzo nie przyczynił się do upadku Kościoła w Polsce, jak rządy PiS przez sześć lat. Ukradli wierzącym to, co dla wierzącego tak ważne, czyli autentyczny, prawdziwy Kościół. Upodlili instytucję, która chroniła polską niepodległość, naszą moralność, naszą solidarność. Dzisiaj zrobili z tego przybudówkę swojej władzy".

Tej narracji trzymał się konsekwentnie i płynnie wprowadził ją w swoją kampanię wyborczą. „Musimy skończyć z przenikaniem się władzy kościelnej i państwowej, z finansowaniem z budżetu państwa. Czas najwyższy, aby wierni wzięli na siebie odpowiedzialność za Kościół – to bardzo przysłuży się Kościołowi. Im mniej władzy i państwowych pieniędzy, tym lepiej dla tego prawdziwego Kościoła. Z całych sił będę pracował nad rozdziałem państwa i Kościoła" – zapowiadał w sierpniu 2021 r.

Z kolei w październiku 2022 r., kolejny raz przedstawiając się jako członek katolickiej wspólnoty, deklarował wprowadzenie świeckiego państwa. „Jestem katolikiem, człowiekiem wierzącym. Ja nie mogę patrzeć na to, co się dzieje z moim Kościołem. [...] Konieczne jest pozbawienie demoralizujących, wielkich pieniędzy, które płyną strumieniami do Rydzyka czy Jędraszewskiego" – mówił, wpisując się w obrzydliwą narrację dehumanizacji tak bardzo zasłużonych dla Polski kapłanów.

To tylko kilka wypowiedzi z całego morza antykatolickiego hejtu. Towarzyszyło temu wspieranie Marty Lempart i Strajku Kobiet, które w oszalałej walce o aborcję i świeckie państwo posunęły się wręcz do fizycznych ataków na kościoły. Donald Tusk nie odciął się od nich nawet wtedy. Przeciwnie, korzystał z antyklerykalnego hejtu, pozyskując wysokokaloryczne paliwo polityczne. Celem było utrwalenie przekonania, że krajem rządzi katotalibańska sitwa, która rozkrada państwo.

Zapowiadane przez Sławomira Nitrasa „opiłowywanie katolików z przywilejów" nie było jedynie niezręczną przenośnią. Donald Tusk wpisał walkę z Kościołem do swojego programu, a w „100 konkretach na pierwsze 100 dni" pojawiło się nawet nazwisko konkretnego duchownego. „Wprowadzimy zakaz finansowania z pieniędzy publicznych działalności gospodarczej diecezji, parafii, zakonów i innych elementów gospodarczych Kościołów i związków wyznaniowych, z wyłączeniem działalności służącej celom humanitarnym, charytatywno-opiekuńczym, naukowym i oświatowo-wychowawczym. Tacy biznesmeni jak Tadeusz Rydzyk powinni sobie radzić bez pieniędzy pochodzących z podatków obywateli" – napisał Tusk w programie wyborczym KO.

Trwający od dekad atak na o. Tadeusza Rydzyka ruszył natychmiast po przejęciu władzy z użyciem całego aparatu państwa. Bartłomiej Sienkiewicz wstrzymał wypłatę środków na budowę Muzeum Pamięć i Tożsamość, a od prawie dwóch lat w instytucjach powołanych przez o. redemptorystów trwają drobiazgowe i uciążliwe kontrole. Nasila się też atak medialny i aktywność najbardziej zajadłych członków koalicji. Szymon Hołownia jeszcze jako rotacyjny marszałek Sejmu wysłał do Torunia NIK. Roman Giertych żądał odebrania koncesji Radiu Maryja, zarzucając jego dyrektorowi łamanie konkordatu, a Dariusz Joński domagał się konfiskaty majątku o. Tadeusza Rydzyka. Wszystko dlatego, że Radio Maryja i Telewizja Trwam są silnym katolickim ośrodkiem medialnym, mającym realny wpływ na informowanie i uświadamianie milionów Polaków.

SYSTEMOWY ANTYKATOLICYZM

Rząd Tuska przyjął doktrynę, według której każda współpraca państwa z Kościołem jest przestępstwem. Na oślep uderza więc w inicjatywy, które służą Polakom, strzegą polskiej tożsamości, pilnują narodowej pamięci, a nawet niosą pomoc ludziom słabym i skrzywdzonym.

Symbolem jest aresztowanie w Wielki Czwartek 2024 r. ks. Michała Olszewskiego i przetrzymywanie go za kratami ponad siedem miesięcy. Ośrodek budowany przez Fundację Profeto był wówczas na finiszu, mógłby dziś służyć ofiarom przemocy, dla których był przeznaczony. Stoi i niszczeje. Nakręcona przez rząd potężna histeria wokół Funduszu Sprawiedliwości wstrzymała jego funkcjonowanie, a tysiące ludzi będących pod opieką wielu organizacji w całej Polsce pozbawiła koniecznej opieki. Wszystko dlatego, że

eprasa.pl 88714e0595

ktoś zdecydował się uderzyć w Kościół. Trzeba przyznać, że koalicja 13 grudnia nie zabrała się z takim zapałem do realizacji żadnej obietnicy jak „świeckiego państwa".

Od czasów PRL nie było w Polsce tak zmasowanej dyskryminacji katolików. Wyrażanie własnych poglądów jest uznawane za mowę nienawiści, prawo do wychowania dzieci zgodnie z przekonaniami rodziców pozostaje bagatelizowane, a obywatelskie gwarancje konstytucyjne są odbierane siłą. Prześladowanie katolików widoczne jest także w obszarze edukacji.

Barbara Nowacka zlikwidowała połowę lekcji religii, nie bacząc na krytyczne stanowisko Trybunału Konstytucyjnego. Wbrew protestom usunęła wychowanie do życia w rodzinie, a edukację zdrowotną od nowego roku zamierza uczynić przedmiotem obowiązkowym. Rząd nie prowadzi żadnego realnego dialogu z episkopatem, panuje wręcz arogancki chłód ze strony resortu edukacji. Nie inaczej jest w kwestii forsowania ideologii. Nowacka siłą i podstępem wprowadza edukację seksualną, a lewicowi aktywiści wymuszają związki partnerskie. Donald Tusk ochoczo na to przyzwala. Za sprzeciwianie się tej degrengoladzie grożą surowe konsekwencje.

Tymczasem twórcy kłamliwych filmów i publikacji o św. Janie Pawle II pozostają bezkarni. Nie poczuwają się nawet do przeprosin, gdy twarde fakty zdemaskowały ich manipulacje. W tym samym czasie europoseł Daniel Obajtek jest prześladowany za to, że zablokował obrazoburczą okładkę szmatławca „NIE", godzącą w dobre imię Ojca Świętego. Jednocześnie aktywistki Strajku Kobiet, nawołujące do niszczenia kościołów, zostają uniewinniane przez sądy, a następnie nagradzane ważnymi stanowiskami w instytucjach publicznych. Wszystko to wpisuje się w akcję zohydzania Kościoła, oczerniania duchownych, niszczenia autorytetów, zastraszania katolików i wyłączania katolickiej argumentacji z debaty publicznej. Po co? Żeby zdławić istotny głos sprzeciwu zdolny zatrzymać to, co właśnie przed nami.

Tuż po powrocie z Watykanu Donald Tusk otworzył wrota do ideologicznego piekła. Trzeba wyjątkowej bezczelności, by deklarując jednomyślność z Ojcem Świętym, wprowadzać wynaturzoną ideologię, stojącą w całkowitej sprzeczności z nauczaniem Kościoła. Argumentuje tę decyzję ckliwym zapewnieniem, że każdy ma prawo do miłości i szacunku. „Zobowiązaliśmy się – i będę tego też osobiście pilnował – aby przestrzegać wyroków zarówno trybunałów europejskich, jak i polskich sądów. [...] Jest to także kwestia godności człowieka i praw człowieka" – oświadczył na posiedzeniu rządu. Śmiałe zobowiązania jak na „obrońcę konstytucji", która definiuje małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny oraz gwarantuje szczególne prawa tak pojętej rodzinie. Hołdowanie instynktom seksualnym nie ma nic wspólnego z godnością i prawami człowieka. Gdyby te wartości naprawdę były dla premiera istotne, respektowałby prawo do życia i nie promowałby zabijania dzieci nienarodzonych. Ale nie o godność w tym wszystkim chodzi. Rzecz w tym, że Donald Tusk jest zakładnikiem unijnych oczekiwań.

> Rząd Tuska przyjął doktrynę, według której każda współpraca państwa z Kościołem jest przestępstwem. Na oślep uderza więc w inicjatywy, które strzegą polskiej tożsamości, pilnują narodowej pamięci, a nawet niosą pomoc ludziom słabym i skrzywdzonym

NA IDEOLOGICZNYM PASKU

Komisja Europejska nie daje nic za darmo. W pierwszej kolejności żąda. Posiada także narzędzia dyscyplinujące. Zwłaszcza teraz, gdy rząd podjął nowe zobowiązania w postaci kredytu SAFE, obwarowane warunkiem wypełniania wymogów praworządności. Skoro siłowe przejmowanie instytucji publicznych, łamanie konstytucji i jawnie bezprawne działania nie budzą niepokoju Brukseli, to co może zostać przez nią uznane za działanie niepraworządne? Nierealizowanie wytycznych unijnej koncepcji społeczeństwa otwartego, multikulturowego, genderowego. Dochodzimy tu do konkretnych dokumentów.

W październiku 2025 r. Komisja Europejska ogłosiła nową strategię Unii na rzecz równości osób LGBT+ na lata 2026–2030. I traktuje ją śmiertelnie poważnie. W dokumencie „Wolność kochania, wolność bycia" zapowiada wzmożoną ochronę osób homo-, bi-, trans-, plusseksualnych i queer, wzmacnianie ich pozycji w społeczeństwie, dodatkowe pieniądze na promocję i kontrolowanie w sieci „mowy nienawiści". Krajom członkowskim narzuca obowiązek wdrażania tych zaleceń we wszystkich obszarach polityki. Czy możemy się spodziewać, że Donald Tusk zbagatelizuje te wytyczne? Jako brukselski prymus doskonale zna swoje miejsce w szeregu i będzie wdrażał powierzone mu zadania z poddańczą bezwzględnością. Dokona tego metodycznie, krok po kroku, przywdziewając maskę czułego na ludzką godność i dbającego o równouprawnienie katolika. Rozpęta nam ideologiczne piekło, z którego nie ma powrotu. Cele rewolucji kulturowej są przecież jasne: zniszczenie człowieka, zdeptanie tożsamości, skarlenie duchowe, rozerwanie więzi rodzinnych i społecznych, zniszczenie fundamentu wiary i wartości niezbędnych do wzrostu. Słaby człowiek nie stworzy silnego społeczeństwa, silnego narodu i silnego państwa. Ktoś chce skazać Polskę na słabość i zniszczenie. Ten proces zawsze zaczyna się od niszczenia rodziny i Kościoła. A nie ma bardziej skutecznego zniszczenia niż rozsadzenie od wewnątrz. I właśnie temu służą tak chętnie przywdziewane maski katolicyzmu.

eprasa.pl 88714e0595

Ukrainiec w polskim rządzie

Czyje interesy i jakie państwo reprezentuje wiceminister nauki Andrzej Szeptycki?



Fot. Fot. Michał Żebrowski/East News



STANISŁAW JANECKI

W każdym państwie byłby problem, gdyby członek rządu reprezentował inne państwo. Nie formalnie, tylko faktycznie. Tego nie da się rozstrzygnąć na gruncie prawa, jeśli ten członek rządu urodził się w Polsce i ma polskie obywatelstwo. Jednak to, co robi i mówi, daje różnym politykom, dziennikarzom czy reprezentantom opinii publicznej podstawy do opinii, że taka osoba nie jest polskim ministrem, mimo że zasiada w rządzie sprawującym władzę w Polsce. Mało tego, część opinii publicznej traktuje działania i wypowiedzi tego członka rządu wręcz jako zdradę polskich interesów, a nawet piątą kolumnę i dywersję. I nie są w stanie zrozumieć, jak premier Donald Tusk może go trzymać w swoim gabinecie.

Pojawiają się nawet sarkastyczne opinie, że po co w Warszawie ambasador Ukrainy, skoro to państwo ma swojego człowieka w rządzie i korzysta on z możliwości nie tylko wpływania na jego politykę, lecz także – poprzez liczne wywiady, udział w dyskusjach czy publiczne wypowiedzi – wpływa na polską opinię publiczną, kształtuje poglądy wielu ludzi oraz oddziałuje na to, co robią i mówią żyjący w Polsce Ukraińcy (ok. 2 mln).

Chodzi o Andrzeja Szeptyckiego, od stycznia 2024 r. podsekretarza stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego (z rekomendacji Polski 2050), profesora nauk społecznych w dyscyplinie stosunki międzynarodowe, wykładowcę Uniwersytetu Warszawskiego. Szeptycki otwarcie przyznaje się do ukraińskiego pochodzenia, jest członkiem Związku Ukraińców w Polsce. Dla wielu stanowi to powód do podważania jego bezstronności jako polskiego urzędnika. Gdy publicznie podkreślał, że jest przedstawicielem mniejszości narodowej (ukraińskiej), prosił, by go z tego powodu nie dyskryminować. Było to odbierane jako zakwestiono-

Autopromocja

eprasa.pl 88714e0595

wanie prawa do merytorycznej krytyki jego politycznych działań i manipulacji na temat historii.

Dla partii Polska 2050 Andrzej Szeptycki jest ekspertem realizującym polską rację stanu poprzez aktywne wciąganie Ukrainy w polską i europejską orbitę wpływów. A dla politycznych przeciwników jego działalność i wypowiedzi – nie tylko na tematy historyczne – są dowodem na to, że w polskim rządzie zasiada osoba reprezentująca ukraińskie interesy i ukraińskie państwo. Co jest uznawane za wyjątkowy skandal, a wręcz aberrację.

WIELKA UKRAINA

Gdy w przestrzeni publicznej pojawiały się materiały promujące koncepcję „Wielkiej Ukrainy", w których „ukraińskie" były m.in. polskie miasta Przemyśl i Chełm, Szeptycki stwierdzał, że „Krym jest ukraiński" – jakby w tej koncepcji chodziło tylko o Krym.

Na początku lutego 2024 r. Andrzej Szeptycki odniósł się do materiału na platformie X, pokazującego groby poległych w wojnie z Rosją ukraińskich żołnierzy, gdzie obok flag Ukrainy obecne były także czerwono-czarne, banderowskie. „Chwała bohaterom!" – napisał wtedy Szeptycki w komentarzu. Wielu Polaków, w tym politycy, uznali to za skandaliczne, szczególnie że wpis pojawił się w okolicach rocznicy aktu ludobójstwa w Parośli, będącego pierwszym masowym mordem UPA i stanowiącym początek ludobójstwa na Wołyniu. Przez wielu zostało to odebrane jako gloryfikacja banderyzmu.

Gdy wybitny historyk prof. Stanisław Żerko napisał, że „akcja Wisła żadną zbrodnią nie była, a rozproszenie mniejszości ukraińskiej po Ziemiach Odzyskanych stanowiło polską rację stanu", Szeptycki odpowiedział: „Bardzo przykre, że polski naukowiec dokonuje apologii zbrodni komunistycznej i czystki etnicznej". 11 maja 2026 r. prof. Żerko podsumował: „Refleksja po kilku dniach. Ta wypowiedź członka rządu Tuska, zrównująca akcję Wisła z rzezią wołyńską, była albo celową prowokacją – mającą zaognić stosunki polsko-ukraińskie – albo przejawem tępej buty ukraińskiego nacjonalisty, nieliczącego się z poczuciem polskiej krzywdy". Akcja „Wisła" polegała na przesiedleniu ludności ukraińskiej z Polski południowo-wschodniej na Ziemie Odzyskane i została przeprowadzona przez władze komunistyczne od kwietnia do końca lipca 1947 r. Jednym z jej celów była całkowita likwidacja oddziałów OUN-UPA i ich zaplecza społecznego.

Andrzej Szeptycki często podkreśla, że pomoc w reformie ukraińskiej nauki i włączanie jej w programy europejskie służy obu stronom – Polska może się stać hubem dla ukraińskich projektów, korzystając z ich doświadczeń (np. w energetyce jądrowej). Szeptycki uczestniczy w trójstronnych rozmowach (Polska–Niemcy–Ukraina) dotyczących powojennej odbudowy potencjału akademickiego Ukrainy. Argumentuje, że stabilna i zintegrowana z Europą Ukraina to bezpieczniejsza Polska, a współpraca naukowa zapobiega całkowitemu „drenażowi mózgów" z Ukrainy na Zachód, co mogłoby być niekorzystne dla Polski jako sąsiada.

Paweł Usiądek, polityk Konfederacji, wiceprezes Ruchu Narodowego, napisał na platformie X: „Wiceminister nauki Andrzej Szeptycki coraz wyraźniej realizuje cudze interesy za polskie pieniądze. Jego działania w resorcie nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce koncentrują się na wspieraniu ukraińskich projektów naukowych i odbudowie nauki na Ukrainie, w ścisłej współpracy z Berlinem, podczas gdy polski interes narodowy schodzi na dalszy plan". Usiądek uważa, iż „Szeptycki wyznacza priorytety dla ukraińskiej nauki, proponując włączenie jej w europejskie programy, mobilność studentów i naukowców oraz wykorzystanie polskich środków w odbudowie Ukrainy. Tymczasem te same fundusze mogłyby wspierać rozwój polskich ośrodków badawczych, programy dla polskich studentów czy modernizację krajowej infrastruktury naukowej". Pawła Usiądka niepokoi, że „Szeptycki jako wiceminister w polskim rządzie i profesor Uniwersytetu Warszawskiego systematycznie koncentruje swoje wysiłki na realizacji ukraińskich celów politycznych i naukowych, wykorzystując przy tym polski budżet i zasoby państwowe". Konkluzja jest taka, że Andrzej Szeptycki jest politykiem, który „realizuje cele obcego państwa, korzystając z naszych pieniędzy i instytucji".

BOJARZY Z RUSI CZERWONEJ

Rodzina Szeptyckich to stary ród bojarski z Rusi Czerwonej, który z czasem w dużej części uległ polonizacji, a jego przedstawiciele przyjęli katolicyzm. Rodzina była skoligacona ze znanymi polskimi rodami, m.in. Sapiehami, Potockimi czy Fredrami. Już w XVIII w. członkowie rodu (np. bp Atanazy Szeptycki) zaistnieli m.in. jako fundatorzy archikatedry św. Jura we Lwowie. W XX w. Szeptyccy stali się symbolem skomplikowanych wyborów tożsamościowych na Kresach. Stanisław Szeptycki wybrał polską tożsamość. Był generałem broni Wojska Polskiego, dowódcą Legionów Polskich i ministrem spraw wojskowych. To on w 1922 r. wkraczał na czele polskich wojsk do Katowic, przyłączając Górny Śląsk do macierzy. Z kolei Andrzej (Roman) Szeptycki wybrał tożsamość ukraińską. Przeszedł z obrządku rzymskokatolickiego na grekokatolicki i został metropolitą lwowskim. Klemens (Kazimierz) Szeptycki podobnie jak Andrzej został duchownym grekokatolickim (ihumenem zakonu studytów). Przez Kościół katolicki został ogłoszony błogosławionym. Współcześnie przedstawiciele rodu są (byli) aktywni m.in. w świecie nauki i kultury, np. zmarła w styczniu 2022 r. prof. Maria Szeptycka była fizykiem, a 35-letni Kamil Szeptycki jest aktorem (aktorką jest także jego matka Małgorzata Szeptycka).

Postać metropolity Andrzeja Szeptyckiego jest jedną z najbardziej kłopotliwych w relacjach



NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost
CO ZYSKUJESZ?
Płacisz mniej niż w kiosku
– tylko 9,40 zł za egzemplarz
(w kiosku to 13,90 zł)
eprasa.pl 88714e0595

polsko-ukraińskich. Choć urodził się w polskiej rodzinie arystokratycznej jako Roman Szeptycki, świadomie wybrał ukraińskość. Jako metropolita lwowski (od 1901 r.) stał się przywódcą duchowym Ukraińców. Wspierał ukraińskie szkolnictwo, kulturę i organizacje gospodarcze, co sprawiło, że dla Polaków w II RP był często „zdrajcą własnej klasy i narodu", wspierającym dążenia niepodległościowe Ukrainy na terenach Galicji Wschodniej, czyli także na ziemiach polskich. Początkowo widział on w Niemcach szansę na uwolnienie Ukrainy spod sowieckiego terroru (po 1939 r. Sowieci niszczyli Kościół i aresztowali jego rodzinę). Z czasem jednak, widząc zbrodnie hitlerowskie, stał się ich krytykiem. Po tej zmianie Szeptycki ukrywał Żydów w grekokatolickich klasztorach i w swojej rezydencji. Wystosował nawet list do Heinricha Himmlera, protestując przeciwko eksterminacji ludności żydowskiej, oraz wydał list pasterski „Nie zabijaj". Podczas rzezi wołyńskiej Szeptycki wzywał do zaprzestania bratobójczych walk, ale jego apele były zbyt ogólnikowe (dziś można by powiedzieć – „symetryczne") i nie powstrzymały ukraińskich nacjonalistów przed zabijaniem Polaków. Współcześnie w Polsce dla jednych to święty i humanista, dla innych – polityczny przeciwnik państwa polskiego. Proces jego beatyfikacji w Kościele rzymskokatolickim był przez lata wstrzymywany właśnie ze względu na te konteksty.

PO PIERWSZE, UKRAINA

W melodramatycznym w wymowie wywiadzie dla Onetu (19 maja 2025 r.) Andrzej Szeptycki opowiadał, jak spośród pięciu braci Szeptyckich dwóch uważało się za Ukraińców: metropolita Andrzej Szeptycki i błogosławiony o. Klemens, a trzech za Polaków: gen. Stanisław Szeptycki, a także jego bracia Aleksander i Leon (pradziadek Andrzeja). Wiceminister w rządzie Tuska tłumaczył, że „w przypadku metropolity Andrzeja i ojca Klemensa [...] powołanie, wybór religijny były najważniejsze. Gen. Stanisław Szeptycki, jak to wojskowy w tamtych czasach, najpierw był w armii austro-węgierskiej, a potem w armii polskiej i starał się dobrze służyć swojemu krajowi. Oni z pewnością byli patriotami – każdy narodu, z którym się utożsamiał. Natomiast bardzo ważne jest, że na pewno nie byli nacjonalistami". Po wojnie Szeptyccy byli prześladowani: najpierw jako przedstawiciele dawnej warstwy ziemiańskiej, a potem jako Ukraińcy w Polsce. Metropolitę Andrzeja krzywdzono, przedstawiając jako „ukraińskiego nacjonalistę, ojca duchowego Ukraińskiej Powstańczej Armii". Wiceminister nauki żalił się, że „nawet jeszcze w latach 90. krewni dość regularnie słyszeli, że »Szeptycki to banderowiec«. Obecnie to właściwie zniknęło. Sam tego doświadczyłem w 2023 r., gdy prowadziłem kampanię wyborczą". Ale w mediach społecznościowych wciąż jest „często opisywany jako Szeptycki – Ukrainiec, banderowiec. I pewnie jest jakaś część społeczeństwa, która zawsze będzie w ten sposób reagować". Jednak normalne ma być to, że tacy jak on wybierają powrót na Ukrainę bądź działanie na rzecz tego państwa, jak „brat cioteczny, który kilka lat temu, mając 50 lat, przeprowadził się do Lwowa. Drugi kuzyn stworzył Fundację Rodu Szeptyckich, która po 24 lutego 2022 r. aktywnie włączyła się w pomoc Ukrainie".

> Dla Szeptyckiego asymetrią jest wszystko, co nie służy Ukrainie, nie przykrywa ludobójstwa na Wołyniu, nie faworyzuje Ukraińców i nie ma zrozumienia dla ich cierpień. Czy dlatego znalazł się w rządzie Tuska?

Andrzej Szeptycki miewa „oryginalne" skojarzenia: „że w 2022 r. Ukraińcy znaleźli się w sytuacji podobnej do tej, w jakiej Polacy byli podczas II wojny światowej. Wystawa »Warszawa–Mariupol – miasta ruin, miasta walki, miasta nadziei« była jedną z prób uchwycenia tej symbolicznej równoległości: miasta zrównane z ziemią, cierpienie cywilów, opór". Twierdzi, że „ważne jest rozbrajanie sporów historycznych, jak te dotyczące ekshumacji. Nawet jeżeli mówienie o ekshumacjach będzie w krótkim okresie przywracało kwestię Wołynia, to w dłuższym okresie przyczyni się do rozwiązania tego problemu". A wydawanie dużych pieniędzy na pomoc Ukrainie ma sens, gdyż „mimo wojny, dysponuje [ona] w wielu obszarach atutami, które po jej wejściu do Unii na wspólnym rynku będą dla Polski wyzwaniem. Oczywiście wejście Ukrainy do Unii leży w strategicznym interesie Polski. W tej chwili realnym wyzwaniem nie jest kwestia zbrodni wołyńskiej, tylko np. to, jak przystosować wspólną politykę rolną do potencjału ukraińskiego rolnictwa. Trzeba też przeciwdziałać eskalowaniu antagonizmów społecznych". Czyli zagrożenia są, a jakby ich nie było.

Dlatego Szeptycki jako przedstawiciel ministerstwa wspiera „projekty, które angażują naukowców i instytucje z obu krajów. Takie, które budują wspólną przestrzeń badawczą". Przykładem jest „projekt Karpackiego Uniwersytetu Narodowego im. Wasyla Stefanyka w Iwano-Frankiwsku, który wspólnie ze Studium Europy Wschodniej odbudował na górze Pip Iwan przedwojenne uniwersyteckie obserwatorium astronomiczne Biały Słoń. Z ruin powstała działająca stacja badawcza. Teraz obie uczelnie szukają środków na teleskop, to trzeci etap projektu. To przykład konkretnej współpracy opartej na partnerstwie, a nie na asymetrii".

Wygląda na to, że dla Szeptyckiego asymetrią jest wszystko, co nie służy Ukrainie, nie przykrywa ludobójstwa na Wołyniu, nie faworyzuje Ukraińców i nie ma zrozumienia dla ich cierpień, a nie tych, których oni sami są sprawcami. Chyba nie po to Andrzej Szeptycki znalazł się w rządzie Donalda Tuska. A może jednak po to. Ale to byłby skandal o wiele większy, niż mogłoby się wydawać.

eprasa.pl 88714e0595

Ziobro w USA, zgrzytanie zębami w kraju

Wyjazd Zbigniewa Ziobry do USA całkowicie zaskoczył obóz władzy. Dla niego to wręcz szok. W PiS odczuwa się satysfakcję, że Ziobro nie padł ofiarą zemsty Donalda Tuska, a także niepewność. Jakie będą konsekwencje tego zdarzenia? Czy ktoś z tego skorzysta, czy będą straty? Obie strony nie potrafią jeszcze określić, co im przyniesie udana eskapada Ziobry



PIOTR GURSZTYN

W niedzielę, 10 maja br., Polska niespodziewanie dowiaduje się, że Zbigniew Ziobro znajduje się na terenie USA. Wiadomość kompletnie zaskakuje rząd, mimo że dysponuje on służbą dyplomatyczną, wywiadem, kontrwywiadem i policją. A tu nagle taki psikus ze strony polityków (bo także Marcina Romanowskiego), którzy – zdawało się – byli już w rękach podległej Waldemarowi Żurkowi prokuratury. „Widzę, jak zaciska się pętla wokół nich" – perorował tuż po przegranych przez Fidesz wyborach minister Żurek. Bo przecież Péter Magyar jeszcze w kampanii wyborczej obiecywał, że deportuje ich pierwszego dnia. Żurek z wielką pewnością siebie odradzał wtedy ucieczkę jako „najgorsze wyjście". A teraz sam musi sobie radzić z pętlą na szyi, bo wiele wskazuje na to, że zapłaci za ten blamaż ministerialnym stołkiem.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 88714e0595

GRA DYPLOMATYCZNA

O historiach takich jak ta mówi się, że są filmowe. W tym przypadku nie będzie to przesada. Losy Zbigniewa Ziobry ważyły się do końca i nie było pewne, czy uda mu się wyjechać za ocean. Według niektórych doniesień niechętny wpuszczeniu Ziobry był amerykański sekretarz stanu Marco Rubio. To on miał obiecać Radosławowi Sikorskiemu, że Ziobro nie wjedzie na teren Ameryki. Podobnie ambasador stanów Zjednoczonych w Polsce Tom Rose miał być przeciw azylowi dla Ziobry i Romanowskiego. „Pan ambasador Rose zapewnia, że nie ma takich planów ze strony Stanów Zjednoczonych" – oznajmił w wywiadzie radiowym Radosław Sikorski. Szef MSZ zapewniał premiera i całą Radę Ministrów, że Ameryka jest zamknięta dla obu zbiegów. Żurek też gwarantował, że panuje nad sytuacją.

Co się zmieniło? Według naszych informacji decyzje zapadały w ostatniej chwili. W ambasadzie USA pojawiła się delegacja ważnych polityków PiS. To oni przekonali Rose'a. Tu trzeba dodać kolejne nieoficjalne doniesienia, że wpuszczenie Ziobry nie budziło entuzjazmu wśród powiązanych z republikanami środowisk żydowskich, które pamiętały mu projekt ustawy o IPN.

Swoją rolę odegrał też list napisany przez Jarosława Kaczyńskiego do wiceprezydenta J.D. Vance'a. Ciekawostką jest również to, że w pomoc Ziobrze zgodnie zaangażowały się wszystkie frakcje PiS.

A jeśli chodzi o przekonanie sekretarza stanu Rubio, to wskazówką może być rozgoryczony internetowy wpis Radosława Sikorskiego adresowany do Adama Bielana: „Nie zapomnij o Mejzie, Samerze, Kuczmierowskim i całej reszcie pisowskich aferzystów. Oni też potrzebują się zamelinować". To jednak tylko wyraz bezsilności. Rubio jest jedynym kontaktem Sikorskiego z obecną administracją waszyngtońską, ale i tak wolał posłuchać szeregowego europosła. Szef amerykańskiej dyplomacji zna się z Bielanem od kilkunastu lat i jest to bliska relacja.

Scenariusz ucieczki Ziobry jest sensacyjny także dlatego, że były w nim elementy zmylenia służb państw, które chciałyby go zatrzymać. Wiadomo, że podróżował, posługując się tzw. paszportem genewskim, ale wyleciał do Stanów Zjednoczonych z innego kraju niż Węgry. Wszystko wskazuje na to, że prawdą są twierdzenia, iż otrzymał wizę dziennikarską dzięki współpracy z TV Republika.

Tę ostatnią wiadomość wzmacnia deklaracja Zbigniewa Ziobry oraz Republiki, że były minister sprawiedliwości będzie korespondentem tej telewizji. Ziobro chce być obecny w kampanii wyborczej i będzie to jego sposób na kontakt z krajem. Dla niego to zysk, bo daje szansę, aby nie popaść w zapomnienie. Pytanie, czy to zysk dla całej formacji i jakie będą konsekwencje polityczne tego sensacyjnego zwrotu akcji. Najkrócej odpowiadając: absolutnie nieprzewidywalne dla wszystkich.

KONSEKWENCJE POLITYCZNE

Zacznijmy od Zbigniewa Ziobry. Będzie się pokazywał, będzie mógł mówić ostro, utrzyma lojalność (i tak bardzo dużą) swych dawnych współpracowników. Ci, choć w sumie nieliczni, potrafią kształtować narrację całego, wielkiego PiS. A o to też przecież idzie spór wewnątrz tej partii. Formalnie Ziobro jest wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości, więc to, co będzie mówił, może iść na konto całej formacji. Na dodatek nie podlega tym ograniczeniom, które dotyczą polityków działających na scenie krajowej. Władze partii nie będą miały środków, aby go zdyscyplinować.

Nie można zatem wykluczyć sytuacji, że jego narracja stanie się albo prawdziwym powodem, albo wygodnym pretekstem do frondy Mateusza Morawieckiego i jego grupy. W krótkiej perspektywie to zwycięstwo Ziobry i ziobrystów. A co, jeśli skutkiem tego będzie następna kadencja rządów Donalda Tuska? Wtedy Ziobro nadal będzie uchodźcą, jego krajowi współpracownicy (np. Dariusz Matecki) znów trafią do aresztów, a także spadnie na nich część odium za rozbicie prawicy i przedłużenie władzy Tuska.

W tej chwili PiS będzie broniło Ziobry. Ale widać, że partia ma obawy przed konsekwencjami politycznymi. Charakterystyczna była pierwsza reakcja Przemysława Czarnka. Zapytany, czy „nie razi go" sprawa ucieczki Ziobry, odpowiedział, że bardziej rażą go realne problemy gospodarcze i społeczne. Wymienił brak reakcji rządu na szkody poniesione przez sadowników, zwolnienia w kopalni Bogdanka i obcięcie finansów dla szpitali powiatowych. „A sprawa pana Zbigniewa Ziobry jest absolutnie trzeciorzędna" – odpowiedział. Czy miał rację? Tylko do pewnego stopnia. Można dyskutować, czy pierwszorzędna, bo rzeczywiście na decyzje wyborców w większym stopniu wpłynie temat butelkomatów niż ucieczka Ziobry. Nie mówiąc już o tak kluczowych kwestiach jak ceny energii, drożyzna, katastrofalne pogorszenie się opieki zdrowotnej. Ale na pewno nie jest to sprawa trzeciorzędna. Zarówno dla PiS, jak i dla rządu.

Podobna była reakcja Mateusza Morawieckiego, który stwierdził, że to „pułapka" zastawiona przez Donalda Tuska: „On musi wywołać sztucznie jakiś temat, który będzie przykrywał ważne tematy. Ważny temat to zapaść w służbie zdrowia, o 20 proc. rosnące bezrobocie wśród młodych".

Były premier – podobnie jak Czarnek – ma rację tylko częściowo. Owszem, narastające problemy bytowe to kwestia niszcząca ekipę Tuska, ale nie jest tak, że temat ucieczki Ziobry służy rządzącym. To zagadnienie jest bardziej zawikłane.

Nieco nadziei daje rządowi fakt, że temat Ziobry i Funduszu Sprawiedliwości może nieco ożywić dawne antypisowskie emocje. Pamięć o „aferach" tamtego czasu była przecież autentyczną motywacją dla wielu wyborców, aby w październiku 2023 r. nie głosować na PiS, lecz przerzucić swoje poparcie na Trzecią Drogę lub Konfederację. Przez 2,5 roku rządów Tuska te emocje słabną, ważne staje się co innego, więc może uda się rozbudzić dawną niechęć do prawicy? Już ruszyła narracja, że to „kompromitacja" PiS albo że sprawa „topi" tę partię. „Wszyscy widzą, że jest to partia, której wiceprezes jest po prostu gangsterem, cwaniakiem, krętaczem, który ucieka, jak kiedyś goście z Wołomina i Pruszkowa, którzy też uciekali" – grzmiał w TVN24 jeden z bardziej twardogłowych członków KO, Krzysztof Brejza.

Tyle że to przekaz do przekonanych, i to najbardziej fanatycznych, z kręgu Silnych Razem. Jest ich jednak zbyt mało, aby KO zwyciężyła, a oni sami są zdruzgotani bezradnością rządu wobec ucieczki Ziobry. Kilka dni przed wiadomością o pobycie Ziobry w USA liberalny publicysta Leszek Jażdżewski diagno-

Autopromocja

eprasa.pl 88714e0595

zował kondycję polityczną Tuska i całej Koalicji Obywatelskiej. Pisał m.in. o tym, dlaczego szef rządu nie traci poparcia mimo braku wymiernych osiągnięć na polach polityki gospodarczej i społecznej: „Premier Tusk do perfekcji opanował zarządzanie strachem swoich zwolenników przy jednoczesnej umiejętnej neutralizacji ich oczekiwań. Szczególnie w starszym pokoleniu zwolennicy wybaczyć mu mogą praktycznie wszystko. W doktrynie Tuska liczy się siła. Słabi nie mają racji".

Czy po drugiej udanej ucieczce Ziobry i Romanowskiego oraz wobec braku jakichkolwiek skutecznych represji antypisowskich ta opinia nadal jest aktualna? Bo o jakiej sile mowa, gdy obecna ekipa pokazuje skrajną nieudolność? Uwaga o tym, że najbardziej przekonana grupa wyborców KO wybaczy Tuskowi wszystko, traci aktualność. Ci ludzie przebaczą to, że Tusk „nie dowozi" obietnic socjalnych i gospodarczych ze „100 konkretów", bo dla nich to nigdy nie było ważne. Sprawę „rozliczeń", czyli *de facto* anihilacji prawicy, traktują bardzo osobiście (co widać po nadzwyczaj emocjonalnych komentarzach zamieszczanych w internecie). Z tego powodu czują się upokorzeni, bo ich prawicowi antagoniści odczuwają dużą satysfakcję.

„Ucieczka Ziobry do USA to symboliczny koniec rozliczeń PiS-u" – pod takim tytułem ukazał się jeden z pierwszych komentujących to zdarzenie tekstów w „Gazecie Wyborczej". To opis kapitulacji. „Nie daliśmy rady, zawiedliśmy naszych wyborców" – mówił tam jeden z anonimowych polityków KO. A inny dodał: „Za rok będziemy się gęsto tłumaczyć z rozbudzonych nadziei".

Niby jest tak, że w badaniach opinii społecznej sprawa rozliczeń PiS znajduje się bardzo nisko, ale jednocześnie istnieje grupa wyborców KO, dla której jest ważna. I w sytuacji, o której pisaliśmy wyżej, gdy Tusk „nie dowozi" spraw bytowych, traci jednocześnie zaufanie w kluczowej dla niego grupie. Możliwe, że jakaś jej część w proteście „zastrajkuje" i nie pójdzie na wybory parlamentarne. W scenariuszu, w którym prawica zachowa zwartość i pójdzie do wyborów zjednoczona oraz z atrakcyjną ofertą programową, będą to liczby decydujące o ostatecznym werdykcie wyborczym.

BLAMAŻ ŻURKA

Jest też kwestia ministra „drwala" Waldemara Żurka. Zasiada on w resorcie już 10. miesiąc, a żaden pisowski „gangster" (używając poetyki senatora Brejzy) nie został skazany ani nawet aresztowany. Co gorsza dla niego, wydało się, że nie ma żadnych podstaw prawnych do międzynarodowego ścigania Ziobry. W sprawie uprawomocnienia postanowienia o tymczasowym aresztowaniu byłego ministra sąd zbierze się... we wrześniu. Bez tego nie można złożyć wniosku o ekstradycję. A tego dokumentu pewnie nie będzie, bo naraża on obecne polskie władze na międzynarodową dyskusję o stanie naszej praworządności. Tematem będzie to, dlaczego Interpol odmówił wydania tzw. czerwonej noty w sprawie Marcina Romanowskiego. Uzasadnienie nie jest opublikowane, ale wiadomo, że wynika ze sprzeczności z „duchem Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka" lub przeszkód „o charakterze politycznym, wojskowym, religijnym lub rasowym". Zostaną przytoczone liczne wypowiedzi polityków koalicji rządowej, czyli władzy wykonawczej, w których niezgodnie z zasadą domniemania niewinności określano polityków PiS jako przestępców, którzy i tak trafią do więzienia. Zostaną przywołane słowa ministra sprawiedliwości (jeszcze niedawno sędziego) o bagażniku, w którym zostaną przywiezieni obaj politycy. Dojdzie też temat sytuacji w prokuraturze i sądownictwie. To nie będzie debata miła dla obecnego rządu.

> Swoją rolę odegrał też list napisany przez Jarosława Kaczyńskiego do wiceprezydenta J.D. Vance'a. Ciekawostką jest również to, że w pomoc Ziobrze zgodnie zaangażowały się wszystkie frakcje PiS

Nawet najbardziej fanatyczny Silny Razem nie może już twierdzić, że butne zapowiedzi Żurka to coś więcej niż tromtadracja. Zresztą w żadnej dziedzinie, np. usprawnienia pracy sądów, Żurek nie ma jakichkolwiek osiągnięć. A pamiętajmy, że jest on osobistą kreacją Donalda Tuska. To premier wpadł na pomysł, aby ściągnąć do rządu kontrowersyjnego sędziego z Krakowa i zastąpić nim Adama Bodnara, który nie spełniał pragnień szybszej zemsty na pisowcach. Na Tuska spada cała odpowiedzialność za to, że ministrem uczynił „fujarę" (przywołując słowa Zbigniewa Ziobry).

Wreszcie kolejna rzecz, która potęguje wrażenie bezsiły rządu. Kilka osób z koalicji – np. Włodzimierz Czarzasty czy Roman Giertych – głośno wyraziło swoje oburzenie na decyzję Amerykanów. Ale to tylko bezradne i niepoważne pyskowanie. Wszyscy wiedzą, iż rząd musi z pokorą przełknąć tę żabę. Ostatnie wypadki związane z wycofaniem żołnierzy amerykańskich z Niemiec i szansą na ich relokację do Polski pokazały, że nawet Donald Tusk ma ograniczone możliwości sabotowania starań o zwiększenie obecności US Army. Po jego słowach, że nie chce „podbierać" żołnierzy Niemcom, jego współpracownicy bardzo szybko musieli to korygować, zapewniając, że nasz kraj jest gotowy na ich przyjęcie. To wskazuje, że Tusk i Czarzasty doszli do ściany ze swoją antyamerykańską obsesją. Znowu powiedzą, że Trump jest okropny? Będzie tylko śmiech na sali. Tym nikt się już nawet nie oburzy.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze

eprasa.pl 88714e0595



Upokorzeni

Schronienie się pod opiekuńczymi skrzydłami Ameryki zamyka sprawę ścigania, aresztowania i procesu Zbigniewa Ziobry. Patrząc z perspektywy politycznej, to nie tylko udaremnienie usilnych i długotrwałych starań obecnej władzy, lecz także upokarzający policzek, zadany osobiście Donaldowi Tuskowi



JAN ROKITA

Polski premier – trzeba to przyznać – solidnie zapracował na upokorzenie, które go teraz spotyka. Po pierwsze, z premedytacją obierając sobie Ziobrę do roli spektakularnej ofiary, która miała zostać rzucona najbardziej zajadłym rewanżystom z obozu platformersko-lewicowego tylko by sprawić im uciechę i zyskać ich uznanie. Po drugie, wbrew oczywistym interesom Rzeczypospolitej z premedytacją przyjmując rolę jednego z zawziętych kontestatorów współczesnej amerykańskiej polityki. I to tak dalece, że Steve Bannon (co by o nim nie sądzić, jest jednak istotnym wyrazicielem nastrojów amerykańskiej prawicy) nie tak dawno wskazał Tuska po nazwisku jako najskrajniejszego wroga prezydenta Trumpa i całego ruchu trumpistowskiego w Europie. Nie wykluczam zresztą, że mógł w ten sposób sprawić polskiemu premierowi perwersyjną przyjemność.

Teraz Tusk dostaje od Ameryki odpłatę. Z USA Ziobro będzie mógł regularnie na antenie TV Republika wykpiwać wysiłki zarówno samego Tuska, jak i jego ministra Waldemara Żurka, którego główną misją było przecież dopadnięcie byłego polityka PiS. Teraz, gdy ścigany i tropiony pozostaje poza zasięgiem upartyjnionej prokuratury, Żurek nie jest już Tuskowi do niczego potrzebny.

Czy gdyby Żurek był bardziej sprawny, potrafiłby zapobiec schronieniu się Ziobry w Ameryce? To bardzo wątpliwe, ale wątpliwe jest też, aby tego rodzaju pytanie miało teraz jakiekolwiek znaczenie dla szefa rządu. Za spektakularne upokorzenie, którego doznał ze strony Ameryki, Tusk musi wziąć na kimś odwet. Żurek jest oczywistym kandydatem numer jeden, bez względu na to, czy w ogóle zawinił i w czym.

CO DALEJ Z ŻURKIEM?

Teraz Tusk musi mieć do niego kilka pytań, które – o ile mogę przypuszczać – zostały już postawione wewnątrz rządu. Po pierwsze, jak Żurek mógł dopuścić do tego, aby po przeszło roku od objęcia przezeń urzędu ministra i prokuratora nadal nie było prawomocnego nakazu aresztowania Ziobry. A na dodatek okazało się poniewczasie, iż sędzia, która ma orzekać w tej kwestii, nie kryje tego, że jest akcjonariuszką TV Republika, ściśle współpracującą ze ściganym byłym ministrem!

I po to Tusk musiał bronić Żurka, gdy ten *par force* zmieniał zasady wyznaczania składów sędziowskich, tak by procedurę losowania zastąpić kontrolą

21/0426/F

eprasa.pl 88714e0595

prezesów? Przecież o decyzji o ministerialnej nominacji Żurka zdecydowały dwie przesłanki: to, że najmocniej nienawidził Ziobry i to, że był sędzią funkcyjnym, więc można było liczyć, iż potrafi oddziaływać na sędziów i podejmowane przez nich decyzje. A tu masz! Nawet nie dopilnował tego, by do procesu przeciw Ziobrze nie została wyznaczona współwłaścicielka TV Republika!

Drugie kluczowe pytanie do Żurka jest związane z planowanymi staraniami o deportację Ziobry do Polski. Jak to możliwe, że minister obiecuje wysłanie stosownego wniosku w ciągu kilku dni, a zaraz potem okazuje się, iż amerykański wymiar sprawiedliwości już w przeszłości ignorował takie wnioski, o ile nie stał za nimi prawomocny sądowy nakaz aresztowania? Wszyscy o tym wiedzieli, a Żurek nie? A może było tak, że jak minister zobaczył opublikowane w sieci zdjęcie uśmiechniętego Ziobry na nowojorskim lotnisku, to tak się przeraził, że zaczął gadać te niestworzone niedorzeczności? Zresztą Tusk jest w pełni świadom, że teraz Żurek jest już bezradny w tej sprawie, a jego nerwowe starania o deportację są niczym więcej jak grą pozorów, obliczoną już tylko na utrzymanie się na ministerialnym stanowisku.

Imperia takie jak Ameryka nie wydają w ręce wrogów polityków, którym zdecydowały się udzielić schronienia. To żelazna zasada, a jej źródłem jest niezwykle silne poczucie suwerenności amerykańskiej republiki. Dziś na tej zasadzie opiera się przede wszystkim bezpieczeństwo Zbigniewa Ziobry. To nie są Węgry, więc nawet wyborcza zmiana w Białym Domu niczego nie zmieni w tej kwestii. A poza tym – jeśli na rzecz patrzeć od strony form i procedur deportacyjnych – dobrze wiadomo, że w USA są one wyjątkowo szczegółowe i długotrwałe.

Nawiasem mówiąc, teraz byłemu prokuratorowi generalnemu przydaje się lekcja, którą dostał od Ameryki wiele lat temu, gdy z nadmiernym zapałem i entuzjazmem chciał skłonić amerykański sąd do wydania Polsce człowieka, podejrzanego wtedy o udział w zabójstwie szefa policji gen. Marka Papały. Nie uzyskał wówczas nic, a na dodatek sędzia z Chicago zdezawuował polską prokuraturę, kwestionując świadków, z zeznań których wysnuła ona swe oskarżenie. Pointa tej sprawy jest na poły komiczna: po upływie kilku lat także polscy prokuratorzy zrezygnowali z oskarżenia owego człowieka o zabójstwo, czyli poszli śladem sędziego z Chicago. Najwyraźniej amerykański sędzia – choć to przecież nie on prowadził śledztwo i nie on zbierał dowody – szybciej potrafił zrozumieć sprawę od polskich prokuratorów.

JAK KUBA BOGU, TAK BÓG KUBIE

Uzyskanie schronienia przez Ziobrę w Ameryce tak naprawdę kończy cały „represyjny" okres rządów Tuska. Niewykluczone, że zapędzony w kozi róg Żurek (o ile nie zostanie szybko wyrzucony z posady) będzie się jeszcze starał

Fot. Andrzej Wiktor, Ludmyla Skwarczyńska

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ



WPŁATY NA KONTO:
FUNDACJA INSTYTUT MEDIÓW
03 1140 2004 0000 3002 7860 6231

TYTUŁ PRZELEWU:
POMOC DLA CHRZEŚCIJAN
W ZIEMI ŚWIĘTEJ

+PRO+TERRA+SANCTA+
WSPARCIE DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce
Zakonu Rycerskiego
Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja
Instytut Mediów

WIĘCEJ
O AKCJI
POMOCY:

eprasa.pl 88714e0595

wykazać – a to intensyfikacją śledztwa przeciw Mateuszowi Morawieckiemu, a to ściganiem ministrów i doradców prezydenta. Jak bowiem wiadomo, Żurek wpadł na pomysł, że wszyscy oni powinni odpowiadać karnie za „podżeganie i pomocnictwo" w przestępczej (z natury rzeczy) działalności Karola Nawrockiego jako głowy państwa. Ale to wszystko będzie już raczej wyglądać śmiesznie, a nie groźnie – trochę tak jak próby represji, które upadająca władza komunistyczna podejmowała jeszcze w 1989 r.

Zbigniew Ziobro – ta najważniejsza i symboliczna ofiara Tuska – chroniąc się w Ameryce i Donald Trump, dając mu to schronienie, stworzyli bowiem fakt, który definitywnie przesądził o fiasku polityki represji jako narzędziu utrzymywania się przy władzy. Jak słusznie mówił sto lat temu Piłsudski (choć sam niekoniecznie trzymał się tej zasady): „Polską nie da się rządzić batem".

Dlaczego Trump – by rzec o sprawie w sposób kolokwialny – wyciął polskiemu premierowi taki numer? To ważne polityczne pytanie, bowiem prowadzi do odkrycia paradoksu całej amerykańskiej polityki Tuska. Prawdę mówiąc, nie jest łatwo zracjonalizować to wszystko, co zwłaszcza ostatnimi miesiącami wyprawiał w tej dziedzinie polski premier. Zupełnie tak jakby sprawdzał Trumpa, czy Ameryka w ogóle jest w stanie „odwdzięczyć" mu się, czy też – w polskiej sytuacji geopolitycznej – można ją bezkarnie drażnić i obrażać, a na dodatek bez ważnego dla Polski powodu. „Nie" Tuska dla planu pokojowego Trumpa w Strefie Gazy. „Nie" Tuska dla ustawienia na jakiś czas europejskich Patriotów na Bliskim Wschodzie. „Nie" Tuska dla udziału w rozminowaniu cieśniny Ormuz. „Nie" Tuska dla przemieszczenia do Polski z Bawarii żołnierzy amerykańskich (chwała Bogu, korygowane potem nerwowo przez wicepremiera Sikorskiego). W końcu złowieszczy wywiad dla „Financial Times", w którym polski premier w gruncie rzeczy zakwestionował wartość amerykańskiego sojusznika. W całej historii polsko-amerykańskich stosunków nie było przypadku, by rzecznik Białego Domu polemizował z polskim premierem, posługując się obelżywym w gruncie rzeczy sformułowaniem o „tzw. sojusznikach".

To, że udzielenie schronienia ściganemu przez Tuska wrogowi politycznemu jest cichym odwetem za to wszystko, nie budzi chyba niczyich wątpliwości. Jak dobrze wiadomo, Donald Trump pozostaje bezwzględnym wyznawcą reguły „robienia dealów", co na ojczysty język można przełożyć przysłowiem: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Warto powiedzieć to wprost:

To, że udzielenie schronienia ściganemu przez Tuska wrogowi politycznemu jest cichym odwetem Trumpa, nie budzi chyba niczyich wątpliwości. Prezydent USA jest bezwzględnym wyznawcą reguły „robienia dealów", co na ojczysty język można przełożyć przysłowiem: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie

to, co robił ostatnio Tusk, nie służyło wprawdzie polskiemu interesowi narodowemu, ale świetnie posłużyło interesowi Zbigniewa Ziobry, dając mu bezpieczeństwo. Całe szczęście, że Amerykanie – na razie – rozróżniają między odwetem na Tusku a odwetem na Polsce. Zapewne nie przez przypadek niemal dokładnie w chwili, gdy Amerykanie zaprosili Ziobrę, Trump – dość nieoczekiwanie i na pozór bez powodu – rzucił publicznie uwagę, że ma w Polsce „świetnego przyjaciela", prezydenta Nawrockiego, dlatego zastanawia się nad przemieszczeniem żołnierzy US Army na terytorium Rzeczypospolitej.

A GDZIE SOLIDARNOŚĆ W PiS?

W całej sprawie ucieczki Ziobry oraz pościgu za nim w wykonaniu Tuska i Żurka tak naprawdę zadziwia mnie tylko jedna rzecz: wrogie i publiczne dywagacje niektórych polityków PiS na temat szukającego bezpiecznego kraju wiceprezesa ich partii.

Zastanawiam się, czy w pogrążającym się w walkach frakcyjnych PiS istnieje jeszcze coś takiego jak poczucie wspólnotowego „esprit de corps" albo po prostu ludzkiej solidarności. Bo w jakich okolicznościach i wobec kogo miałaby się ona przejawiać jak nie wobec jednego z partyjnych liderów, którego wróg polityczny wziął na celownik, próbuje dopaść i skazać za niepopełnione najcięższe zbrodnie. Każdego dnia czytam o tym, że Ziobrze grozi 25 lat więzienia za kierowanie gangiem i megakorupcję. A kiedy próbuję dowiedzieć się czegoś więcej, słyszę tylko tyle, że ów gang to założona przez Ziobrę partia Solidarna Polska – może jeszcze zakon księży sercanów – a owa megakorupcja to wydawanie pieniędzy na remont gmachu prokuratury, zakup systemu inwigilacji dla służb specjalnych albo finansowanie budowy kościelnego ośrodka wsparcia dla ludzi dotkniętych przez przemoc.

Za takie rzeczy – czyli dezynwolturę w dysponowaniu budżetem – grozi w polskim prawie odpowiedzialność przed Komisją Dyscypliny Budżetowej. I grzywna w wysokości trzech pensji oraz w najgorszym razie kilkuletni zakaz piastowania funkcji związanych z dysponowaniem budżetem państwa. Nie mam wątpliwości, że gdyby Żurek miał lepsze dowody zbrodni popełnionych przez Ziobrę, to rządowa propaganda bębniłaby o nich każdego dnia. Nie robi tego.

Ziobrę można lubić albo nie, jego politykę można akceptować albo odrzucać, jego styl uprawiania polityki można oceniać dobrze albo źle. To jasne. Zbigniew Ziobro zapisał się w historii Polski jako polityk budzący wokół siebie potężne kontrowersje. Tyle że poza tymi wszystkimi ocenami i kontrowersjami na końcu pozostaje jeszcze jedna elementarna rzecz: solidarność z kimś, z kim władza postępuje wyjątkowo niesprawiedliwe.

eprasa.pl 88714e0595

Polacy, wracajcie do Polski!

Jeżeli dalej tak pójdzie, będziemy pierwszym dużym narodem w nowoczesnej Europie, który zaniknie. Mówiąc oględnie: nastąpi zmiana populacji zamieszkującej terytorium Polski. Tutaj nie będzie próżni, bo ze względu na swój potencjał nasz kraj jest cudownym miejscem do życia. Jeżeli nie odbudujemy populacji Polaków, z naszych starań i naszego dorobku chętnie skorzystają inni



Fot. Materiały biura senatora Grzegorza Biereckiego

Z senatorem Grzegorzem Biereckim, przewodniczącym sejmowej Komisji Budżetu i Finansów Publicznych, rozmawia Jerzy Szmit

Ilu Polaków jest na świecie?

Grzegorz Bierecki: Mówi się o 60 mln, co oznacza, że niemal połowa polskiej populacji jest rozproszona na wszystkich kontynentach. Najwięcej Polaków mieszka w Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Wielkiej Brytanii i Francji, a także w krajach byłego Związku Sowieckiego.

Według danych na koniec 2025 r. było 37,4 mln obywateli Rzeczypospolitej. W ciągu jednego roku ubyło nas 147 tys.

Niestety jest to stała tendencja. To jakby co roku znikało miasto średniej wielkości, np. Gdynia czy Częstochowa. Wynika to z wielu czynników, ale w Polsce nie ma skutecznej polityki prorodzinnej. I nie chodzi wyłącznie o politykę, lecz także o promowane postawy. Poczynając od premiera Donalda Tuska, który stwierdza, że wychowanie dzieci to udręka. A przecież kto chce być dręczony? W mediach króluje obraz życia bez zobowiązań, singli, luźnego związku. Tam nie ma miejsca dla dzieci, co najwyżej dla pieska.

Jakie będą tego skutki?

Jeżeli dalej tak pójdzie, będziemy pierwszym dużym narodem w nowoczesnej Europie, który zaniknie. Mówiąc oględnie: nastąpi zmiana populacji zamieszkującej terytorium Polski. Tutaj nie będzie próżni, bo ze względu na swój potencjał nasz kraj jest cudownym miejscem do życia. Co więcej, od ponad 35 lat, gdy otworzyło się okno wolności, dokonaliśmy gigantycznego rozwoju pod względem wielkości produktu krajowego brutto, weszliśmy do pierwszej dwudziestki najbogatszych krajów świata. Jeżeli nie odbudujemy populacji Polaków, z naszych starań i naszego dorobku chętnie skorzystają inni.

egmedia.pl 167.114.95

W czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości poziom życia podniósł się na tyle, że skończyła się masowa emigracja ekonomiczna Polaków. Rządy Donalda Tuska niweczą ten dorobek, bo koncentrują się wyłącznie na walce z opozycją.

Całość polityki obozu Tuska daje efekt osłabiania polskiej grupy etnicznej. Za jego rządów widzieliśmy ogromny ubytek młodzieży. Młodzi, zdolni, wykształceni za nasze pieniądze wyjeżdżają, bo nie widzą możliwości rozwoju. Wynika to z braku inwestycji, które tworzą miejsca pracy. Jest jeszcze coś może nawet gorszego. Rządy Tuska to zawsze budowanie i cementowanie lokalnych układów, które blokują awans ludzi spoza kręgu krewnych i znajomych królika. Młodzi ludzie z małych miasteczek muszą wyjeżdżać, by zrobić karierę, jeśli nie przynależą do grupy trzymającej władzę. Rządzi subkultura, która kwitnie, gdy rządzi Tusk. To zawłaszczanie państwa, województwa, powiatu, gminy przez ludzi układu. Dla innych nie ma dobrego miejsca.

Co dla gospodarki i funkcjonowania państwa oznacza narastający kryzys demograficzny?

Polski produkt krajowy brutto bazuje głównie na popycie wewnętrznym. Jeżeli spada liczba ludności, spada PKB – ze wszystkimi tego fatalnymi konsekwencjami. Łatwo wskazać, że największe pod względem liczby ludności narody – Indie, Chiny – to gigantyczny potencjał gospodarczy. Siła Stanów Zjednoczonych też wynika z 350 mln mieszkańców. I nie jest to odkrycie współczesnej nauki. Od tysięcy lat jedno królestwo najeżdżało drugie, nie tylko aby zawładnąć bogactwami terytorium, lecz także by zagarnąć ludzi. W ekonomii wszystko się zaczyna od człowieka.

Środowisko lewicowe twierdzi, że receptą na problemy demograficzne powinna być masowa imigracja.

Spójrzmy na doświadczenia innych krajów Europy Zachodniej. Koszt zarządzania grupą obcą etnicznie i kulturowo (socjal, dodatkowe koszty utrzymania bezpieczeństwa) przewyższa korzyści wynikające z dochodów podatkowych dostarczanych przez tę grupę. Większość przybyszów do Europy pochodzi z Afryki Północnej. Uciekają z krajów źle zarządzanych, biednych, trawionych przestępczością, często ogarniętych krwawymi konfliktami. Niestety jak pokazuje praktyka, to, od czego uciekali z Afryki, przenoszą do Europy. Dziś nie trzeba jechać do Afryki Północnej, wystarczy zajrzeć do żyjących swoim życiem dzielnic w miastach Europy Zachodniej. Tam już jest Afryka. Mieszkający tam ludzie nie mają zamiaru się asymilować ani przyjąć wartości, które zbudowały dobrobyt Europy. Chcą żyć swoim życiem, religią i kulturą. I żyją – ze wszystkiego tego konsekwencjami. Również z tymi najgorszymi.

Premier Japonii Sanae Takaichi powiedziała, że woli zaakceptować kurczenie się populacji niż pozwolić na masową imigrację, bo zagrozi to podstawom japońskiej tożsamości i wywoła bardzo poważne zagrożenia, w tym konflikty społeczne.

Japończycy bardzo pragmatycznie, skrupulatnie i systemowo policzyli, że koszty przyjmowania migrantów są wielokrotnie wyższe od korzyści. A ryzyko konfliktów społecznych jest zbyt duże. Wobec tego nie chcą przyjmować migrantów. Wprowadzili nawet zakaz sprzedaży mięsa halal.

W Australii podchodzi się jeszcze inaczej.

Tak, tam władze co roku ogłaszają, ile tysięcy ludzi wykonujących dane zawody chcą przyjąć: inżynierów, lekarzy, techników, pielęgniarek, nauczycieli.

Czyli chcą drenować inne narody z wykwalifikowanej kadry.

Trudno to ocenić inaczej. Oferują dobre warunki życia, w przyjaznej kulturze dla fachowców wykształconych z cudzych podatków i cudzym staraniem.

Jakie wnioski powinniśmy z tego wyciągnąć?

Powinniśmy bronić naszej kultury i naszych wartości, bo inaczej nad Wisłą, Odrą, Wartą i Bugiem będziemy mieli Afrykę Północną. Zaczął się gigantyczny rozwój sztucznej inteligencji i robotyzacji – korzystajmy z tego. Liczba miejsc pracy dla osób o niskich kwalifikacjach będzie maleć, a często mówi się nam, że potrzebujemy migrantów do takich prac.

Czy przygotowany przez pana projekt ustawy tworzącej warunki do ponownego przyjęcia Polaków mieszkających w różnych państwach świata to próba odpowiedzi na nurtujące nas problemy? Dotychczasowe starania – jak się okazuje – nie odniosły spektakularnych sukcesów.

Ustawa o repatriacji była tworzona z potrzeby serca, aby umożliwić powrót Polakom siłą wysiedlonym w głąb Związku Sowieckiego. Przyjęte w niej rozwiązania i procedury są przystosowane do tego celu. Gdyby realizować ją bez zmian, to powrót do Polski tylko tych, którzy już są zapisani w kolejce, potrwałaby kilkanaście lat. Potrzeba nowych rozwiązań. Nasz kraj nie ma programu osadniczego, który byłby nastawiony na odbudowę naszej populacji tutaj, w Polsce.

Jakie są główne założenia tego projektu?

Wyludnianie Polski dotyczy całego kraju. Nie tylko – jak się powszechnie uważa – ściany wschodniej czy zachodniej. Dotyczy to również wielkich miast – np. w Łodzi w ciągu 30 lat ubyło 200 tys. ludzi. Podobnie jest w miastach Górnego Śląska i Zagłębia, niemal wszędzie – w miastach średniej wielkości i małych. Dlatego ustawa ma ułatwić repatriację Polaków i osób polskiego pochodzenia, poszerzając krąg uprawnionych na cały obszar dawnego Związku Sowieckiego. Zauważamy, że według danych Ministerstwa Spraw Zagranicznych na Białorusi mieszka ok. 1 mln osób polskiego pochodzenia. Do polskości przyznaje się oficjalnie ok. 300 tys. ludzi, czyli ok. 700 tys. podlega już wynarodowieniu. Mamy bardzo wielu Polaków na Ukrainie, mamy także bardzo wielu Polaków w europejskiej części Rosji. Z tej ustawy będą też mogli skorzystać również Polacy z innych krajów, np. Brazylii czy Argentyny. Powstanie możliwość wydawania

eprasa.pl 88714e0595

wiz krajowych w celu powrotu z migracji, co pozwoli ominąć kolejki, które tworzą się w konsulatach, a ich długość liczy się w latach. Wniosek o taką wizę byłby składany przez internet i kończyłby się wydaniem promesy wizy na wjazd do Polski. Dokończenie procedury dokonywałaby się na granicy. Tak jest teraz przy wjeździe do Wielkiej Brytanii czy Stanów Zjednoczonych.

Przyjazd „osadników" do Polski to pierwszy krok. Co dalej? Jakie mają otrzymać wsparcie?

Najważniejsze jest oczywiście mieszkanie. Już dzisiaj na skutek kryzysu demograficznego mamy ok. 2 mln mieszkaniowych pustostanów. Ich liczba będzie rosła i za trzy, cztery lata we wszystkich powiatach przewyższy potrzeby mieszkaniowe. W zarządzanie tym wielkim programem osadnictwa zostaną włączone samorządy wojewódzkie, które będą opracowywały wojewódzkie programy osadnictwa, aby pomóc obszarom najbardziej zagrożonym wyludnieniem. Samorządy wykupywałyby lub wynajmowały od właścicieli pustostany, aby później udostępniać je osadnikom z możliwością korzystnego wykupu.

Czy gdzieś obowiązują takie mechanizmy?

W większości krajów Unii Europejskiej. Widzimy przecież oferty, że za 1 euro można kupić mieszkanie albo dom, nawet w Toskanii czy na Sycylii. Państwo polskie powinno jak najszybciej przyjąć program osadnictwa i odbudowy populacji, korzystając z instrumentów używanych przez wiele krajów. Np. w Hiszpanii twierdzą, że 1 euro zainwestowane w program osadniczy daje państwu 10 euro.

A jak może to wyglądać w Polsce?

Do wyliczenia korzyści ustawy przyjęliśmy metodologię stosowaną do oszacowania skutków wynikających z obecności grupy ukraińskiej w Polsce. Zakładamy sprowadzenie 500 tys. rodzin. W ciągu 20 lat koszt programu wyniesie ok. 78 mld zł, a przychody w tym okresie powinny wynieść nawet 420 mld zł. Gdyby przyjąć metodologię hiszpańską, byłoby to ponad 700 mld z korzyścią dla Polski.

Czy osadnicy mają otrzymywać wsparcie finansowe?

Oczywiście, muszą otrzymać pomoc na zasiedlenie i wiele innych ułatwień z tytułu rozpoczęcia na nowo życia w Polsce. Równie istotne jest to, że ustawa przewiduje zaangażowanie lokalnej społeczności w przyjmowanie osadników. Trzeba ich jak najszybciej włączyć w sieci społeczne, które funkcjonują w lokalnych społecznościach, np. za pomocą wspólnot parafialnych. Ważne jest, aby osadnicy poznali nowych przyjaciół i mieli do kogo zwrócić się o radę.

> Już dzisiaj na skutek kryzysu demograficznego mamy ok. 2 mln mieszkaniowych pustostanów. Ich liczba będzie rosła i za trzy, cztery lata we wszystkich powiatach przewyższy potrzeby mieszkaniowe. Pomysł jest taki, by samorządy wykupywały lub wynajmowały od właścicieli te pustostany i później udostępniały je osadnikom z możliwością wykupu

A zatem pomysłem jest, aby zażegnać polską zapaść demograficzną, nakłaniając Polaków do powrotu do ojczyzny. To polityka podobna do prowadzonej przez Izrael.

Izrael robi to samo od początku swojego istnienia. Tam program osadnictwa i rozwoju populacji stanowi fundament państwa. Podobne działanie podjęła Hiszpania w czasie rządów José Aznara. Wtedy Hiszpanie szeroko otworzyli drzwi dla potomków konkwistadorów z Ameryki Południowej i ściągnęli ich młodą populację. Ci ludzie założyli rodziny i znakomicie funkcjonują w Hiszpanii. Teraz skrajnie lewicowy premier Pedro Sánchez dał 500 tys. hiszpańskich paszportów, lecz praktycznie nielegalnym migrantom, licząc, że zrobi z nich swoich wyborców, ale to raczej sprowadzi na ten kraj wiele nieszczęść.

Jest więc szansa na odbudowę naszej populacji?

Tak, projekt ustawy zakłada właśnie to: wsparcie dla odbudowy populacji Polaków przez sprowadzenie rodaków żyjących poza naszymi granicami. Wsparcie dla najszybciej wyludniających się obszarów Polski. Wyludnianie się tworzy spiralę degradacji. Kiedy jest mniej ludzi, potrzeba mniej szkół, nauczycieli, jest mniej komunikacji, mniej sklepów, mniej odbiorców usług komunalnych. Podnosi się wtedy ich koszty – mniej podatków ogranicza przecież wpływy do budżetów samorządów. Mniej pieniądza na rynku spowalnia gospodarkę i ogranicza miejsca pracy. Są jeszcze skutki dla rynku nieruchomości. Mówiłem o milionach mieszkań – pustostanów. To powoduje spadek cen nieruchomości, co jest szczególnie groźne dla tych, którzy jeszcze spłacają kredyty. Jeśli wartość niespłaconego mieszkania spadnie, to banki będą żądały większych zabezpieczeń.

Czy widzi pan szansę, aby ten projekt ustawy został uchwalony pod rządami tej koalicji?

Nie widzę takich szans, ale nawet w normalnym terminie do wyborów pozostało mniej niż półtora roku. Jestem pewien, że w nowym Sejmie znajdzie się większość, która stworzy koalicję polskich interesów. Wtedy nasze problemy demograficzne będziemy rozwiązywać nie tylko sztuczną inteligencją i robotyzacją, lecz także skorzystamy z zasobów własnego narodu, zamiast sprawiać sobie kłopot, otwierając drzwi dla migrantów z obcych kultur.

eprasa.pl 88714e0595

Wymieramy!



Polska znalazła się dziś w jednym z najpoważniejszych kryzysów demograficznych od zakończenia II wojny światowej. W ciągu ostatnich ośmiu lat liczba urodzeń zmniejszyła się dramatycznie – z ponad 382 tys. w 2016 r. do ok. 252 tys. w 2024 r. To spadek o ok. 40 proc. i nie jest to już chwilowe wahnięcie statystyczne, lecz głęboki, strukturalny proces



DOROTA ŁOSIEWICZ

Jeszcze bardziej niepokojące jest to, że spadek ten dotknął praktycznie każdy zakątek kraju – nie było ani jednego powiatu, który uniknął regresu. W wielu miejscach skala załamania jest wręcz alarmująca: w dziesiątkach powiatów liczba urodzeń spadła ponaddwukrotnie, a w takich miastach jak Sopot czy Przemyśl – niemal trzykrotnie. To pokazuje, że Polska nie mierzy się wyłącznie z problemem ekonomicznym. Mamy do czynienia z głęboką zmianą społeczną, kulturową i pokoleniową.

TRANSFERY FINANSOWE

W debacie publicznej długo dominowało przekonanie, że główną przeszkodą w posiadaniu dzieci są kwestie finansowe. Z tego założenia wyrastały programy transferów socjalnych, przede wszystkim 500+, później przekształcone w 800+. Rzeczywiście, program 500+ przyniósł krótkotrwały efekt. W pierwszych latach po jego wprowadzeniu zauważalnie wzrosła liczba urodzeń drugich i trzecich dzieci, a 2017 r. okazał się chwilowym szczytem demograficznym. Jednak efekt ten miał charakter przejściowy. Dla wielu rodzin świadczenie stanowiło realne wsparcie finansowe, które zmniejszyło bariery ekonomiczne związane z powiększeniem rodziny. Można więc powiedzieć, że tam, gdzie przeszkodą były kwestie materialne, program zadziałał. Nie rozwiązał jednak problemu kluczowego – spadku liczby pierwszych urodzeń. Państwo dało silny impuls finansowy, ale nie zmieniło fundamentalnych warunków życia młodych ludzi.

To właśnie tutaj ujawnia się podstawowy problem współczesnej polityki rodzinnej: pieniądze mogą pomóc rodzinie wychowywać dzieci, ale nie są w stanie stworzyć gotowości do ich posiadania. Decyzja o rodzicielstwie coraz rzadziej jest bowiem prostą kalkulacją ekonomiczną. W dużej mierze zależy od poczucia stabilności, przewidywalności i zaufania społecznego do przyszłości. Młode pokolenie Polaków dorastało w rzeczywistości permanentnej niepewności. Najpierw kryzys finansowy, potem pandemia COVID-19, następnie wojna za wschodnią granicą, inflacja, wzrost kosztów mieszkań i kredytów. W takich warunkach naturalną reakcją staje się odkładanie decyzji o dziecku. Współczesny 30-latek znacznie częściej niż jego rodzice zadaje sobie pytanie nie o to, czy chce mieć dzieci, lecz czy będzie go na nie stać za pięć lat albo czy będzie w stanie zapewnić im stabilne życie.

Do tego dochodzi problem mieszkaniowy, który w Polsce urósł do rangi

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 88714e0595

jednego z głównych hamulców dzietności. Wysokie ceny nieruchomości i koszt najmu sprawiają, że wielu młodych ludzi przez lata funkcjonuje w stanie życiowego zawieszenia. Trudno planować rodzinę, gdy perspektywa zakupu mieszkania oddala się wraz z każdym wzrostem stóp procentowych. Nawet relatywnie dobre zarobki często nie dają poczucia bezpieczeństwa, potrzebnego do podjęcia decyzji o drugim czy trzecim dziecku.

Najbardziej fundamentalnym problemem pozostaje jednak sama struktura demograficzna Polski. W wiek rozrodczy weszły roczniki kobiet urodzonych w latach 90. XX w., czyli w okresie głębokiego niżu demograficznego. Nawet gdyby każda kobieta rodziła dziś tyle dzieci, co pokolenie ich matek, liczba urodzeń i tak byłaby wyraźnie niższa. W Polsce zadziałał więc mechanizm demograficznego sprzężenia zwrotnego: mniej urodzeń w jednym pokoleniu oznacza mniej potencjalnych rodziców w następnym.

ZMIANY KULTUROWE

Jednak ekonomia i struktura demograficzna wyjaśniają tylko część problemu. Równie istotne są zmiany kulturowe, które w Polsce przez lata były niedoceniane. Model rodziny uległ głębokiej transformacji. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu posiadanie dzieci stanowiło społeczną normę i jeden z podstawowych elementów dorosłości. Dziś coraz częściej staje się indywidualnym wyborem, konkurującym z innymi aspiracjami: rozwojem zawodowym, mobilnością, samorealizacją czy potrzebą zachowania niezależności.

Nie oznacza to, że młodzi ludzie „nie chcą dzieci". Badania regularnie pokazują, że większość Polaków nadal deklaruje chęć posiadania potomstwa. Szczęście rodzinne wciąż jest dla naszych rodaków najważniejszą wartością w życiu. Aż 80 proc. badanych wskazuje, że to rodzina daje szczęście (CBOS 2019). W dalszej kolejności wymienia się zdrowie (55 proc), spokój (48 proc.), grono przyjaciół (45 proc.), szacunek innych ludzi (42 proc.). To potwierdza, że człowiek jest istotą relacyjną, potrzebującą innych osób wokół siebie. Relacje, zwłaszcza z najbliższymi, są dla nas ważniejsze niż bogactwo i dobrobyt (9 proc.), wykształcenie (10 proc.) czy praca zawodowa (36 proc), a rodzina jest szkołą budowania relacji międzyludzkich.

A o jakiej rodzinie marzą Polacy? Zdaniem prawie połowy Polaków (46 proc.) idealna liczba dzieci w rodzinie to dwoje, a co piąty badany (22 proc.) twierdzi, że chciałby mieć troje dzieci. Problem polega na rosnącej rozbieżności między deklaracjami a realnymi decyzjami. Ludzie chcą mieć dzieci, ale później, w bardziej stabilnym momencie życia, który często nigdy nie nadchodzi. Efektem jest odkładanie rodzicielstwa do wieku trzydziestu kilku lat, co biologicznie ogranicza liczbę możliwych urodzeń.

Wielkim problemem okazuje się też luka edukacyjna między kobietami a mężczyznami. Chodzi o różnicę odsetka osób z wyższym wykształceniem wśród kobiet i wśród mężczyzn. W Polsce ponad 4,6 mln kobiet ma wyższe wykształcenie z tytułem magistra lub równorzędnym. Jeśli chodzi o mężczyzn to niespełna 3 mln. W przypadku doboru życiowego partnera kobiety szukają mężczyzn o podobnym lub wyższym statusie społecznym. To zwyczajnie oznacza, że brakuje panów, którzy spełnialiby oczekiwania pań.

Z wykształceniem wiąże się sposób spędzania wolnego czasu i określony styl życia. Kobiety, które wyjeżdżają na studia i zostają później w dużych aglomeracjach, mają inne zainteresowania, rozrywki i przyzwyczajenia niż mężczyźni, którzy zostają w małej miejscowości i kończą edukację na poziomie średnim bądź zawodowym, a zatem światy młodych kobiet i młodych mężczyzn niejako rozchodzą się.

CZARNY PR

Do tego dochodzi czarny PR, jaki rodzinie od lat robią media liberalne. Za to w najlepsze idzie promowanie „nowego lepszego świata". Bez tradycji i bez rodziny. Na portalu Onet.pl jakiś czas temu pojawił się tekst „Niedzietni z wyboru", a w nim takie wyznania: „Dzieci mnie wcale nie rozczulają, tylko męczą – przyznaje 36-letnia Dagmara. – Sytuacje, w których koleżanka daje ci do potrzymania czy przypilnowania dziecko, zawsze mnie paraliżowały – dodaje 43-letnia Magda. 32-letni Kuba kupił dom z myślą o dzieciach, po czym zrozumiał, że to nie jego marzenie, tylko jego ojca. Zdecydował nie mieć dzieci w akcie buntu. 25-letnią Maję »macierzyństwo przeraża, a ciąża brzydzi«. Świadomie zrezygnowali z rodzicielstwa, ale są szczęśliwi". „Gazeta Wyborcza" od lat promuje świeckie komunie, torty rozwodowe z krwawymi zwłokami męża czy poliamorię. W „nowym lepszym świecie" liberalnych mediów tradycyjna rodzina jest passe. Lepsza jest taka: „Dwa plus psiecko". „Miłość psa czy kota jest bezinteresowna przez całe życie, a dziecka tylko do pewnego momentu. Zwierzęta nie zaczną się kłócić o spadek czy dom po rodzicach" – przekonywała jedna z bohaterek tekstu w „Wysokich Obcasach". Prawdziwe dzieci i ich rodzice są „GW" nie w smak. „W kościołach, restauracjach, na plaży... Ja też już mam serdecznie dość wrzeszczących dzieci. Chociaż czasem już sama nie wiem, czy bardziej działają mi na nerwy dzieci, które nie potrafią się zachować, czy rodzice, którzy mają wszystko gdzieś i nie reagują kompletnie na nic. Szczególnie da się to odczuć podczas wakacji, w nadmorskich kurortach. Ludzie, weekend czy wakacje nie zwalniają od ich wychowywania!" – można było przeczytać żale czytelniczki w liście do redakcji „GW".

To wszystko sprawia, że obecny kryzys ma charakter długofalowy i trudny do odwrócenia. Nie istnieje jedno rozwiązanie ani pojedynczy program, który nagle odwróci trend. Państwa europejskie od dekad próbują zwiększać dzietność i niemal nigdzie nie udało się wrócić do poziomu gwarantującego prostą zastępowalność pokoleń.

Nie oznacza to jednak, że polityka demograficzna jest skazana na porażkę. Jej celem nie powinno być administracyjne „zmuszanie" ludzi do posiadania dzieci, lecz tworzenie warunków, w których decyzja o rodzicielstwie nie będzie oznaczała życiowego ryzyka. Stabilna praca, dostępne mieszkania, przewidywalne państwo, dobra ochrona zdrowia, rozwinięta opieka nad dziećmi i większe społeczne poczucie bezpieczeństwa może nie wywołają nagłego boomu urodzeń, ale mogą zahamować dalszy spadek.

Demografia nie jest bowiem wyłącznie sumą statystyk. Stanowi odbicie nastrojów społecznych i poziomu zaufania obywateli do przyszłości. A współczesna Polska coraz częściej wygląda jak kraj, w którym młodzi ludzie nie tyle rezygnują z dzieci, ile odkładają życie na później – z obawy, że świat stał się zbyt niestabilny, by planować je na dekady naprzód.

eprasa.pl 88714e0595

TVP ma szansę na zbawienie

Państwowa telewizja jest nam potrzebna, tak jak potrzebujemy własnego państwa, własnej waluty, armii czy poczty. Profesjonalne redakcje są ratunkiem na bezduszność epoki cyfrowej



MACIEJ WALASZCZYK



Nie łudźmy się – w piekle jest już zarezerwowane specjalne miejsce dla wszelkich telewizji. Ale w najniższych piekielnych kręgach z pewnością zostaną umieszczone twory firm Zuckerberga, Muska czy chińskie ogłupiacze, które skuteczniej niż ktokolwiek przed nimi zatruły komunikację i debatę publiczną. Na ich tle telewizja publiczna znów ma szansę na zbawienie i odkupienie swych win. Obok drukowanych gazet jest czymś w rodzaju płyt winylowych, które gwałtownie odrodziły się w dobie cyfryzacji.

1. ODTWARZANIE WSPÓLNOTY

Po co nam państwo i jaki jest dalszy sens jego istnienia? Przez ostatnie 35 lat było ono raczej osłabiane i demontowane, służąc do instalacji globalnej gospodarki rynkowej, w tym rynku mediów z obcym kapitałem. Jego wspólnototwórcza rola, broniąca interesów narodu, była deprecjonowana. Gospodarkę skolonizowano, a dominujące media nie tylko chroniły ten proces, lecz także agresywnie antagonizowały społeczeństwo. Na początku lat 90. XX w. biskupi zwrócili uwagę, że istnieje groźba, iż media nieuchronnie będą prowadzić do dalszych podziałów i niezgody. I tak się stało. Państwo partyjne prowadzi do fragmentaryzacji, a interesy partyjne zasiały spustoszenie. Dziś wywołujące niestabilność globalizacja, centralizacja UE, zagrożenia wynikające z rozpętanej przez Rosję wojny, a także z wojen kulturowych i imigracji, sprawiają, że potrzebujemy silnego państwa oraz silnych i atrakcyjnych mediów publicznych.

2. WIĘCEJ NIŻ KOMERCJA

Media publiczne mają obowiązki, media komercyjne nie. Nie potrzebujemy jednak państwowych mediów komercyjnych, starających się za wszelką cenę walczyć o oglądalność, dostosowując program do niskich oczekiwań publiczności. Potrzebujemy telewizji budującej stabilną przestrzeń, w której informacja, rozrywka, satyra, wydarzenia artystyczne czy sportowe będą ważyły więcej niż to, co widać w dziesiątkach stacji dostępnych za pośrednictwem kablówek. Zresztą w produkcji najbardziej miałkiej i wulgarnej papki nikt nie przebije wytworów internetu. Porządnie robiona telewizja publiczna będzie lepsza od ociężałej, choć efekciarskiej komercji, a do tego w dużej mierze pozbawiona reklam terroryzujących ludzi. Z jaką przyjemnością można obejrzeć film w TVP Kultura! Musi też się zająć produkcją filmów, seriali, dokumentów, własnych formatów, dobrej muzyki, koncertów i festiwali.

3. ANTIDOTUM NA CYFROWY CHAOS

Od wielu lat trwa próba sił między tradycyjnymi mediami a cyfrową infosferą. Toczy się bowiem zażarta wojna o uwagę widza, jego świadomość i pieniądze. Internet jest w większości zalany produkcjami wytwórców marnych treści, imitatorami i plagiatorami, czasem bardzo zdolnymi i pełnymi zapału. Do tego dochodzi gwałtowny rozwój mediów społecznościowych. Jednak ani youtuberzy, ani podcasterzy, ani realne i fikcyjne profile nie zastąpią profesjonalnych redakcji, tak jak blogerzy nie zastąpili dziennikarzy. W ogóle media społecznościowe mają z nimi niewiele wspólnego, jednak traktując je w ten sposób, wpadliśmy w pułapkę zastawioną przez właścicieli big techu

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 88714e0595

i cynicznych twórców algorytmów. To tylko gęsto zaludnione wirtualne place, rynki, ruchliwe ulice, pełne mówiących i przekrzykujących się ludzi, naganiaczy, oszustów, gdzie to, co wiarygodne i wartościowe, ginie w zalewie informacyjnych śmieci. Świat mediów społecznościowych, wzmocniony AI, jest bowiem „zaprogramowanym rozproszeniem uwagi", które wytworzyło niemożliwy do ogarnięcia, zrozumienia i przetworzenia chaos. W wizjach Orwella to zalew nadmiarem informacji powoduje zagubienie i trudność w dotarciu do tych, które mają istotne znaczenie. Neil Postman ostrzegał, że nieustannie rosnąca ilość dostępnych informacji sprawia, że nie odpowiadają już one na żadne pytania i są właściwie bezużyteczne do rozwiązania nawet najbardziej przyziemnych problemów.

Dlatego profesjonalna telewizja publiczna ma dzisiaj obowiązek ratować nas przed tym totalitarnym chaosem, być miejscem ucieczki z pułapki, w którą zostaliśmy wciągnięci. To jej wielka szansa na odrodzenie, podobna do tej, którą po epoce kaset wideo dostały kina.

4. GŁOS PAŃSTWA I KONTROLA WŁADZY

Telewizja publiczna jest instytucją pozwalającą państwu i rządzącym na komunikowanie się ze społeczeństwem. Musi tłumić polityczną histerię, sprawiać, by proces polityczny nie wymykał się racjonalnej analizie i bronić rządzących przed demagogią opozycji. By być wiarygodną, musi jednak bezwzględnie kontrolować władzę i być dla niej niedostępną na tym polu. Te dwie funkcje otwierają pole dla prawdziwych dziennikarzy, ludzi pasjonujących się polityką, socjologią, newsami, bezpieczeństwem, chcących wyjaśniać Polakom, co się dzieje wokół nas, gdyż najczęstszą formą stronniczości jest to, czego media nie relacjonują. Należy dać im szansę na bycie obiektywnymi arbitrami prawdy, pozwolić na wypracowanie korzystnego dla wszystkich standardu profesjonalizmu. Powrócić do budowy zespołów redakcyjnych, dziennikarzy wyspecjalizowanych w danych tematach, którzy będą relacjonowali fakty w ich właściwym kontekście, umożliwiając widzowi odróżnienie ich od opinii. Którzy będą się starali przedstawiać racje najważniejszych stron sporu, ale zdzierając maski. Nie mogą to być ludzie, którzy z dnia na dzień awansują na „dziennikarzy" głównych wydań najważniejszych programów informacyjnych, ale tacy, którzy będą pamiętali, co dany polityk robił i mówił kilka lat wcześniej. Warto powrócić do formuły większej autonomii redakcji, programów autorskich i publicystyki niesprowadzającej się do godzinnej przekrzykiwanki w studiu.

5. BEZ POLITYCZNEJ CENZURY

TVP od zawsze była terenem walki politycznej, w którą zostali wciągnięci również dziennikarze. Czasem można było odnieść wrażenie, że to zmilitaryzowana agencja PR, która zajmuje się nadużywaniem formuły wydań specjalnych, groteskowych w swojej wymowie „belek". W ubiegłym roku papież Franciszek podkreślił potrzebę „rozbrojenia" komunikacji, unikania „redukowania rzeczywistości do sloganów", gdyż pobudzenie emocji kończy się podważeniem fundamentów naszego bycia wspólnotą. Im bardziej dziennikarze starają się być politycznymi aktywistami, tym mniej wpływają na opinię publiczną. Demonizując Donalda Tuska, odbudowano jego zrujnowany wizerunek jako polityka, skuteczniej uodparniając umysły na kolejne próby jego demonizacji. To samo miało miejsce przed 2015 r. w przypadku Jarosława Kaczyńskiego, choć tych, którzy obecnie pracują na Woronicza, właściwie nikt już nie słucha.

Rządy prawicy oczywiście złamały pewien monopol ideologiczny, gdyż w TVP przez całe lata panował totalny konformizm, któremu przyświecało specyficzne rozumienie „wolności słowa". W taki sposób, że mogli tam pracować wybrańcy, tylko oni mieli rację, tylko oni byli demokratami, a ten, kto wyrażał odmienne zdanie, był podejrzanym politycznym ekstremistą. Byli też zdania, że są informacje, które nie powinny dotrzeć do widzów, np. dotyczące lustracji, afer, skutków masowej imigracji czy ukraińskiej przestępczości. By się przed tym chronić, sfragmentaryzowane społeczeństwo ukrywa się w bańkach informacyjnych, np. odporni na inny punkt widzenia widzowie TVN, chroniący w ten sposób własne przekonania. I tak zamknięci, nieuchronnie ulegają dalszej radykalizacji. Wiarygodna, nieograniczana gorsetem politycznej cenzury, otwarta na wyjaśnianie rzeczywistości, ale stojąca na gruncie interesów państwa telewizja publiczna może stać się antidotum na tego rodzaju patologie.

6. POLITYCZNIE NIEPOPRAWNA

Zakres indoktrynacji, której od lat codziennie są poddawani dzisiejsi konsumenci mediów, masowej kultury i reklam, jest tak duży, że narzucane narracje stają się dla większości rzeczywistością. Tak sfabrykowana jest niemal wiarygodna, np. tworząc przekonanie, że istnieje wiele płci albo że w czasie wojny Polacy zabijali Żydów. Rolą telewizji publicznej jest przekłuwanie tych balonów i bycie politycznie niepoprawnym. Musi też wypracować alternatywę dla programów natrętnie propagujących dziwaczne modele życia, uderzające w rodzinę, wizerunek kobiety i mężczyzny. Choćby wobec patologicznych reality show, które są przecież czymś więcej niż tylko rozrywką i przekształcają się w potężne narzędzie kształtujące gusta oraz zachowania widzów, potęgując skłonność do chamstwa i cynizmu oraz utrwalając przekonanie, że takie zachowania stanowią normę. Media publiczne muszą zbudować alternatywę, postawić granicę między tym, co autentyczne, a co wykreowane, inaczej w kolejnych kampaniach wyborczych po prawej i lewej stronie o mandaty będą rywalizować klony Klaudii Jachiry i jej podobnych.

7. KONDENSATOR NARODOWYCH EMOCJI

Oczywiście to media publiczne muszą relacjonować ważne wydarzenia i imprezy budzące największe narodowe emocje, m.in. igrzyska olimpijskie, mistrzostwa świata i Europy w piłce nożnej czy mecze z udziałem kadry narodowej, oraz w atrakcyjny sposób celebrować istotne uroczystości narodowe, święta i wydarzenia. Tak jak prywatne armie czy agencje ochroniarskie nie zapewnią nam bezpieczeństwa, a sprywatyzowane szpitale bardziej chcą zarabiać niż leczyć, tak samo są nam potrzebne narodowe media. Rynek uległ wielkim zmianom, ale to wszystko wciąż jest możliwe, choć nie wiem, czy ktoś jeszcze tego chce.

eprasa.pl 88714e0595

Polityka w stylu pop

Żyjemy w absurdalnych czasach, gdy aktorzy politykują, a politycy zabawiają się w aktorów. Wielu z nich próbuje kreować swój wizerunek jako fajnych gości. Niekoniecznie mądrych, wybitnych, pochłoniętych ważnymi sprawami państwowymi, ale właśnie fajnych





KONRAD KOŁODZIEJSKI

Każda zmiana władzy ma swoje symboliczne obrazki. W Polsce była to nieszczęsna kolejka do punktu wyborczego na wrocławskim Jagodnie, a na Węgrzech tańczący minister zdrowia. Zsolt Hegedűs dwukrotnie pląsał przed wiwatującą publicznością – najpierw po wyborach wygranych przez opozycję i po raz kolejny po zaprzysiężeniu rządu Pétera Magyara.

Filmik z wygibasami węgierskiego ministra natychmiast trafił do mediów społecznościowych, gdzie wzbudził mieszane uczucia – zależne od poglądów widzów. Prawicowa widownia w Polsce określiła go mianem fajnomadziarstwa – przez analogię do naszych fajnopolaków. Bo rzeczywiście podobieństwa są.

WALKA DOBRA ZE ZŁEM

Zarówno teraz na Węgrzech, jak i w 2023 r. w Polsce można było dostrzec erupcję euforii o zupełnie niezrozumiałej skali (przy czym na Węgrzech znacznie większą niż w Polsce). Mogłoby się wydawać, że naszym „bratankom" po wielu latach ciężkich wojennych zmagań udało się obalić krwawą dyktaturę i właśnie otworzyła się przed nimi szeroka droga do wspólnego europejskiego raju i dobrobytu.

W rzeczywistości zmiana władzy, choć politycznie znacząca, nie oznacza żadnej rewolucji w życiu przeciętnego Węgra. Powinien się on raczej modlić o to, aby nie było mu gorzej. Jedynym wytłumaczeniem tak wielkiego entuzjazmu Węgrów może być wyłącznie zmęczenie długoletnimi rządami Orbána i pragnienie zmiany, jakakolwiek by ona nie była.

Ta kwestia wydaje się tu kluczowa. Na Węgrzech nie mieliśmy bowiem żadnego poważnego starcia programowego (przynajmniej niewiele o tym wiadomo), lecz walkę dwóch koterii wywodzących się z tego samego środowiska politycznego – w końcu Péter Magyar jeszcze dwa lata temu był prominentnym członkiem partii Orbána. Mówiąc brutalnie, chodziło – jak wszystko na to wskazuje – wyłącznie o władzę. I o to, w czyim imieniu ma być ona sprawowana – czy w imieniu Orbána i jego oligarchów znajdujących się na kursie kolizyjnym z Brukselą, czy w imieniu Magyara, deklarującego się jako zwolennik Unii Europejskiej i Berlina. Interes

epaasa.pl 88714e0595

wyborcy miał w tym wszystkim znaczenie drugorzędne. Liczył się jedynie jego głos, dlatego trzeba było go przekonać do właściwych decyzji przy urnie.

Stąd wzięło się to – tak dobrze znane w Polsce – nakręcanie histerii o walce dobra ze złem. Dla Magyara złem wcielonym był jego rywal Orbán, a dobrem, które miało zbawić Węgrów – powrót na łono Unii. Oczywiście nie miało żadnego znaczenia, czy Magyar rzeczywiście uważa Orbána za największe zło, a Unię za wybawcę Węgier (prawdopodobnie tak nie jest) – chodziło wyłącznie o to, aby zmobilizować wokół siebie większą grupę wyborców. Dlatego musiał wskazać ludziom wroga.

Jednocześnie samemu przedstawiał się z jak najlepszej strony, zręcznie grając na aspiracjach i kompleksach własnego społeczeństwa. TISZA – podobnie jak Koalicja Obywatelska Tuska – pokazywała się jako ludzie fajni, nowocześni, otwarci na świat, uśmiechnięci, wyrozumiali dla słabości. Zupełne przeciwieństwo Orbána i jego ponurych, zgorzkniałych aparatczyków, których twarze przejadły się już Węgrom. Czy rzeczywiście tak było? To nie ma żadnego znaczenia, liczyło się wyłącznie wyobrażenie wyborcy o politykach jednej i drugiej strony.

Z tego starcia zwycięsko wyszedł Magyar. W tym kontekście taniec nowego ministra zdrowia był już tylko wisienką na torcie – podsumowaniem wielomiesięcznej operacji socjotechnicznej. Wszyscy się cieszą, wygrali fajni ludzie, będzie lepiej. Przy czym mało komu z wiwatujących na cześć nowej władzy zaprząta dziś myśl pytanie: co konkretnie zmieni się w moim życiu na lepsze?

USTAWKI DLA WYBORCY

Przykład węgierski jest warty uwagi, bo po pierwsze, jest całkiem świeży, a po drugie, bardzo dobrze pokazuje nam, w jaki sposób funkcjonuje dziś polityka.

W Polsce mamy bardzo podobne doświadczenia. Przejęcie władzy przez Tuska w 2023 r. bazowało na tych samych mechanizmach. Brak jakiejkolwiek debaty programowej, w której Tusk przegrałby przecież z kretesem, i zastąpienie jej czystą socjotechniką. Najważniejsze stały się cynicznie generowane emocje i kierowanie ich przeciwko politycznym rywalom.

Dziś, choć Tusk rządzi już od ponad dwóch lat, niewiele się zmieniło. To m.in. dlatego Polska z dynamicznego tygrysa Europy w tak krótkim czasie została zdegradowana do roli europejskiego dziada. Bo przecież nie chodzi o realizację interesów państwa czy wszystkich obywateli, lecz o utrzymanie władzy i zaspokajanie potrzeb wąskiej klienteli obecnego rządu.

Rzecz jasna nie będzie to możliwe bez utrzymania mobilizacji elektoratu. Bo choć wyborcy nie mają dla władzy znaczenia, ich głos ciągle jest ważny. Dlatego trzeba ich utrzymywać w stanie napięcia, w położeniu bojowym. Rozliczenia, polowanie na przeciwników, narracja o zagrożeniu ze strony prawicy to jedna strona medalu. Druga to udawanie – odgrywanie roli fajnych ludzi.

Tę manipulację można dostrzec na każdym poziomie. Popatrzmy na logo Koalicji Obywatelskiej – uśmiechniętą Polskę. Oni wszyscy, podobnie jak TISZA na Węgrzech, są przecież zwykłymi ludźmi – nie będą się bić o żadne wzniosłe idee, o jakieś fantazmaty. Chcą po prostu normalności. Oczywiście mają swoje słabości, różne grzeszki, ale przynajmniej nie są hipokrytami, tak jak ich przeciwnicy. Ten przekaz był Polakom wbijany do głów od wielu lat i zdołał się – również dzięki przewadze propagandowej – utrwalić.

Żyjemy w absurdalnych czasach, gdy aktorzy politykują, a politycy zabawiają się w aktorów. Można to uznać za przejaw próżności, uderzenie wody sodowej do głowy – w wielu przypadkach pewnie tak jest – ale przede wszystkim chodzi o wspomnianą socjotechnikę. Polityk, choćby był największą łajzą (a może właśnie wtedy najbardziej), próbuje kreować swój wizerunek jako fajnego gościa. Niekoniecznie mądrego, wybitnego, pochłoniętego ważnymi sprawami państwowymi, ale właśnie fajnego. Takiego, co to na zakupy pójdzie, z ludźmi pogada, zatańczy, pogłaszcze pieska, zje hot doga na stacji benzynowej.

> Być może Tusk zrozumiał coś, czego nie rozumieją inni – że wyborcę można ogłupić. To przejaw niebezpiecznego cynizmu. Głupi wyborca oznacza bowiem zagrożenie dla państwa

Przy czym nie chodzi tu tylko o uczłowieczenie wizerunku, tak jak bywało w reżimach totalitarnych, gdy Hitler, Stalin, Bierut i inni brali dzieci na kolana, aby pokazać swoje ludzkie oblicze. Tym razem wyborcy mają uwierzyć, że walczący o władzę, zupełnie odizolowany od świata polityk żyje między ludźmi i zna ich codzienne problemy. Co najczęściej jest nieprawdą. Bo nawet jeśli te problemy zna i rozumie, to zupełnie go nie dotyczą, a zajmuje się nimi tylko wtedy, gdy sytuacja wymyka się spod kontroli.

Tusk jest specjalistą od takich ustawek. W zaprzyjaźnionych brukowcach co chwilę pojawiają się jego zdjęcia, jak niby przypadkiem wynosi śmieci, jak wypoczywa w ogródku, jak niesie choinkę do domu (bystry obserwator mógł zauważyć, że odbywało się to na zupełnie pustej ulicy i w otoczeniu ochroniarzy). Karol Nawrocki zakpił sobie wtedy z Tuska, umieszczając film, na którym sam ścina choinkę i samodzielnie wnosi ją do pałacu prezydenckiego.

Niestety dla całkiem sporej rzeszy ludzi takie uprawianie polityki okazuje się wystarczające. Mylą oni bowiem rolę polityka i gwiazdy filmowej. Tusk nie może być zły, bo przecież wynosi śmieci i bawi się z wnukami. Dobrze

eprasa.pl 88714e0595

gra w filmikach. Te ustawki przesłaniają im ponurą rzeczywistość i sprawiają, że są skłonni wybaczać takiemu politykowi złe posunięcia. Nawet jeśli uderzają one w ich własne interesy.

OGŁUPIANIE LUDZI

Być może Tusk zrozumiał coś, czego nie rozumieją inni – że przeciętny wyborca jest po prostu głupi. I można go dowolnie urobić. To jednak przejaw wyjątkowo szkodliwego i niebezpiecznego cynizmu. Wyborcę należy edukować, a nie ogłupiać. Głupi wyborca oznacza bowiem zagrożenie dla państwa. Tusk jednak nie myśli w takich kategoriach. Dla niego liczy się tylko władza, a tej nie zdołałby utrzymać, gdyby o losach państwa decydowali wyłącznie świadomi wyborcy.

Wraz z ogłupianiem wyborców postępuje degeneracja polityki. To rodzaj błędnego koła – jedno pociąga za sobą drugie. Nie jest to wyłącznie polska specyfika. Tusk jak każdy imitator czerpie bowiem pełną garścią z doświadczeń innych. Dziś często narzekamy na to, że świat stał się niestabilny i nieprzewidywalny – to również do pewnego stopnia konsekwencja upadku polityki, a także naszych własnych wyborów.

Świetną ilustracją stanu, w jakim znalazła się dziś zachodnia polityka, może być słynna sesja zdjęciowa Emmanuela Macrona z początku wojny na Ukrainie, gdy wydzwaniał on do Putina z prośbą o wstrzymanie walk. Jedynym efektem tych rozmów stała się seria zdjęć przedstawiających strapionego, wręcz bliskiego płaczu Macrona, który chciał w ten sposób pokazać światu swoje cierpienie z powodu wojny. Coś, co jeszcze kilkadziesiąt lat temu dyskwalifikowałoby go jako czynnego polityka, było teraz przedstawiane jako powód do chluby.

Jednak aktorstwo w polityce to nie tylko specjalność Zachodu. Bardzo podobną – i przez wiele lat skuteczną – strategię przyjął przecież Putin, który uwielbiał pokazywać się jako prawdziwy macho. Był czas, że zachwycały się tym liberalne media w Polsce. Z drugiej strony Atlantyku jest Trump, który przez długi czas był celebrytą i nie całkiem wyszedł ze swojej dawnej roli. Przykładów – również z Indii, Izraela, Argentyny i wielu innych miejsc na świecie – można znaleźć mnóstwo. Wszystkie pokazują jedno – że polityka rozumiana jako sztuka przezwyciężania sprzecznych interesów zamiera i przekształca się w coś zupełnie nowego.

Na pierwszy rzut oka można to uznać za reklamę poszczególnych polityków, ale jeśli się temu głębiej przyjrzeć, kryje się za tym promocja jednych interesów przeciwko drugim. Przy czym interesy te niekoniecznie muszą mieć coś wspólnego z dobrem publicznym.

ZMIERZCH DEMOKRACJI

W latach 90. ub.w. furorę zrobiło pojęcie postpolityki. Utożsamiano to z rzekomym końcem historii i triumfem liberalnej demokracji. Tradycyjne partie – co akurat w dużym stopniu się sprawdziło – miały się do siebie upodobnić i odrzucić ideologiczne spory, a władza miała się stać zajęciem dla technokratów, pomnażających nasz dobrobyt.

Jednak rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana. Wskutek homogenizacji sceny politycznej władzę na Zachodzie w pełni przejęła liberalna oligarchia, a demokracja zaczęła nabierać rytualnego charakteru. Powstanie partii tożsamościowych było – w największym skrócie – reakcją na wszechwładzę oligarchii i jej szkodliwą politykę (z katastrofą imigracyjną na pierwszym planie).

Dzisiaj postpolityka mniej ma w sobie z Francisa Fukuyamy, a znacznie więcej z Carla Schmitta. Obie strony mobilizują swoje elektoraty przeciwko rywalom, na czym wszędzie cierpi interes publiczny. Debata praktycznie nie istnieje, a zastąpiła ją wojna. To zresztą jedno ze źródeł rozkładu Zachodu.

> Wyborca nie jest partnerem, lecz wyłącznie odbiorcą propagandowego przekazu. Zdanie zwykłych ludzi nie ma żadnego znaczenia – mają być tylko kibicami, a politycy wcielają się w rolę ich idoli

Wielką rolę odegrał w tym internet, który dał politykom bezpośredni dostęp do wyborców. Przy czym nie jest to klasyczna interakcja, gdy obie strony wymieniają się swoimi zdaniami, lecz rodzaj bojowych komunikatów, szyderstw i podsycania nienawiści do przeciwnika. Ci sami politycy próbują się jednocześnie przedstawiać jako zwykli ludzie uchwyceni w normalnych sytuacjach życiowych, choć większość tych scen jest wcześniej starannie wyreżyserowana.

Wyborca nie jest tutaj partnerem, lecz wyłącznie odbiorcą propagandowego przekazu. Z punktu widzenia demokracji to prawdziwa katastrofa. Zdanie zwykłych ludzi nie ma bowiem żadnego znaczenia – mają być tylko kibicami, a politycy wcielają się w rolę ich idoli.

Nic więc dziwnego, że skuteczność w dzisiejszej zdegenerowanej polityce nie polega na przekonywaniu do swoich racji i swojego programu, ale na mobilizacji wyznawców i odpowiednio dużej liczbie lajków, aby w ten sposób „zgruzować" rywali. Siłą rzeczy w tak rozumianej polityce zaczyna brakować miejsca dla ludzi kompetentnych i odpowiedzialnych. Ich miejsce coraz częściej zajmują gwiazdorzy oraz specjaliści od szybkich ripost i pyskówek. Ten upadek polityki widać nawet w nazwach obecnych partii, które nie zawierają zazwyczaj żadnej informacji o profilu ideowym.

W takich warunkach trudno jest funkcjonować ugrupowaniom, którym zależy na czymś więcej niż tylko na władzy. Polskie wybory w 2023 r. były dobrym przykładem tego zjawiska. Ważne jest jednak, aby mimo to przynajmniej na polskiej prawicy zachować istotę tradycyjnej polityki. W przeciwnym razie nie będzie ona miała już żadnego sensu.

eprasa.pl 88714e0595



Druga Japonia czy druga Grecja?

Pędzimy na ścianę, i to z ogromną prędkością. W marcu dług Polski po raz pierwszy przekroczył 2 bln zł i gdy czytają państwo ten tekst, pewnie wynosi 2,1 bln, bo rośnie o 1 mld zł dziennie. Tempo zadłużania się naszego kraju w ostatnich trzech latach jest wyższe niż w Grecji przed jej krachem finansowym w 2010 r. To oczywiście nie oznacza, że przesądzona jest polska katastrofa finansowa. Wciąż możemy wyhamować, ale jest problem



DARIUSZ MATUSZAK

Tym problemem jest rząd Donalda Tuska, który jakby upajał się śmigającymi wokół pieniędzmi i jeszcze przyspieszał zadłużanie Polski. Dowodem na to są choćby zafiksowanie się na pożyczce 43,7 mld euro z SAFE i straceńcza determinacja, z jaką rząd chce ją realizować. Ministrowie obrony Władysław Kosiniak-Kamysz i finansów Andrzej Domański, łamiąc konstytucję, podpisali umowę o jej zaciągnięciu, więc kiedy wpłynie zaliczka w wysokości 15 proc., nasze zadłużenie skokowo zwiększy się o ok. 28 mld zł. To rodzaj obłędu, jakiegoś amoku, kiedy władza uznaje branie ogromnych pożyczek za sukces.

Czy grozi nam powtórka z Grecji? Historia zna właściwie trzy scenariusze dla państw szaleńczo zadłużonych.

SCENARIUSZ NR 1

Pierwszy, niezwykle rzadki, jest taki, że państwa wychodzą z gigantycznych długów szybko i bez szkód. Tak się stało w przypadku Wielkiej Brytanii po wojnach napoleońskich, kiedy jej zadłużenie sięgnęło 260 proc. PKB. Wtedy jednak, w związku z rozkwitem epoki przemysłowej, monarchia przeżywała ogromny rozwój gospodarczy. Dysponowała też wielkimi zasobami imperium, a co istotne – kontrolę nad finansami państwa sprawował parlament. Scenariusz powtórzył się po II wojnie światowej w przypadku USA i ponownie Wielkiej Brytanii. Rozbudowany na potrzeby konfliktu zbrojnego przemysł napędzał wzrost gospodarczy,

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 88714e0595

dług więc szybko spadał w stosunku do PKB i po kilkunastu latach przestał być ciężarem.

Wydaje się, że Unia Europejska w swojej wielkiej mądrości chce powtórzyć ten scenariusz i pod pretekstem nieustającego zagrożenia wojną napędzić przemysł oraz wzrost gospodarczy za pożyczane pieniądze. Poza tym żaden kryzys – ani pandemia, ani wojna na Ukrainie – nie może się zmarnować, a nic tak nie wiąże nieznoszących się kobiety i mężczyzny jak wspólny kredyt. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że również pożyczki KPO i SAFE to łańcuchy, które na wieki mają nas przywiązać do Brukseli.

Polsce nie grozi scenariusz brytyjski i amerykański, bo nie czeka nas żaden gwałtowny, wręcz skokowy rozwój gospodarczy. Wydaje się, że pik tego wzrostu mamy już za sobą, upodabniamy się do reszty UE i czeka nas rozwój w tempie pełzania. Będzie jak w Niemczech i Francji, zgodnie ze szkołą salonowego tańca Samuela Kranza: krok do przodu, dwa nazad. O kontroli parlamentarnej też możemy zapomnieć, przynajmniej dopóki rządzą ci, którzy nawet nie wiedzą, na jaki procent biorą zaliczkę i pierwszą transzę pożyczki SAFE.

SCENARIUSZ NR 2

Drugi scenariusz to właśnie wieczne pełzanie, słabe podrygi, nierozwiązywalne problemy, jedynie trwanie i gnicie. Dokładnie tak jak obecnie w Hiszpanii. Między 2008 a 2025 r. jej wzrost gospodarczy w przeliczeniu na głowę wyniósł dokładnie zero. To dlatego m.in. jeśli uwzględnić parytet siły nabywczej (PPP) Polska prześcignęła Hiszpanię w PKB *per capita*. Podobnie jest w wielu unijnych państwach. 30-letni Hiszpanie, Francuzi, Włosi, Portugalczycy, Belgowie są biedniejsi niż ich rodzice, kiedy mieli tyle samo lat. Zadłużenie całej Unii wynosi 82 proc. jej PKB, a samej strefy euro – 88 proc. Z tej perspektywy polskie 58–60 proc. wygląda bezpiecznie. Najbardziej zadłużone kraje UE to Grecja – 150 proc. PKB, Włochy –137 proc., Francja –120 proc., Belgia – 108 proc., Hiszpania – 103 proc. i Portugalia – 98 proc.

Powód tego zadłużenia właściwie wszędzie jest ten sam. Przeżarta unijną biurokracją, obciążona wariactwami takimi jak Zielony Ład gospodarka się nie rozwija, poziom życia przyzwyczajonych do dobrobytu mieszkańców trzeba jakoś utrzymywać, więc za pożyczone pieniądze funduje się świadczenia socjalne. Tak kupuje się spokój społeczny. Polityka ogromnych transferów socjalnych narodziła się w czasach rozwoju, prosperity gospodarczej. Wtedy wynaleziono państwo opiekuńcze. We Francji jest ponad 60 różnego rodzaju świadczeń socjalnych, a cwany Francuz może tak kombinować, że skorzysta z nawet 20 naraz. Działając na granicy prawa, da się wyciągnąć nawet 5 tys. euro miesięcznie.

Każda próba uporządkowania systemu kończy się rozruchami i ulubioną zabawą mieszkańców Francji, czyli paleniem samochodów i demolowaniem miast. Pokój społeczny na pożyczkach kończy się brakiem inwestycji w infrastrukturę i jej deterioracją, co widzą choćby Niemcy na swych rozwalających się drogach albo w wiecznie spóźnionych pociągach. W lutym tego roku padł rekord – 60 proc. pociągów dalekobieżnych miało opóźnienia.

Obciążone ogromnymi długami państwa nie mają sił – czyli pieniędzy – by dotrzymać swych zobowiązań sojuszniczych w NATO i łożyć te nędzne 2 proc. na obronę. W 2026 r. Francja wyda na obsługę wynoszącego 3,5 bln euro długu aż 65 mld euro. To po edukacji druga najwyższa pozycja we francuskim budżecie. Na obronę przeznaczono 50 mld. Upadek armii oznacza dla takiego państwa jak Francja – z jej odwiecznym globalnym nadymaniem się – koniec politycznego znaczenia. To z powodu nędzy bandy ruskich i plemiennych najemników pogoniły Francuzów z krajów Sahelu.

Podejrzewam, że wszystkie lamenty Włochów, Brytyjczyków, Hiszpanów i Francuzów, że Donald Trump rozpętał niesprawiedliwą wojnę z Iranem oraz niechęć do jakiegokolwiek zaangażowania się wynikają ze zwykłej niemocy. Pozwalają, by Iran ostrzeliwał ich obiekty i bazy na Bliskim Wschodzie oraz w rejonie Zatoki Perskiej, a także nie chcą pomóc w pełnym przejęciu kontroli nad cieśniną Ormuz, bo może nie mają czym ani jak. Reżim zaatakował już francuską bazę w Abu Zabi, a także francuski statek handlowy San Antonio, raniąc członków załogi, a Paryż dopiero po dwóch miesiącach zdecydował się skierować w region lotniskowiec Charles de Gaulle z fregatami i okrętami desantowymi. Miesięczny koszt operacji jest szacowany nawet na 300 mln euro, więc lepiej później niż wcześniej.

Wielka Brytania jest zadłużona na 103 proc. PKB. Koszt obsługi tego długu wyniesie w tym roku 120 mld funtów. W Zjednoczonym Królestwie powiało więc grozą, gdy w kwietniu niby wyciekł wewnętrzny e-mail Pentagonu (to była zwykła podpucha), w którym jeden z wysokich urzędników proponował, by USA zrewidowały swe poparcie dla brytyjskiego władztwa nad Falklandami. Wszystkie analizy mówią, że Wielka Brytania nie miałaby dziś sił, aby przeprowadzić taką operację jak w 1982 r., kiedy odbijała zajęte przez Argentynę Falklandy. Wtedy wysłano 127 jednostek, dziś uzbierałoby się ledwie 30.

Nie od razu Kraków zbudowano i nie od razu Rzym upadł. Proces rozkładu tego bajecznie bogatego imperium trwał niemal stulecie, a jedną z przyczyn było koszmarne zadłużenie. Nie było czym opłacać armii, więc cesarze dewaluowali denara – zmniejszali w nim ilość srebra i tak wkręcili państwo w spiralę inflacji, że nastąpił upadek handlu, a na koniec zachodniej części imperium, której nikt nie był w stanie obronić przed barbarzyńcami.

Każdy sam może ocenić, czy Europa Zachodnia pełznie od kryzysu do kryzysu i jest jak Rzym w 425 r., czy może w 460 r., kiedy to do ostatecznego upadku cesarstwa zachodniorzymskiego zostało ledwie 16 lat.

SCENARIUSZ NR 3

I tak dochodzimy do scenariusza katastrofy, która nie musi się kończyć śmiercią, ale może na pokolenia zdecydować o losach całych krajów. To choćby imperium hiszpańskie, które kontrolowało połowę terytorium obecnych Stanów Zjednoczonych. Do tego Meksyk, cała Ameryka Środkowa i Południowa bez Brazylii. Żadne bogactwo, siła militarna nie chronią przed upadkiem z powodu zadłużenia. Dzięki złotu i srebru z Ameryki Hiszpania była najbogatszym państwem świata, a jednocześnie największym dłużnikiem. Pomiędzy

eprasa.pl 88714e0595

1557 a 1662 r. państwo ogłaszało bankructwo dziewięć razy. To, co przypływało z Nowego Świata, szło na spłatę długów. Inflacja, długi i załamanie się gospodarki wewnętrznej, a w efekcie utrata kontroli nad koloniami, doprowadziły w XIX w. do całkowitego rozpadu imperium.

W 1789 r. król Francji Ludwik XVI próbuje ratować zadłużone na astronomiczną kwotę 5 mld liwrów państwo i zwołuje Stany Generalne, by dostać zgodę szlachty i Kościoła na nowe podatki. Pada iskra. Stany Generalne przekształcają się w Zgromadzenie Narodowe, wybucha rewolucja, a po niej jest 26 lat rzezi i pożogi, które ogarniają niemal całą Europę.

100 lat temu Argentyna była jednym z najbogatszych krajów świata, z PKB na głowę wyższym niż we Francji czy Niemczech. W 1946 r. władzę przejmują socjaliści od Juana Peróna i robią to, co zawsze – rujnują gospodarkę przez nacjonalizację, interwencjonizm państwowy i finansowane długiem rozdawnictwo. W 30 lat roztrwoniono bogactwo zbudowane przez poprzednie pokolenia. Argentyna dziewięć razy ogłasza bankructwo. Ostatni raz w 2001 r., bo nie ma już skąd pożyczyć 95 mld dol. na wykup obligacji. Ogłoszeniu bankructwa towarzyszy spadek PKB o 20 proc. w ciągu trzech lat, wzrost bezrobocia z 21 do 50 proc. Ludzie sztormują banki, więc rząd zamraża konta, ograniczając wypłaty do ok. 250 dol. na tydzień. Potem rabuje swych obywateli, przewalutowując ich oszczędności dolarowe na peso. W efekcie Argentyńczycy tracą 70 proc. swych oszczędności dolarowych i w sile nabywczej peso, bo w praktyce każdy pochodzący z importu towar podrożał cztery razy.

Najbliższy nam przykład katastrofy finansów państwa to Grecja. Jeszcze w 2004 r. stać ją na to, by dzięki kredytom ufundować igrzyska olimpijskie, ale już w 2010 r. dług sięga 120–130 proc. PKB, a państwo nie ma pieniędzy na spłaty odsetek, wykup obligacji i zaczyna się katastrofa. W pięć lat PKB spada o 25 proc. Ci, którzy mieli oszczędności w greckich obligacjach, tracą kilkadziesiąt procent, więc fundusze emerytalne są zrujnowane. Bezrobocie rośnie do 25 proc., a wśród młodych do 50 proc., o kilkadziesiąt procent spadają płace i wszystkie świadczenia, w tym emerytury. Od tego czasu Grecja już się nie podniosła. Całe pokolenia zapłacą za dziesięć lat zabawy na kredyt. 600 tys. najbardziej wykształconych Greków opuściło swą ojczyznę.

Przy okazji zdemaskujmy jedno z największych propagandowych kłamstw UE. Bruksela organizowała tzw. program naprawczy i wielkie pożyczki nie po to, by pomóc Grecji, tylko aby ratować francuskie i niemieckie banki. Wpakowały one w greckie obligacje blisko 100 mld euro. Kolejne pożyczki poszły tylko na to, by Grecy wykupili od Francuzów i Niemców swoje śmieciowe papiery. W zamian za nowe kredyty Grecja wyprzedała państwowe firmy, nieruchomości, największy port – Pireus trafił się Chińczykom, a np. Niemcom m.in. 14 lotnisk mających fundamentalne znaczenie dla porozrzucanego po wyspach kraju. Inaczej mówiąc, Grekom pożyczono miliardy na spłacenie miliardów długu w zamian za ich państwo.

GDZIE W TYM POLSKA?

W jakim miejscu jest Polska, która zadłuża się szybciej niż Grecja? W ostatnich latach mamy porównywalnie wysokie lub wyższe deficyty pierwotne niż Grecy przed wybuchem kryzysu. Nie musi jednak dojść do katastrofy. Poziom naszego zadłużenia nadal jest relatywnie niski. Mamy własną walutę. Gros naszego zadłużenia jest w złotówkach, a nie euro. Możemy prowadzić własną politykę monetarną i rozpuszczać dług inflacją. W przeciwieństwie do Grecji mamy też solidne wzrosty PKB.

Ale wpaść w spiralę długu – jak w spiralę śmierci – jest bardzo łatwo. Ot choćby PKB zaczyna rosnąć wolniej, więc relacja długu do niego rośnie. Rząd musi przeznaczać coraz więcej na odsetki, więc pożycza jeszcze więcej. Widząc to, agencje ratingowe obniżają ocenę wiarygodności finansowej. W efekcie inwestorzy – pożyczkodawcy żądają wyższego oprocentowania. Dług staje się droższy, a państwo pożycza kolejne miliardy i wprowadza oszczędności. Cięcia dodatkowo spowalniają gospodarkę, co powoduje jeszcze szybszy wzrost relacji długu do PKB. Powstaje samonapędzająca się spirala: wyższy dług – nowe pożyczki – cięcia wydatków – wolniejszy wzrost – jeszcze wyższy dług.

> W 2026 r. Polska przeznaczy na obsługę kredytów 118–120 mld zł. To niemal dwa razy więcej niż na 800+ (63 mld zł)

Czy jesteśmy już w którymś miejscu na tej spirali? Być może tak – pożyczki z KPO poszły na łatanie dziur, a nie na rozwój. Już ponosimy ogromne koszty kredytów. W 2026 r. przeznaczymy na ich obsługę 118–120 mld zł. To niemal dwa razy więcej niż na 800+ (63 mld zł). Inaczej mówiąc, gdyby nie dług, moglibyśmy zafundować sobie niemal 2400+ (63 mld + 120 mld) i dla finansów efekt byłby dokładnie taki sam. W dwa lata na obsługę długu wydamy więcej niż wynosi całe SAFE.

Na dodatek mamy władców, których stan naszych finansów nie tylko nie przeraża, lecz nawet bawi. „Błogosławiona młodzież, albowiem ona odziedziczy dług narodowy" – mówi Radosław Sikorski. Co nas obchodzą przyszłe pokolenia, my musimy mieć kasę tu i teraz, by utrzymać się u władzy i jest nam całkowicie obojętne, co się stanie z Polską za 15 lat. Trzeba się pogodzić z tym, że nie ma dość nikczemnej wypowiedzi albo czynu, które raz na zawsze zakończyłyby karierę Sikorskiego.

A co z Japonią, która znalazła się w tytule? To kraj jedyny w swym rodzaju, niepowtarzalny. Prawdziwy czempion z długiem na poziomie 260 proc. PKB. Płaci za to stagnacją, ale jest zadłużony we własnej walucie, u swoich obywateli i właściwie ciągle ma deflację. Więc jak pożycza dychę, to oddaje dychę, a nie 11 jak my. Tę dychę na spłatę dychy długu może pożyczyć i może się tak bawić w nieskończoność.

eprasa.pl 88714e0595


Keir Starmer, Friedrich Merz i Emmanuel Macron

Widmo rewolucji krąży nad Europą

Trzy największe państwa naszego kontynentu – Niemcy, Francja i Wielka Brytania – znajdują się nie tylko w kryzysie ekonomicznym i finansowym, lecz także w okresie politycznej burzy. Coraz większe szanse na zdobycie władzy mają partie walczące z obecnym establishmentem, sprzeciwiające się zarówno aktualnej polityce zbrojeń, jak i dotychczasowemu modelowi państwa socjalnego. Domagające się również zablokowania emigracji



MAREK BUDZISZ

Bally Bagayoko, lewicowy mer Saint Denis, miasta na obrzeżach Paryża, zamieszkałego przez 150 tys. ludzi, zapowiada już w przyszłym roku rewolucję ludową we Francji. Na razie zdjął – jak donosi tygodnik „Le Point" – portrety Emmanuela Macrona wiszące w każdym merostwie, postawił je w kącie do góry nogami i mobilizuje zwolenników skrajnie lewicowej LFI przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi.

FRANCJA BEZ CENTRUM

Powstanie miałoby wybuchnąć, jeśli wybory wygra prawica, co jest o tyle

Fot. Dinendra Haria/LNP/Shutterstock/East News

eprasa.pl 88714e0595

prawdopodobne, że liderzy Frontu Narodowego – zarówno Marie Le Pen, jak i 30-letni Jordan Bardella – prowadzą w sondażach przedwyborczych z przewagą ponad 10 proc. nad ewentualnymi rywalami. Centrum francuskiej sceny politycznej jest podzielone i niepopularne, co ma związek z notowaniami prezydenta Macrona, którego politykę popiera zaledwie 26 proc. wyborców. Nastroje radykalizują się, co było widoczne w wynikach wyborów lokalnych, które odbyły się we Francji sześć tygodni temu. W dużych miastach zwyciężała lewica, często skrajna i deklarująca rewolucyjne metody walki politycznej, na prowincji o sukcesie może mówić Front Narodowy.

Dziennikarze zwracają uwagę na to, że w ubiegłym roku demonstrujący w wielu miastach nieśli repliki gilotyn przeznaczonych dla ich przeciwników politycznych, a sytuacja gospodarcza Francji jest zła, co jeszcze bardziej sprzyja radykalizacji. Szok naftowy wywołany wojną amerykańsko-irańską po prostu zatrzymał gospodarkę. Spadły wszystkie wskaźniki – konsumpcja o 0,1 proc., inwestycje o 0,4 proc., a handel zagraniczny o 0,7 proc. Konsekwencją był gwałtowny wzrost liczby bankructw, które już dotknęły 19 tys. przedsiębiorstw, co doprowadziło do utraty 11,4 tys. miejsc pracy, w tym 5 tys. w przemyśle. Co gorsza przytłoczony ciężarem długu publicznego kraj nie ma pola manewru i w następnych miesiącach do pewnej recesji dołączy rosnąca inflacja, która podniesie koszty utrzymania.

W ubiegłym roku rząd podniósł podatki o 51 mld euro, co pozwoliło zmniejszyć poziom deficytu do „akceptowalnego" wskaźnika 5,1 proc. PKB, ale w kwestii długu niewiele można zrobić. Oficjalne prognozy i tak rachitycznego wzrostu gospodarczego (0,9 proc.) już zostały zmniejszone trzykrotnie, co oznacza, że Francja zaczyna się pogrążać w stagflacji, bo inflacja rośnie.

Szok naftowy, który – jak powiedział Piero Cipollone, członek zarządu Europejskiego Banku Centralnego – będzie miał bardziej negatywny wpływ na europejską gospodarkę niż poprzednie z lat 1973, 1979 i 2022 razem wzięte, jeszcze pogorszy i tak trudną sytuację francuskiej gospodarki i budżetu. Tym bardziej że jest on wrażliwy na koszty obsługi długu publicznego, który we Francji przekroczył 3,46 bln euro (w Polsce na koniec 2025 r. było to 553 mld euro). Dług publiczny nie jest problemem „technicznym", którym winni zajmować się finansiści, bo – jak dowodzi ekonomista Olivier Klein w wydanej niedawno na ten temat książce – jest on poważniejszy. Jego zdaniem narastanie długu i niezdolność państwa do jego ograniczenia stanowi w gruncie rzeczy świadectwo kryzysu systemu demokratycznego, który nie potrafi przyjąć hierarchii celów państwowych. Wynikiem tej bezradności jest to, co Klein określa mianem „nadużyć hiperdemokratyzacji", polegających na obsesyjnym dążeniu do rozszerzania praw, odmowie ograniczeń i przerostu państwa, którego zadaniem w tym ujęciu staje się rozwiązanie wszystkich problemów życiowych obywateli. Jest to w oczywisty sposób niemożliwe, ale zawiedzione nadzieje – jak zauważył Klein – „stopniowo przekształcają demokrację w niestabilny system, generujący frustracje, konflikty i ostatecznie trwałe nierównowagi społeczne, gospodarcze i finansowe". Jeśli w ten sposób można charakteryzować sytuację przedrewolucyjną, opisywać kraj stojący na krawędzi wybuchu społecznego czy wyborczego buntu, który może prowadzić do zmiecenia dotychczasowego establishmentu ze sceny politycznej, to Francja z pewnością znajduje się w punkcie zwrotnym.

> Dobre notowania AfD, która w ogólnokrajowych badaniach już o 6 proc. wyprzedza CDU/CSU, są zrozumiałe w sytuacji, gdy 80 proc. ankietowanych Niemców jest niezadowolonych z polityki rządu

NIEMCY WSKAZUJĄ NA AFD

W sąsiednich Niemczech sytuacja rozwija się podobnie. Symbolem nowych trendów może być Zehdenick, niewielkie miasteczko na północ od Berlina, gdzie kilkanaście dni temu odbyły się wybory burmistrza. Już w pierwszej turze, pokonując trzech rywali, wygrał je René Stadtkewitz z AfD, stając się pierwszym bezpośrednio wybranym burmistrzem tego ugrupowania. René Springer, przewodniczący AfD w Brandenburgii, określił to zwycięstwo wyborcze jako „jednoznaczny sygnał" i „przedsmak" kolejnych sukcesów. Najbliższe mogą przynieść AfD wrześniowe wybory w Saksonii-Anhalt, gdzie według sondaży partia ta ma 42 proc. poparcia, podczas gdy CDU może liczyć na 24 proc. głosów, a współkoalicyjną SPD czeka walka o przekroczenie 5-procentowego progu. Analizy socjologów są dla partii rządzących w Niemczech więcej niż niepokojące, bo wskazują, iż Alternatywa dla Niemiec, której listę otwiera młody i charyzmatyczny Ulrich Siegmund, może zdobyć nawet 48 proc. głosów, a większość ankietowanych jest zdania, że po wrześniowych wyborach to on będzie premierem tego kraju związkowego.

Dobre notowania AfD, która w badaniach ogólnokrajowych już o 6 proc. wyprzedza CDU/CSU, są zrozumiałe w sytuacji, gdy 80 proc. ankietowanych Niemców jest niezadowolonych z polityki rządu. Merz, którego przemówienie podczas niedawnego kongresu związków zawodowych przyjęto buczeniem i gwizdami, jest dziś politykiem mniej popularnym niż Scholz u kresu swych rządów, a większość ankietowanych uważa, że koalicja CDU/CSU nie przetrwa do końca kadencji.

Jesienią, jeśli AfD wygra w Saksonii-Anhalt, Niemcy mogą się znaleźć w podwójnym, a może nawet potrójnym klinczu. Rządząca koalicja nie jest w stanie uzgodnić planu niezbędnych reform, system federalny zostanie sparaliżowany, jeśli w jednym z landów władze przejmie formacja, wokół której obecny establishment zbudował „chiński mur", a na dodatek nic nie wskazuje na to, by sytuacja gospodarcza miała się poprawić.

Dwa tygodnie temu oficjalne prognozy wzrostu zostały zredukowane o połowę, a wydaje się, że to nie koniec, bo dane z sektora przemysłowego są fatalne. W porównaniu z 2019 r. produkcja samochodów spadła o 800 tys., Mercedes Benz stracił dwie trzecie swego eksportu

eprasa.pl 88714e0595

do Chin, a związek pracodawców branży motoryzacyjnej szacuje, że do 2035 r. sektor będzie musiał zredukować zatrudnienie o co najmniej 250 tys. osób. W innych kapitałochłonnych sektorach, takich jak hutnictwo czy przemysł chemiczny, sytuacja jest jeszcze gorsza. Już obecnie Niemiecki Związek Pracodawców szacuje, że tylko w tym roku sektor przemysłowy będzie musiał zwolnić 150 tys. ludzi.

Zdaniem niemieckich komentatorów problemem jest nie tylko zła kondycja gospodarki, lecz także to, że rośnie ona wyłącznie dzięki inwestycjom i dotacjom państwowym. Działanie Larsa Klingbeila, federalnego ministra finansów z SPD, sprowadza się do prostego rozwiązania polegającego na zwiększaniu zadłużenia i unikania bolesnych politycznie cięć w wydatkach socjalnych, które stale rosną i mają zabójczy wpływ na motywację do pracy. Jak to wygląda w praktyce, opisała Fatina Keilani, dobrze zarabiająca – jak sama pisze – dziennikarka „Die Welt". Ta samotna matka wychowująca czwórkę dzieci stwierdziła: „Pracuję na pełen etat i zarabiam wystarczająco, żeby utrzymać czwórkę dzieci. Mój miesięczny dochód jest powyżej średniej. Nie widnieję w żadnych statystykach jako problematyczny przypadek. A jednak daję sobie radę finansowo tylko z jednego powodu: bo nie muszę płacić czynszu". Ma „starą" umowę na wynajem mieszkania, które z tego powodu kosztuje ją 600 euro miesięcznie, ale po sąsiedzku wprowadziła się młoda para, która ma „nową" umowę – oni za identyczne mieszkanie muszą płacić już 1,8 tys. euro. Gdyby Keilani przestała pracować i przeszła na zasiłki, to mając czwórkę dzieci na utrzymaniu i będąc zwolniona z czynszu, zyskałaby finansowo. Ten przykład pokazuje, jak głębokie są patologie niemieckiego systemu socjalnego i dlaczego kwestie migracyjne – bo przybysze mają najczęściej więcej dzieci niż niemieckie rodziny – budzą za Odrą tak wielkie emocje.

Problemem koalicji jest to, że nie jest ona w stanie uzgodnić spójnego planu reform. Chadecy chcą ograniczenia państwa socjalnego i odejścia od zabójczej dla gospodarki polityki klimatycznej, a socjaldemokraci przeciwnie – opowiadają się za zwiększeniem długu publicznego, wyższymi podatkami i kolejnymi programami socjalnymi. Koalicja jest wewnętrznie zablokowana, nastroje społeczne się pogarszają, więc Niemcy czekają albo przyspieszone wybory do Bundestagu, albo pat polityczny i „gnicie systemu".

Stefan Legge, politolog z Uniwersytetu St. Gallen, specjalizujący się w analizowaniu niemieckiej sceny politycznej, mówi, że jeśli nic się nie zmieni, to w 2033 r. wybory na szczeblu federalnym najprawdopodobniej wygra AfD i będzie w stanie samodzielnie utworzyć rząd. Może się to stać nawet wcześniej, już w 2029 r., jeśli sytuacja gospodarcza będzie się nadal pogarszać i państwo socjalne po prostu pewnego dnia zbankrutuje.

WSTRZĄS W WIELKIEJ BRYTANII

W Wielkiej Brytanii zeszłotygodniowe, częściowe wybory lokalne przyniosły wstrząs polityczny. Labourzyści stracili większość w 35 radach, łącznie będą mieli – w tych okręgach, gdzie głosowano – o 1498 radnych mniej, co oznacza, że ich stan posiadania spadł o 60 proc. Zdecydowanym zwycięzcą jest Reform UK, która zdobyła 1453 nowych mandatów. Co ciekawe, kandydaci tej formacji zdecydowanie pokonali przedstawicieli Partii Pracy w jej tradycyjnych robotniczych „twierdzach" wyborczych. Nigel Farage, lider Reform UK, występując na konferencji prasowej w Havering, robotniczej i zaniedbanej części Wschodniego Londynu, stwierdził – co w świetle rezultatów brzmi prawdopodobnie – że to jego formacja jest teraz partią brytyjskich robotników i ludzi pracy, zniechęconych do polityki Labour Party.

W dużych miastach dodatkowe mandaty zdobyli reprezentanci radykalnie Zielonych Zacka Polanskiego, którzy zwiększyli liczbę swych radnych o 440.

Partia Pracy po 27 latach straciła władzę w Walii. Urzędująca premier Eluned Morgan nie zdobyła nawet mandatu, a szkoccy nacjonaliści znów mówią o referendum niepodległościowym. Zjednoczonemu Królestwu grozi nie tylko głęboki kryzys gospodarczy, lecz wręcz rozpad. Gdyby wybory do Izby Gmin odbyły się teraz, to Labour Party zdobyłaby 15 proc. głosów (dwa lata temu w wyborach miała 33,4 proc.), co równałoby się klęsce i zepchnięciu jej na trzecie miejsce. Polityczna przyszłość Starmera wydaje się przesądzona choćby z tego powodu, że jego dymisji domaga się ponad 100 parlamentarzystów z jego ugrupowania oraz bardzo wpływowi liderzy związków zawodowych.

Problemem jest zarówno to, że system będzie gnił, a Partia Pracy pogrąży się we frakcyjnych walkach, jak i brak perspektyw na rozwiązanie sytuacji. Liderzy lewego skrzydła tej formacji chcą więcej socjalizmu, wyższych wydatków socjalnych i podniesienia podatków. Nie przejmują się tym, że już obecnie Wielka Brytania ma problem z obsługą długu publicznego, który zbliża się do 100 proc. PKB, a oprocentowanie 10-letnich obligacji jest najwyższe od 1997 r. Kryzys energetyczny uderzy w Wielką Brytanię mocniej niż w inne europejskie państwa, a Ed Miliband, lewicowy minister energetyki i szara eminencja w Partii Pracy, chce w odpowiedzi ustawowo zablokować możliwość wydobycia ropy naftowej i gazu ziemnego w brytyjskich wodach terytorialnych.

IDĄ ZMIANY

Trzy największe państwa naszego kontynentu – Niemcy, Francja i Wielka Brytania – znajdują się nie tylko w kryzysie ekonomicznym i finansowym, lecz także w okresie politycznej burzy. Coraz większe szanse na zdobycie władzy mają partie walczące z obecnym establishmentem, sprzeciwiające się zarówno aktualnej polityce zbrojeń, jak i dotychczasowemu modelowi państwa socjalnego. Domagają się również zablokowania emigracji.

Europa wchodzi w fazę politycznych turbulencji. Rewolucje wyborcze, które doprowadziły do zmiecenia starych obozów władzy, dokonały się ostatnio na Węgrzech i w Bułgarii. Następna będzie Rumunia, gdzie właśnie upadł rząd. Prezydent Nicuşor Dan, nadzieja liberałów, wygłosił 8 maja przemówienie, w którym powiedział, że jego ojczyzna niedługo będzie mieć „prozachodni", ale niekoniecznie „proeuropejski" rząd w Bukareszcie. Zostało to odczytane jako zapowiedź zwrotu Rumunii w stronę USA, tym bardziej że Dan oskarżył dotychczas rządzących, iż niezbyt energicznie bronili interesów swojej ojczyzny w Brukseli.

Kolejne rewolucje wyborcze, a być może w niektórych państwach nawet uliczne rozruchy, nie wydają się odległą perspektywą. Kryzys ekonomiczny, a także sojuszniczy, wpływający na poczucie bezpieczeństwa, powoduje, że kruszeje europejski system. Idą zmiany, i to głębokie.

eprasa.pl 88714e0595

Wszyscy razem na kozetce

W ciągu ostatnich 25 lat na Zachodzie odnotowano gwałtowny wzrost liczby przypadków chorób psychicznych. Dotyczy to zwłaszcza depresji, stanów lękowych, ADHD i autyzmu. Nie jest to jednak objaw narastającego kryzysu medycznego, lecz społecznego



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 88714e0595

Goście siedzieli na sali skąpanej w pulsującym czerwonym świetle, z czterema długimi, ruchomymi korytarzami. Modelki powoli wychodziły boso, patrząc przed siebie katatonicznie, w białych ubraniach przypominających kaftany bezpieczeństwa. Ich ruchy były niezdarne, mające symulować chorobę psychiczną. Część publiczności była oburzona, ale dom mody Gucci osiągnął zamierzony cel: dyskusja na temat pokazu najnowszych trendów haute couture na wiosnę 2020 r. rozniosła się po mediach, w tym społecznościowych. Dziś, sześć lat później, kontrowersyjny pokaz jawi się jako trafny, choć niezamierzony komentarz do rzeczywistości. Zaburzenia psychiczne stają się bowiem na Zachodzie nową normą.

ALARMUJĄCE STATYSTYKI

Według najnowszych badań Zurich Insurance w Wielkiej Brytanii 51 proc. osób w wieku 15–19 lat cierpi obecnie na zaburzenia psychiczne lub behawioralne, takie jak lęk, depresja czy ADHD. Jeśli te trendy się utrzymają, do 2030 r. odsetek ten sięgnie 64 proc. Problemy ze zdrowiem psychicznym stały się więc statystycznie normą wśród starszych nastolatków na Wyspach Brytyjskich. Podobne zjawisko ma miejsce w USA. Dane pochodzące z systemu monitorowania czynników ryzyka behawioralnego (BRFSS) Centrów Kontroli i Prewencji Chorób (CDC) wskazują na wyraźny wzrost odsetka młodych dorosłych, którzy zgłosili, że przez dwa tygodnie lub dłużej odczuwali problemy ze zdrowiem psychicznym – z 11 proc. w 2011 r. do 25 proc. w 2022 r., co stanowi najwyższy poziom od wprowadzenia monitoringu w 1993 r.

Według Światowej Organizacji Zdrowia aż 20 proc. nastolatków na świecie zmaga się z problemami natury psychicznej, a także z wynikającymi z tego zaburzeniami zachowania. Również w Polsce liczba młodych osób wymagających wsparcia w zakresie zdrowia psychicznego systematycznie rośnie.

Szczególnie zauważalny wzrost dotyczy zaburzeń lękowo-depresyjnych, zaburzeń zachowania, uzależnień, a w przypadku dziewcząt – także zaburzeń odżywiania. Z raportu „Dzieci się liczą" opracowanego przez Fundację „Dajemy dzieciom siłę" wynika, że nawet co piąty nastolatek doświadcza takich problemów. Ale także wśród dorosłych liczba osób zmagających się ze zdrowiem psychicznym stale rośnie. Według National Alliance on Mental Illness w 2024 r. 23,4 proc. Amerykanów (61,5 mln osób) cierpiało na zaburzenia psychiczne. Prym wiodły depresja i stany lękowe (15,5 oraz 19,1 proc.).

Ma to poważne konsekwencje. Badania firmy konsultingowej Deloitte wykazały, że zaburzenia psychiczne pracowników kosztują brytyjskich pracodawców 51 mld funtów (250 mld zł) rocznie. Ponadto 46 proc. pracujących rodziców martwi się o zdrowie psychiczne swoich dzieci, co kosztuje kolejne 8 mld funtów rocznie z powodu wpływu na wydajność, konieczności brania urlopu lub odejścia z pracy. Również Centrum Kontroli i Prewencji Chorób (CDC) podaje, że straty produktywności spowodowane absencją kosztują pracodawców w Stanach Zjednoczonych 225,8 mld dol. rocznie, czyli 1685 dol. na pracownika.

> Prawie każdego dnia jakaś znana osoba otwarcie mówi o swoich problemach ze zdrowiem psychicznym. To, co kiedyś było tabu, dziś staje się glamour

ELASTYCZNOŚĆ DIAGNOSTYCZNA

O wiele częściej niż w przeszłości diagnozowany jest także autyzm. Prof. Philip Graham, psychiatra dziecięcy, pisze na łamach dziennika „The Guardian", że w latach 80. i 90. XX w. „mieliśmy trzy do czterech przypadków na 10 000 dzieci". „Obecnie to co najmniej 100, co stanowi 30-krotny wzrost" – czytamy na łamach gazety. A to i tak jest skromny szacunek. Jak wynika z badań epidemiologicznych opublikowanych w „The Journal of Child Psychiatry and Psychology", w Wielkiej Brytanii liczba diagnoz autyzmu wzrosła między 1998 a 2018 r. o 787 proc.! W Stanach Zjednoczonych dzieci i nastolatków, u których diagnozuje się zaburzenia ze spektrum autyzmu, jest dziś pięć razy więcej niż w 2000 r. Wtedy było to 6,7 na 1000, a dziś – 32,2. Wzrost ten jest w dużej mierze spowodowany nową definicją schorzenia. Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne w kolejnych rewizjach Podręcznika Diagnostyczno-Statystycznego Zaburzeń Psychicznych (DSM) poszerzyło kryteria dla wielu schorzeń, w tym zaburzeń lękowych i depresyjnych. Podobnie brytyjskie wytyczne kliniczne Narodowego Instytutu Zdrowia i Doskonałości Opieki (National Institute for Health and Care Excellence) ułatwiły lepsze rozpoznanie – a tym samym diagnozę – schorzeń takich jak autyzm czy ADHD. To rozszerzenie często jest uzasadniane możliwością wczesnej interwencji. Wprowadza ono jednak pewną formę elastyczności.

Zachowania i stany emocjonalne, które kiedyś uważano za normalne w okresie dojrzewania, są teraz łatwiej klasyfikowane jako objawowe. Jak pisze psycholog Lucy Foulkes, „zwiększona świadomość zdrowia psychicznego może prowadzić do interpretowania łagodniejszych form stresu jako objawów choroby psychicznej" oraz każdego, nawet najbardziej łagodnego opóźnienia w rozwoju i nietypowego zachowania u dzieci jako autyzmu.

BRAK ZDOLNOŚCI SPOŁECZNYCH

Dame Uta Frith, pionierka badań nad autyzmem, która pomogła poszerzyć kryteria diagnostyczne choroby, zade-

Autopromocja

eprasa.pl 88714e0595

klarowała w wywiadzie z niemieckim dziennikiem „Die Welt", że „dzieło jej życia doprowadziło do nieustannego wzrostu liczby diagnoz, na ogół nieuzasadnionych". „Z powodu różnych czynników kulturowych spektrum staje się coraz bardziej arbitralne. I myślę, że osiągnęło już punkt krytyczny" – czytamy.

W wywiadzie dla magazynu „Times Educational Supplement" Frith sugeruje wyraźniejsze rozróżnienie dwóch podgrup. Jedna składa się z „osób zdiagnozowanych we wczesnym dzieciństwie – zazwyczaj przed ukończeniem trzeciego lub piątego roku życia, w zależności od takich czynników jak zdolności intelektualne i umiejętności językowe". Tę grupę należy odróżnić od drugiej, u której diagnozę stawia się znacznie później: „Ta grupa obejmuje wielu nastolatków, w tym wiele młodych kobiet. Są to osoby bez niepełnosprawności intelektualnej, które doskonale komunikują się werbalnie i niewerbalnie, ale mogą odczuwać silny lęk w sytuacjach społecznych. Być może charakteryzuje je przede wszystkim pewnego rodzaju nadwrażliwość" – podkreśliła Frith. Według niej to ta druga podgrupa rośnie w zastraszającym tempie, podczas gdy ta pierwsza pozostaje dosyć stabilna.

W skrócie: spektrum autyzmu jest coraz częściej diagnozowane u młodych dorosłych, którzy głęboko zanurzeni w social mediach i świecie wirtualnym nie wykształcili w sobie zdolności społecznych. Dlatego Frith dziś krytykuje narzędzia diagnostyczne, do których rozwoju sama się przyczyniła: „To bardzo trudne, dziś ciągle słyszymy, że wszyscy jesteśmy neuroróżnorodni; ponieważ nasze mózgi są różne. Stało się to modne. Ale to sprawia, że diagnoza medyczna przestaje mieć jakiekolwiek znaczenie" – zaznaczyła. Na tyle modne, że wiele osób samemu stawia sobie diagnozę, jeszcze przed badaniem. „Słyszałam od lekarzy, że czują ogromną presję, gdy dana osoba czekała miesiącami, a nawet latami i jest absolutnie pewna, że ma autyzm" – dodała. Według niej odkąd autyzm zaczęto przypisywać różnym celebrytom – jak choćby Elonowi Muskowi – „stał się on ponadto swego rodzaju pieczęcią aprobaty". „Rodzice dzieci z niepełnosprawnością intelektualną wręcz nalegają na tę diagnozę" – przekonuje badaczka.

UROK NEGATYWNOŚCI

Diagnozę można zresztą otrzymać także poprzez media społecznościowe. Filmików na TikToku i YouTube wyliczających rzekome objawy takich schorzeń jak autyzm czy ADHD jest mnóstwo. Wiele z nich jest zresztą wrzucanych przez psychoterapeutów, którzy przy okazji oferują swoje usługi. Jednocześnie w ciągu ostatnich 15 lat odbyły się niezliczone kampanie w celu ograniczenia dyskryminacji osób z zaburzeniami psychicznymi.

Prawie każdego dnia jakaś znana osoba otwarcie mówi o swoich problemach ze zdrowiem psychicznym. Do tego stopnia, że posiadanie diagnozy stało się – jak twierdzą dr Rola Jadayel i dr Karim Medlej z Uniwersytetu w Balamand w Libanie – „glamour". Według nich „otwartość w kwestiach zdrowia psychicznego może być myląca, a w niektórych przypadkach manipulacyjna, prowadząc w ten sposób do bardziej złożonych zaburzeń". „Anoreksja jest postrzegana jako równoznaczna z kontrolą, zaburzenia lękowe są przedstawiane jako coś uroczego, a depresja jako odzwierciedlenie intelektu i głębi. Problem narasta, a ponieważ kontrola nad tym, co jest publikowane jest znikoma, takie idee doprowadziły do powstania grup, które dzielą się i promują fałszywy obraz bardzo poważnych i delikatnych problemów ze zdrowiem psychicznym" – uważają badacze.

Urok negatywności, ujęty w estetycznie przyjemnym montażu i wspólnych doświadczeniach, urzeka młodą publiczność, zacierając granice między uniwersalnymi emocjami a autentycznymi objawami zaburzeń. Ten trend – jak czytamy na łamach „The Daily Telegraph" – pojawił się w latach 90. XX w. – dekadzie, w której wszyscy byliśmy zachęcani do „dzielenia się swoimi uczuciami", gdy wizyty u psychiatry stały się modne. Ten nowy konsensus, nakreślony przez prof. Franka Furediego w jego książce „Therapy Culture" („Kultura terapii") z 2004 r., czyli zwrot kulturowy w stronę sfery emocji, zbiega się z radykalną redefinicją człowieczeństwa. Wrażliwość coraz częściej jest przedstawiana jako cecha definiująca psychologię człowieka. Furedi kwestionuje powszechnie akceptowaną tezę, że zwrot terapeutyczny reprezentuje oświeconą zmianę. Twierdzi, że kultura terapeutyczna polega przede wszystkim na narzucaniu nowego konformizmu poprzez zarządzanie emocjami.

Efekty? Prawie 30 proc. dorosłych Amerykanów korzystało z usług terapeuty od 2020 r., a 19,5 proc. brało różnorodne psychotropy.

PASOWAĆ DO SCHEMATU

Jak powiedział w wywiadzie dla „The Daily Telegraph" Will Shield, profesor psychologii na Uniwersytecie Exeter: „O wiele łatwiej jest próbować nadać sens swoim doświadczeniom przez pryzmat myślenia: pasuję do tego schematu (czytaj: diagnozy) albo dlatego wszystko sprawia mi tyle trudności". To łatwiejsze rozwiązanie niż próba uporania się z problemami, które każdy napotyka w swoim życiu.

A może w końcu wszyscy zostaną zdiagnozowani negatywnie (z zaburzeniami psychicznymi)? Wtedy bycie chorym psychicznie stanie się nową normą w historii ludzkości, pozbawiając tym samym sensu całe to pojęcie. I jaką przyszłość ma cywilizacja, której (szczególnie młodzi) przedstawiciele, żyjący w pokoju i dobrobycie, czują się bardziej straumatyzowani niż ukraińscy żołnierze walczący na froncie?



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl 88714e0595

Prawda o zwycięstwie pod Monte Cassino





STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Bitwa o Monte Cassino uchodzi za jedno z największych polskich zwycięstw II wojny światowej. Stała się symbolem odwagi żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, którzy otworzyli aliantom drogę do Rzymu. Do dziś powracają jednak pytania, czy zdobycie klasztoru było warte tysięcy ofiar i czy można było uniknąć tak krwawego szturmu. Jak po latach oceniać tę bitwę?

Każdego roku w maju zarówno we Włoszech, jak i w Polsce odbywają się uroczystości upamiętniające bitwę o Monte Cassino. Na Polskim Cmentarzu Wojennym u podnóża klasztoru spoczywa ponad tysiąc polskich żołnierzy. Odwiedzający jedną z czterech polskich nekropolii we Włoszech przy wejściu mogą przeczytać słowa: „Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w jej służbie". Charakter tego miejsca jeszcze mocniej oddają słowa Feliksa Konarskiego, autora „Czerwonych maków na Monte Cassino": „Ta ziemia do Polski należy,/ choć Polska daleko jest stąd,/ bo wolność krzyżami się mierzy […]".

Wokół bitwy od lat toczy się dyskusja. Dla jednych jest ona wielkim zwycięstwem polskiego oręża, a także dowodem niezwykłego bohaterstwa i determinacji Polaków walczących „za wolność naszą i waszą". Dla innych była to niepotrzebna, okupiona ogromnymi stratami walka, która nie zmieniła tragicznej sytuacji Polski pod koniec II wojny światowej. Współczesna debata dotyczy więc nie tylko samej bitwy, lecz także sensu polskiego wysiłku wojennego na Zachodzie. Czy atak na Monte Cassino był konieczny? Dlaczego właśnie polscy żołnierze musieli wziąć w nim udział? Czy warto było ginąć, skoro sprawa polska była już wówczas praktycznie przesądzona?

DLACZEGO TAM?

Po zdobyciu Sycylii w 1943 r. i rozpoczęciu inwazji na Włochy kontynentalne wojska alianckie napotkały zdecydo-

Fot. NAC

eprasa.pl 88714e0595

wany opór Wehrmachtu. Choć niemal do połowy 1944 r. był to jedyny aktywny front zachodnich aliantów w kontrolowanej przez III Rzeszę Europie, niemiecka obrona ustępowała bardzo powoli, mimo wyraźnej przewagi przeciwnika. Kampania włoska zaczęła budzić frustrację, a wśród aliantów narastały napięcia i wzajemne pretensje. Kilkadziesiąt kilometrów na południe od Rzymu Niemcy stworzyli potężny system umocnień zwany Linią Gustawa, który skutecznie blokował drogę do włoskiej stolicy. Kluczowym punktem tej obrony było wzgórze Monte Cassino wraz z położonym na nim klasztorem benedyktynów.

Już na początku 1944 r. alianci podjęli próby przełamania niemieckich pozycji. Pierwsze walki rozpoczęły się 17 stycznia, uczestniczyli w nich polscy żołnierze z 1. Samodzielnej Kompanii Komandosów dowodzonej przez mjr. Władysława Smrokowskiego. Główne natarcie, prowadzone w połowie stycznia przez siły amerykańskie i brytyjskie, zakończyło się jednak niepowodzeniem. Miesiąc później niemieckich umocnień nie udało się przełamać także żołnierzom nowozelandzkim, wspieranym przez oddziały hinduskie. W marcu alianci ponowili atak, lecz po 11 dniach ciężkich walk ponownie musieli się wycofać, ponosząc ogromne straty.

Sprzymierzeni próbowali zniszczyć niemieckie pozycje poprzez masowe naloty lotnicze. 15 lutego 1944 r. ok. 250 amerykańskich bombowców zrzuciło na Monte Cassino setki bomb burzących. W efekcie klasztor benedyktynów został niemal całkowicie zniszczony. „Monte Cassino, o które stoczyli boje waleczni synowie pięciu narodów – Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi, Nowozelandczycy i Hindusi, zwróciło na siebie oczy świata. Mówili o nim jako o twierdzy nie do zdobycia, także Niemcy w swoich komunikatach wojennych" – wspominał po latach gen. Władysław Anders, dowódca 2. Korpusu Polskiego.

Wiosną 1944 r. alianckie dowództwo rozpoczęło przygotowania do czwartej ofensywy. Wówczas podjęto decyzję, by do walk skierować nasz 2. Korpus. Polacy mieli zaatakować jeden z najtrudniejszych, górzystych odcinków niemieckiej obrony. Dlaczego właśnie oni? Alianci potrzebowali świeżych oddziałów, zdolnych do walki w wyjątkowo ciężkim terenie. To jednak nie wyjaśnia, dlaczego gen. Anders zgodził się przyjąć tak ryzykowne zadanie.

POLSKA W SIDŁACH STALINA

Aby zrozumieć znaczenie Monte Cassino, trzeba pamiętać o dramatycznej sytuacji politycznej Polski w 1944 r. Formalnie kraj należał do koalicji antyhitlerowskiej, lecz jego pozycja systematycznie słabła. Po ujawnieniu zbrodni katyńskiej w 1943 r. Związek Sowiecki zerwał stosunki dyplomatyczne z polskim rządem na emigracji. Jednocześnie Armia Czerwona przesuwała się coraz dalej na zachód, co oznaczało, że w praktyce to Józef Stalin będzie decydował o przyszłości Europy Środkowo-Wschodniej. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone potrzebowały współpracy ze Związkiem Sowieckim, dlatego coraz częściej podporządkowywały sprawę polską jego strategicznym interesom. Polscy żołnierze walczący na Zachodzie coraz lepiej rozumieli, że ich ojczyzna może po wojnie utracić suwerenność. Po konferencji tzw. wielkiej trójki w Teheranie o niepodległości Polski mówiono już wyraźnie mniej, chociaż jej ustalenia zostały celowo utajnione.

W tym samym czasie coraz silniejszą presję wywierała propaganda sowiecka. W październiku 1943 r. formowane u boku Armii Czerwonej oddziały tzw. Ludowego Wojska Polskiego wzięły udział w bitwie pod Lenino. Władze w Moskwie chciały w ten sposób pokazać, że „ich" polscy żołnierze bez wahania walczą z Niemcami, podczas gdy podkomendni gen. Andersa rzekomo unikają walki. Dowódca 2. Korpusu zdawał sobie sprawę, że operacja pod Monte Cassino może przynieść ogromne straty. Jednocześnie rozumiał, że udział Polaków w jednej z najgłośniejszych bitew wojny może mieć ogromne znaczenie polityczne dla sprawy polskiej. „Byłoby najlepszą odpowiedzią na propagandę sowiecką, która twierdziła, że Polacy nie chcą się bić z Niemcami. Podtrzymywałoby na duchu opór walczącego Kraju. Przyniosłoby dużą chwałę orężowi polskiemu. Oceniałem ryzyko podjęcia tej walki, nieuniknione straty oraz moją pełną odpowiedzialność w razie niepowodzenia. Po krótkim namyśle oświadczyłem, że podejmuję się tego trudnego zadania" – wspominał po latach gen. Anders.

Właśnie dlatego sukces militarny miał dla Polaków tak duże znaczenie. Liczono, że bohaterstwo na froncie przełoży się na polityczne uznanie polskich racji. Monte Cassino miało stać się dowodem na to, że Polska pozostaje wiernym i wartościowym sojusznikiem aliantów. Istotny był również czynnik psychologiczny. Żołnierze 2. Korpusu w dużej części byli dawnymi więźniami sowieckich łagrów, w wyniku układu Sikorski–Majski opuścili ZSRS i trafili na Bliski Wschód. Choć Związek Sowiecki był teraz formalnym sojusznikiem, dla wielu z nich walka z Niemcami stanowiła jedyną możliwość odwetu na okupancie.

23 marca gen. Olivier Leese, który zastąpił gen. Bernarda Montgomery'ego na stanowisku dowódcy 8. Armii, poinformował gen. Andersa, że 2. Korpus Polski został wyznaczony do zdobycia wzgórza klasztornego. Anders miał zaledwie 10 minut na odpowiedź. Nie było czasu na konsultacje z polskimi władzami wojskowymi. Ostatecznie zaakceptował propozycję. Trzy dni później, 26 marca, na miejsce przybył Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski. Odniósł się do planu bardzo sceptycznie. Uważał, że straty będą ogromne, a zdobycie Monte Cassino może się okazać niemożliwe. Był przeciwnikiem frontalnego ataku na niemieckie umocnienia i skłaniał się raczej ku próbie ich obejścia. Jaką alternatywę miał jednak Anders? Gdyby odmówił, oddziały 2. Korpusu Polskiego prawdopodobnie zostałyby rozproszone i skierowane do walk w dolinie rzeki Liri, gdzie straty mogły się okazać równie wysokie. Anders zdecydował się więc na walkę o Monte Cassino.

POLSKIE SZTURMY

Natarcie 2. Korpusu Polskiego rozpoczęło się w nocy z 11 na 12 maja 1944 r. Zadaniem Polaków było zdobycie silnie umocnionych wzgórz i otwarcie drogi do klasztoru. Niemcy dysponowali doskonale przygotowanymi pozycjami obronnymi, wspieranymi przez artylerię oraz gniazda karabinów maszynowych. Pierwsze ataki zakończyły się

eprasa.pl 88714e0595

bardzo ciężkimi stratami. Gen. Leese, chcąc ukryć przed Niemcami obecność Polaków na froncie, zabronił 2. Korpusowi wysyłania patroli rozpoznawczych przed rozpoczęciem bitwy. Brak rozeznania także przyczynił się do śmierci wielu żołnierzy. Walki toczyły się w niezwykle trudnym terenie: na stromych zboczach, wśród ruin i skalistych wąwozów. Niemcy skutecznie odpierali kolejne szturmy. Szczególnie zacięte boje rozegrały się o wzgórza oznaczone numerami 593 i 569 oraz o tzw. Widmo. Polskie oddziały wielokrotnie zdobywały fragmenty niemieckich pozycji, by po chwili wycofywać się pod naporem kontrataków. Aby utrzymać sprawność bojową brygad piechoty, trzeba było utworzyć kompanie strzelców złożone z saperów. Ponadto sformowano trzy półbataliony z kanonierów pułków artylerii przeciwpancernej.

Decydujące uderzenie nastąpiło 17 maja. Po ciężkich walkach Polakom udało się przełamać część niemieckiej obrony i zagrozić wojskom broniącym Monte Cassino okrążeniem. W tej sytuacji Niemcy rozpoczęli odwrót. Rankiem 18 maja patrol 12. Pułku Ułanów Podolskich zajął ruiny klasztoru. Na wzgórzu zawisła polska flaga, a wkrótce rozbrzmiał hejnał mariacki. Niemcy wycofali się z całej Linii Gustawa na kolejną linię obrony, tzw. Linię Hitlera. Dla polskiego oręża był to moment wielkiego triumfu.

W bitwie 2. Korpus Polski poniósł bardzo ciężkie straty: ponad 900 żołnierzy poległo, ok. 3 tys. zostało rannych, a kilkuset uznano za zaginionych. W skali całej kampanii o Monte Cassino liczba ofiar była znacznie większa. Alianci stracili dziesiątki tysięcy żołnierzy różnych narodowości. Pytanie o sens tych ofiar powraca do dziś. Krytycy wskazują, że klasztor został zdobyty w momencie, gdy Niemcy przygotowywali odwrót. Historycy podkreślają jednak, że sytuacja była bardziej złożona. Niemiecki odwrót był efektem alianckiego nacisku na całym froncie, a polskie natarcie odegrało istotną rolę w związaniu i osłabieniu obrońców. Bez uderzenia 2. Korpusu przełamanie Linii Gustawa mogło się zakończyć kolejnym niepowodzeniem.



Monte Cassino miało stać się dowodem na to, że Polska pozostaje wiernym i wartościowym sojusznikiem aliantów. A ci nie zapomną o niej w politycznej rozgrywce. Na zdjęciu widok na klasztor z polskiego cmentarza wojennego

ZWYCIĘSTWO BEZ NAGRODY

Zdobycie Monte Cassino umożliwiło rozwinięcie ofensywy w środkowej części Półwyspu Apenińskiego. Po przełamaniu niemieckich pozycji alianci mogli kontynuować marsz na północ, co doprowadziło m.in. do zdobycia Rzymu, Ankony i Bolonii. Bitwa potwierdziła również wysoką wartość bojową 2. Korpusu Polskiego. Z wojskowego punktu widzenia Monte Cassino stało się więc jednym z kluczowych elementów alianckiej ofensywy we Włoszech. Polacy udowodnili, że należą do najlepiej walczących formacji alianckich na froncie włoskim.

Najbardziej gorzki okazał się jednak polityczny bilans bitwy. Mimo bohaterstwa polskich żołnierzy mocarstwa zachodnie nie zmieniły swojej polityki wobec Stalina, który dążył do pełnego podporządkowania sobie Polski oraz całej Europy Środkowo-Wschodniej. Ustalenia konferencji w Teheranie z 1943 r. zostały podtrzymane w 1945 r. zarówno podczas konferencji w Jałcie, jak i w Poczdamie. Polska utraciła Kresy Wschodnie i na kilkadziesiąt lat znalazła się w strefie wpływów Związku Sowieckiego.

Dla wielu uczestników bitwy, w tym gen. Andersa, był to ogromny cios. Żołnierze, którzy przeszli przez sowieckie łagry, pustynie Bliskiego Wschodu i pola bitew we Włoszech, często nie mogli wrócić do ojczyzny albo po powrocie spotykali się z nieufnością i represjami. Wielu weteranów Monte Cassino rozproszyło się po świecie, ponieważ w komunistycznej Polsce nie było dla nich miejsca. W tym sensie Monte Cassino stało się kolejnym symbolem tragicznego losu Polski i Polaków podczas II wojny światowej.

Zdobycie klasztoru było wielkim sukcesem wojskowym. Mimo ciężkich strat nie przyniosło jednak tak oczekiwanego politycznego przełomu. Nie udało się ocalić polskiej niepodległości. Trzeba jednak pamiętać, że uczestnicy tych wydarzeń nie znali przyszłości i nie mogli oceniać sytuacji z perspektywy późniejszych decyzji politycznych. Polscy żołnierze, oficerowie i generałowie mieli nie tylko głębokie pragnienie walki o niepodległość, ile również poczucie obowiązku wobec własnego państwa.

Bitwa o Monte Cassino była jednym z wielu bojów stoczonych przez Polaków podczas II wojny światowej. Choć nie przyniosły one niepodległości w 1945 r., trudno wyobrazić sobie, jak ocenialibyśmy dziś postawę narodu, który zrezygnowałby z walki o wolność.

Warto przywołać słowa wybitnego polskiego pisarza Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który walczył pod Monte Cassino: „Była to bez wątpienia bitwa wielka. Chcieliśmy jej, żyliśmy myślą o niej w Palestynie, w Iraku, w Egipcie, szkoląc się na pustyni, nasłuchując wiadomości z Polski. Łatwo dziś twierdzić, że w pięć miesięcy po Teheranie była już politycznie zbyteczna. Równie łatwo wydać dziś podobny, jeśli nie bardziej nawet stanowczy, sąd o Powstaniu Warszawskim".

Dlatego pamięć o Monte Cassino pozostaje tak ważna. Jest to nie tylko wspomnienie wielkiej bitwy, lecz także symbol ceny, jaką Polacy byli gotowi zapłacić za wolność, nawet wtedy, gdy szanse na sukces wydawały się niewielkie.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 88714e0595



Kara śmierci dla żydowskiego policjanta.

Zbrodniarz czy ofiara?

Zagadnienie działalności żydowskich policjantów w czasie wojny jest wielowątkowe i skomplikowane. Elementem tej układanki jest sprawa jednego z funkcjonariuszy Żydowskiej Służby Porządkowej z Tarnowa, który w 1946 r. jako „faszystowsko-hitlerowski zbrodniarz" po jednodniowym procesie trafił na szubienicę



PIOTR GONTARCZYK

25 maja 1945 r. do lokalu Opieki Społecznej przy ul. Długiej 38 w Krakowie wkroczyli funkcjonariusze MO. Zatrzymali 26-letniego mężczyznę, którego inni żydowscy rozbitkowie zadenuncjowali jako byłego funkcjonariusza Żydowskiej Służby Porządkowej (OD lub JOD) w getcie w Tarnowie.

Wedle świadków Maks Zimmermann – bo tak nazywał się aresztowany szofer – zwykle chodził ze szpicrutą, którą katował innych Żydów. Pędził ich do wagonów deportacyjnych, a starych i chorych – na miejsce straceń. Potem z innymi funkcjonariuszami OD miał w Tarnowie wyszukiwać i wydawać w ręce Niemców bunkry, w których chowali się Żydzi chcący uniknąć wywiezienia do Bełżca. Te działania żydowskich policjantów pochłonęły setki ofiar: w pierwszym wydanym bunkrze ukrywało się ponoć ok. 40 osób. Później, jako kapo w obozie w Płaszowie, Zimmermann miał terroryzować i grabić współwięźniów.

Przesłuchiwany przez UB przyznawał, że był policjantem w tarnowskim getcie, potem krótko funkcyjnym w Płaszowie, ale bronił się, że do JOD został skierowany przez Judenrat i ogólnie musiał ściśle wykonywać rozkazy Niemców. Tak, stale posługiwał się szpicrutą, ale gdyby nie dyscyplinował nią Żydów, niezadowoleni Niemcy mogliby zacząć ich mordować, a jego samego zabiliby za opieszałe wykonywanie rozkazów. Podobnie postępował w obozie w Płaszowie wobec tych, którzy unikali pójścia do pracy.

Po kilku miesiącach, 15 października 1945 r., prokuratura sporządziła akt oskarżenia na podstawie tzw. dekretu sierpniowego PKWN „O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy wojennych winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz zdrajców Narodu Polskiego". Artykuł, na który powoływał się prokurator, głosił o karaniu każdego, „kto działając na rękę władzy okupacyjnej niemieckiej: a) brał lub

Fot. BE&W

eprasa.pl 88714e0595

bierze udział w dokonywaniu zabójstw osób spośród ludności cywilnej lub jeńców wojennych, w znęcaniu się nad nimi lub ich prześladowaniu". Sytuacja była więc paradoksalna: dekret PKWN mówił o „faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzach wojennych", a na jego podstawie oskarżono przedstawiciela narodu, który był przez owych „hitlerowskich zbrodniarzy" bezwzględnie eksterminowany. Za przestępstwa zarzucone Maksowi Zimmermannowi dekret przewidywał wówczas tylko jedną karę: śmierć przez powieszenie.

PROCES

24 czerwca 1946 r. Zimmermann stanął przed sądem. Tłumaczył się dramatycznymi okolicznościami, na które nie miał wpływu: „Szpicrutę musiałem w czasie służby mieć stale przy sobie, gdyż były to niejako insygnia naszej władzy, a porzucenie tejże było karalne". Wiedział o wyszukiwaniu i wydawaniu bunkrów w czasie deportacji, ale w dwóch przypisanych mu przypadkach wskazywał na innych sprawców: raz miał tego dokonać inny policjant, za drugim razem człowiek (podał nazwisko), który już w wagonie pociągu deportacyjnego zaproponował Niemcom transakcję: wyda bunkry z kilkudziesięcioma osobami w zamian za pozostawienie go w getcie. Obie strony miały wywiązać się z umowy.

Ogólnie Zimmermann twierdził, że oskarżenia pod jego adresem są nieprawdziwe, że padł ofiarą zemsty, bowiem jeszcze w czasie służby Żydzi często odgrażali się policjantom, nie rozumiejąc ich sytuacji. Uważał, że padł ofiarą zbiorowej nienawiści ze strony Żydów wobec wszystkich funkcjonariuszy OD.

Jednak przebieg procesu był dla niego wyjątkowo niekorzystny. Jego tłumaczenia nie podważały zeznań obciążających go świadków. Dodatkowo pojawiały się nowe wątki. Schaja Wachs zeznała, że w jej wagonie pełnym Żydów wywożonych z Tarnowa do Płaszowa już przed odjazdem pojawił się Zimmermann, który wyciągnął na zewnątrz 4-letnie dziecko, natychmiast zastrzelone przez Niemców. Oskarżony wyjaśniał, że tylko ogłaszał w wagonach, że jeśli Niemcy znajdą jakieś dziecko (ich zabieranie z getta do obozu było zabronione), to zastrzelą wszystkich obecnych tam Żydów. Twierdził, że po takim ogłoszeniu sami Żydzi ze strachu wyrzucali własne i cudze dzieci z wagonów, więc nikogo nie wyciągał. Powiedział też, że sprawy opisanej przez Wachs „nie pamięta".

Pod koniec rozprawy decyzją sądu – obrona się sprzeciwiała – odczytano zeznania ze śledztwa nieobecnych świadków. Były one bardzo obciążające dla oskarżonego, ale ich wiarygodności nikt nie mógł już zweryfikować. Obrona wnioskowała o wezwanie kolejnych świadków mających zeznawać na korzyść Zimmermanna, co skutkowałoby odroczeniem rozprawy. Sąd nie wyraził zgody. Odrzucił też wniosek o badanie psychiatryczne oskarżonego (to już była walka o jego życie).

Sąd zapowiedział ogłoszenie wyroku na drugi dzień po rozprawie, czyli 26 czerwca 1946 r. o godz. 8.30. Dzień wcześniej do sądu dotarło pismo oskarżonego, w którym znów opisał dramatyczną sytuację, w jakiej znalazł się w czasie wojny i zaprzeczał udziałowi w wykrywaniu i denuncjowaniu bunkrów. Powtarzał, że zarzuty pod jego adresem są fałszywe i motywowane ślepą zemstą. Prosił o uniewinnienie.

WYROK

26 czerwca 1946 r. Specjalny Sąd Karny w Krakowie ogłosił wyrok. Uznał za udowodnione wszystkie zarzuty dotyczące działań Zimmermanna w tarnowskim getcie: bicia rodaków, pędzenia ich do transportów i na miejsce kaźni, denuncjowania bunkrów. Jego tłumaczenia w tej ostatniej sprawie uznał za zwykłe wykręty. Brak naocznych świadków takich zbrodniczych czynów (informacje o denuncjacjach bunkrów pochodziły z drugiej ręki) uznano za zrozumiały wobec faktu, że ci, którzy mogli to zobaczyć (ofiary z bunkrów), zostali wymordowani. Za udowodnione uznano też katowanie Żydów w obozie w Płaszowie, choć stwierdzono, że nie było tam bunkrów, z których Zimmermann mógłby wyciągać kogoś na rozstrzelanie.

Wprawdzie w uzasadnieniu wyroku wspominano o „perfidnej polityce barbarzyńców hitlerowskich", którzy terrorem zmusili niektórych Żydów do realizacji ich polityki względem rodaków, ale nie znalazł usprawiedliwienia dla skazanego. Stwierdził, że nie może się on tłumaczyć ani przymusową sytuacją, ani działaniem w stanie wyższej konieczności, w którym czasem poświęca się jednostki dla dobra ogółu. Uznał bowiem, że niemiecka polityka eksterminacyjna Żydów, której Zimmermann musiał być świadomy, dotyczyła owego ogółu, a zatem nie było powodu, by poświęcać tu coś dla ratowania czegoś. Tym samym w wyroku stwierdzono, że Zimmermann miał obowiązek, by bezwzględnie stanąć w obronie mordowanych rodaków, „nawet z poświęceniem własnego życia". Czyny przestępcze oskarżonego OD-manna sąd uznał za wypełniające warunki opisane w art. 1 dekretu sierpniowego (nie uwzględniono więc prośby obrony o zmianę kwalifikacji umożliwiającą wydanie kary wysokiego więzienia lub dożywocia) i wydał jedyną przewidzianą w nim karę: wyrok śmierci.

Wydając taki wyrok, sąd argumentował: „Ogólnie jest wiadomym, co zresztą stwierdzają i wyżej wymienieni świadkowie, »odemani« z małymi wyjątkami szli bezwzględnie i bezkrytycznie okupantowi niemieckiemu na rękę w tępieniu ludności żydowskiej. Okupant niemiecki nie krył się bynajmniej ze swojej bezprzykładnie brutalnej polityki w stosunku do Żydów […]. Było perfidią barbarzyńców hitlerowskich, a bolesną tragedią ludności żydowskiej, że do realizowania planu ich wymordowania pierwsi używali pomocy osób z pośród przeznaczonych do wymordowania – wśród drugich znalazły się osoby, które świadome tego, do jakiego celu są używane, tej pomocy udzielały. Do takich osób należy także oskarżony Maks Zimmermann. Przyjąwszy w tych warunkach funkcję tzw. »odemana« oskarżony miał święty i bezwzględny obowiązek iścia w każdym wypadku na rękę prześladowanej ludności do której zresztą rasowo i narodowo należał, choćby nawet z poświęceniem własnego życia".

Po wyroku obrońcy Zimmermanna napisali prośbę o ułaskawienie do prezydenta Bolesława Bieruta. Twierdzili, że główny zarzut postawiony skazanemu (wyciąganie Żydów z bunkrów) nie został udowodniony, a jego inne przestępstwa były skutkiem bezwzględnej polityki hitlerowców, która

eprasa.pl 88714e0595

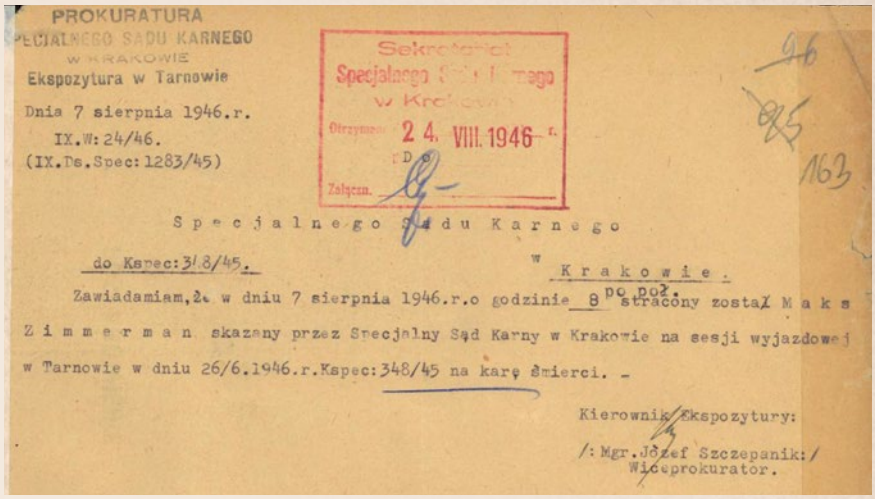
stawiała takich ludzi jak skazany w sytuacji bez wyboru. Utrzymywali, że jest on młodym człowiekiem (miał wówczas 26 lat) i prosili o karę 15 lat więzienia, która umożliwiłaby mu resocjalizację i powrót do społeczeństwa.

Specjalny Sąd Karny w Krakowie, obradujący w tym samym składzie, w którym wcześniej wydał wyrok śmierci, przychylił się do argumentów obrony: „należy uwzględnić okoliczności, wśród jakich dopuścił się przypisanych mu powyższym wyrokiem przestępstw, a mianowicie: okres okupacji, bezwzględność okupanta, jego propaganda i perfidię w używaniu do pomocy w tępieniu narodowości żydowskiej członków tejże narodowości, obiecując mu ewentualne uratowanie sobie życia. Skazany Maks Zimmermann [...] jest przestępcą okolicznościowym, którym stał się nie z własnej winy, lecz z winny innych czynników, na które skazany wpływu nie miał. Tym samym Sąd jest zdania, że skazany w przypadku złagodzenia mu orzeczonej kary i po jej odcierpieniu może stać się jeszcze wartościowym obywatelem".

Bierut nie skorzystał z prawa łaski. 7 sierpnia 1946 r. Maks Zimmermann został stracony w więzieniu w Tarnowie.

WAŻNE PYTANIA

W opisie działań żydowskiej policji w Tarnowie nie ma niczego szczególnie zaskakującego. Kto zajrzy do monumentalnej pracy Raula Hilberga „Zagłada europejskich Żydów" i korzystając z indeksu rzeczowego, odnajdzie informacje o JOD, ustali, że jest tam mowa głównie o narzędziu wykorzystywanym przez Niemców przeciwko Żydom na różnych etapach Holokaustu. Z innych źródeł wiadomo też, że żydowscy policjanci (także w Tarnowie) byli w różnych obszarach okupowanej Polski wykorzystywani do przeprowadzania akcji deportacyjnych, a po nich do wyciągania Żydów z bunkrów oraz kryjówek i wydawania ich w ręce Niemców. Najlepiej udokumentowana jest chyba działalność policji w Bochni – tu tego rodzaju działalność JOD kosztowała życie kilkuset Żydów. Po uwzględnieniu informacji z innych miast i miasteczek widać, że te liczby idą w tysiące.



PROKURATURA
SPECJALNEGO SĄDU KARNEGO
W KRAKOWIE
Ekspozytura w Tarnowie
Dnia 7 sierpnia 1946.r.
IX.W:24/46.
(IX.Ds.Spec:1283/45)

Sekretariat Specjalnego Sądu Karnego w Krakowie
Otrzymano 24. VIII. 1946 r.
Załącz.

96
825
163

Specjalnego Sądu Karnego
do Kspec:318/45. w Krakowie.

Zawiadamiam,że w dniu 7 sierpnia 1946.r.o godzinie 8 po poł. stracony został Maks Zimmerman skazany przez Specjalny Sąd Karny w Krakowie na sesji wyjazdowej w Tarnowie w dniu 26/6.1946.r.Kspec:348/45 na karę śmierci. -

Kierownik Ekspozytury:
/: Mgr.Józef Szczepanik:/
Wiceprokurator.

To sprawy w Polsce i na świecie słabo opisane, czasem po prostu przemilczane. Ostatnio problem ten na różne sposoby był wspominany w publikacjach Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, których autorami lub redaktorami byli profesorowie Barbara Englking i Jan Grabowski. Kłopot w tym, że w miejscach, gdzie w opisach źródłowych jest mowa o tym, że policja żydowska wyciągała z bunkrów żydowskich uciekinierów, JOD jest w ich publikacjach „historycznych" zastępowana przez „policję polską" (czyli „granatową") albo wspomina się o wspólnych działaniach policji polskiej i niemieckiej (choćby dotyczących Tarnowa i Bochni, o których piszę w tym artykule, czy pominiętego w nim Krakowa). Te mało finezyjne zabiegi trudno traktować jako coś poważnego, związanego z badaniami dziejów Holokaustu. A tu przecież realnych punktów wyjścia do debaty jest wiele. Chodzi o historię JOD, a także o opis powojennych rozliczeń sądowych. Nie mówiąc już o rzeczach tak fundamentalnych, jak elementarne poczucie sprawiedliwości.

Po wojnie przed polskimi sądami stanęło kilku byłych żydowskich policjantów, a wyroki w ich sprawach były różne: niektórych uniewinniono, innych skazano na kilkuletnie kary więzienia. Chyba tylko Maks Zimmermann otrzymał karę śmierci.

Szczególnie ta ostatnia sprawa budzi wiele wątpliwości. Co najmniej od pewnego momentu – zdawał on sobie sprawę z tego, jaki los czeka jego rodaków, wiedział, że przyczynia się do ich tragedii. Ale czy sąd miał prawo oczekiwać od niego bezwzględnego heroizmu i odmowy wykonywania rozkazów kosztem własnego życia? To wysoko zawieszona poprzeczka dla człowieka, który starał się w tak strasznych czasach po prostu przeżyć. Czasem wiedza *ex post* rzutowana w przeszłość, jak ta zaprezentowana w zacytowanym wyroku sądu, bardziej zaciemnia skomplikowany obraz wydarzeń, niż cokolwiek wyjaśnia.

Podobne wątpliwości dotyczą tysięcy powojennych procesów na podstawie tzw. dekretu sierpniowego. Tu za prawdziwą albo częściej wyimaginowaną kolaborację z Niemcami i przyczynienie się do śmierci jakiegoś żydowskiego uciekiniera lub czasem kilku osób (często wymuszonych brutalną polityką Niemców) zapadały wyroki wieloletniego więzienia lub kary śmierci. Jak to wszystko się ma do funkcjonowania powojennego systemu sprawiedliwości w Niemczech, który w sposób zorganizowany i systemowy chronił masowych hitlerowskich zbrodniarzy?

Zanim podejmiemy te zupełnie fundamentalne pytania, warto zastanowić się nad losem aresztowanego w 1945 r. w Krakowie i wkrótce potem powieszonego młodego żydowskiego szofera. Bo kim w rzeczywistości był Maks Zimmermann? „Faszystowsko-hitlerowskim zbrodniarzem" czy kolejną ofiarą tej strasznej wojny?

Autor jest pracownikiem IPN.
Poglądy wyrażone w tekście są wyłącznie jego opiniami

eprasa.pl 88714e0595



Wierzymy w tę inicjatywę

O 10-leciu projektu Trójmorza, nowym funduszu inwestycyjnym i... budowaniu mostów z północy na południe mówią w rozmowie z Maciejem Wośko ***Beata Daszyńska-Muzyczka***, była prezes BGK, była ambasador prezydenta RP ds. Inicjatywy Trójmorza, prezes Three Seas Business Council, oraz ***Paweł Nierada***, starszy doradca i współzałożyciel TSBC, były pierwszy wiceprezes BGK

Minęło 10 lat od powołania Trójmorza – wyjątkowego formatu współpracy państw leżących między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem. Chciałbym zatem nieco uporządkować to, co dzieje się wokół tego projektu. Zacznijmy od samego początku – po co w 2015 r. stworzyliśmy Trójmorze?

Beata Daszyńska-Muzyczka: To projekt zainicjowany przez prezydentów Polski i Chorwacji, Andrzeja Dudę i Kolindę Grabar-Kitarović. Wówczas wpisywał się w potrzebę przyspieszenia inwestycji infrastrukturalnych w naszym regionie. Infrastruktura – a mówimy o logistyce, połączeniach drogowych, transporcie – w naszej części Europy w porównaniu z regionem zachodnim wciąż pozostawia wiele do życzenia. I na to najmocniej zwrócono uwagę, jest to przecież podstawa całej gospodarki i przekłada się na tempo rozwoju krajów oraz regionu. Tam, gdzie powstają drogi i kolej, pojawia się biznes, fabryki, zjawiają się inwestorzy.

Dziś mamy w inicjatywie 13 państw, ale jak wielokrotnie pani podkreślała, Trójmorze jest inicjatywą unijną.

B. D-M.: Jest inicjatywą ściśle związaną z Unią Europejską, której uczestnicy są członkami Unii Europejskiej.

Paweł Nierada: To jest cecha Trójmorza, na razie dosyć istotna, fundamentalna i nie spodziewam się istotnych zmian w tym zakresie. Członkostwo w Unii Europejskiej dodaje ten wspólny mianownik wolności przepływu ludzi, towarów, kapitału, a także pewien wspólny kościec, jeżeli chodzi o ramy regulacyjno-prawne. Oczywiście każdy kraj ma własną specyfikę, ale co do zasady poruszamy się w pewnej wspólnej przestrzeni gospodarczo-regulacyjnej i dzięki temu w spójny sposób możemy pochylać się nad współpracą regionalną, która jest esencją całej koncepcji Trójmorza.

Poza tym trzonem 13 państw mamy państwa stowarzyszone, m.in. Ukrainę i Mołdawię. Ukraina jest językiem u wagi, bo Trójmorze to jedna z tych inicjatyw, w których Ukraina może uczestniczyć w drodze do UE.

B.D-M.: Ukraina dołączyła do inicjatywy jako stowarzyszone państwo uczestniczące w 2022 r. na szczycie w Rydze, który odbywał się tuż po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny. Był to pierwszy – także symboliczny – wyraz solidarności wszystkich 12 wtedy państw z Ukrainą.

Wschodnia flanka stała się istotna nie tylko biznesowo.

Przypomnę tylko, że projektowanie korytarza transportowego Via Carpatia nie zaczęło się przecież, kiedy powstało Trójmorze. Natomiast tej trasy nigdy nie było na liście dróg strategicznych UE. Stała się strategiczną osią wpisaną w korytarzach Ten-T (transeuropejska sieć transportowa) dopiero w grudniu 2022 r., po wybuchu wojny na Ukrainie. To pokazuje, że Komisja

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 88714e0595

Europejska nie traktowała korytarzy logistyczno-transportowych na osi północ–południe w naszym regionie jako strategicznych dla Unii, mimo że ta trasa ciągnie się wzdłuż całej wschodniej granicy. To jest widoczny efekt ówczesnych działań Trójmorza.

To nieco uzasadnia moje kolejne pytanie. Czy nie jest tak, że z projektu infrastrukturalnego, inicjatywy bardzo mocno związanej z budową połączeń transportowych, Trójmorze zmienia się w projekt geopolityczny? Porozumieniem państw, które w przyszłości może stać się pewną przeciwwagą dla tzw. starej Unii?

P.N.: Wydaje mi się, że trudno mówić o jakiejś przeciwwadze, bo to nie jest „przeciw". W tym roku Polska dołącza do G20. Idąc tropem stricte matematycznym, rachunkowym, jeżeli zsumujemy PKB wszystkich 13 krajów Trójmorza, lądujemy na poziomie krajów G7. To pokazuje, jak słabo wykorzystujemy potencjał wzajemnych relacji gospodarczych pomiędzy krajami naszego regionu, pomiędzy krajami Trójmorza. Więc to raczej odblokowanie, pobudzenie, wykorzystanie tego potencjału, który istnieje po wschodniej stronie UE. Bo zamiast patrzeć na pobudzanie obrotu gospodarczego właśnie w kierunku północ–południe, na wykorzystanie potencjału 121 mln ludzi, to wszyscy koncentrowali się na tym – jak mówię półżartobliwie – jak zostać dostawcą nr 1273 dla Volkswagena. Podczas gdy angażując podobne siły i środki w regionie, prowadząc wymianę handlową, gospodarczą między krajami, między sąsiadami na osi północ–południe, a nie wschód–zachód, można uzyskać takie same lub znacznie lepsze rezultaty. Przykłady już widać.

B.D-M.: Bardzo dziękuję za to pytanie, bo ono pada bardzo często. Czy ta inicjatywa jest czymś, co powstaje jako konkurencja do starej części UE, do tych 14 państw sprzed rozszerzenia? Najczęściej odpowiadam wtedy pytaniem: czy wyobrażamy sobie silną Unię bez 13 państw Trójmorza?

Zadaję to pytanie dlatego, że to by w pewnym stopniu tłumaczyło dość chłodny stosunek obecnego rządu w Polsce wobec rozwoju inicjatywy Trójmorza.

B.D-M.: Nie wiem, czy tak naprawdę ten stosunek nie zaczyna być coraz cieplejszy...

Cytując za „Pulsem Biznesu", projekt został wreszcie „zaadoptowany" przez to, że podczas ostatniego szczytu w Chorwacji włączono wreszcie Bank Gospodarstwa Krajowego w kolejne ustalenia. Czy po dwóch latach coś drgnęło?

B.D-M.: Tak, to symboliczny wyraz tego, że obecny rząd zaczął jednak w jakiś sposób uczestniczyć w tym formacie.

Pytam o chłodny stosunek obecnego rządu, bo od samego początku uczestniczy pani w projekcie Trójmorza i, co warto zauważyć, mimo zmian politycznych i personalnych pozostała w nim pani, osobiście i zawodowo.

B.D-M.: Razem z panem prezesem Nieradą po prostu głęboko wierzymy w tę inicjatywę. Ona ma szansę, aby bardzo się rozwinąć. Podam dwa parametry. Jako region stanowimy 26 proc. populacji UE, ale razem wytwarzamy niecałe 17 proc. PKB całej Unii. Więc porównując potencjały, luka wciąż wynosi ok. 10 proc. Oczywiście wciąż nie mamy takiego kapitału i takich możliwości jak Niemcy, Francja, Holandia czy inne państwa, które nie niosą bagażu 50 lat komuny, która była absolutnie niszczycielska dla całego regionu. Musieliśmy to nadrobić i dzisiaj jesteśmy obszarem, którym interesują się inwestorzy z wielu części świata. I drugi parametr – przyrosty PKB naszego regionu versus stara Unia są dwa razy wyższe. Zwroty na kapitale są również wyższe o ok. 50 proc. w porównaniu z inwestycjami w starej części UE. Powinniśmy wykorzystać ten moment i tym bardziej zachęcać inwestorów, aby byli tu obecni, aby budować i kumulować ten kapitał, który w przyszłości będzie dla nas pracować. Od 2018 r. w projekty infrastrukturalne Trójmorza państwa zainwestowały ok. 100 mld euro. Lista Inicjatywy Prezydentów obejmuje 143 priorytetowe przedsięwzięcia, z których ponad 40 już jest zakończonych.

Po to powstaje nowy fundusz? Mają państwo doświadczenie w budowie funduszu bazującego na środkach publicznych, czyli Funduszu Trójmorza.

P.N.: Nie można mówić, że to były środki publiczne. Co do zasady Fundusz Trójmorza został stworzony dokładnie tak, jak by był budowany dla inwestorów prywatnych. Jest zarejestrowany w Luksemburgu, zarządzany przez profesjonalne firmy. Jego celem pozostaje realizowanie zysku dla udziałowców. Co więcej, zarządzanie funduszem zostało skonstruowane w taki sposób, aby żaden z udziałowców, a w szczególności żaden z rządów krajów inicjatywy, nie miał możliwości narzucania swoich preferencji, swoich życzeń. Więc z tej perspektywy, owszem, większość udziałowców, inwestorów funduszu to jednostki w ten czy inny sposób państwowe. Natomiast fundusz działa na zasadach stricte komercyjnych i rynkowych. To bardzo istotne, ponieważ takie było główne założenie – miał odgrywać rolę takiego „proof of concept", czyli pokazać w wymiarze praktycznym, że w rejonie Trójmorza da się robić bardzo atrakcyjny biznes.

No dobrze, ale skoro tworzycie nowy fundusz dla Trójmorza, bazujący wyłącznie na prywatnych inwestorach, to pytanie o konkurencję z istniejącym Funduszem Trójmorza.

B.D-M.: Nie ma żadnej konkurencji. W regionie Trójmorza jest przestrzeń nawet dla 20 innych funduszy. Za chwilę pewnie się ujawnią, bo wiem, że prace trwają także w przestrzeni private equity. I są potrzebne. Obyśmy mieli tylko takie zmartwienie, że będzie za dużo funduszy.

Czyli będzie to fundusz dla tych, którzy chcą zainwestować na terenie Trójmorza w infrastrukturę, cyfryzację czy digitalizację i technologie dual use?

B.D-M.: Oraz space industry, czyli przemysł kosmiczny, w którym Trójmorze powinno poszerzać współpracę.

eprasa.pl 88714e0595

Jak czytam, ten pierwszy Fundusz Inwestycyjny Inicjatywy Trójmorza generuje obecnie stopę zwrotu 14–17 proc. Udało się tam uzbierać 1,3 mld dol., choć w zapowiedziach było 3–5 mld dol. Czy ten prywatny, nazwałbym go – niepaństwowy fundusz ma większe szanse na zgromadzenie kapitału?

P.N.: Jak wspominała pani prezes, słyszałem o pracach nad przynajmniej kilkoma – trzema czy czterema – funduszami inwestycyjnymi dla regionu, które w tej chwili trwają. Jeden został ogłoszony podczas szczytu w Dubrowniku przez Europejski Fundusz Inwestycyjny wraz z kilkoma bankami rozwoju, więc jest to pomysł bazujący na podmiotach państwowych. Wiemy też o pracach nad zupełnie prywatnym funduszem, który też ma celować w kilkumiliardowe poziomy kapitału. Jest kilka inicjatyw, które patrzą na fundusze mniejszego rzędu, jeżeli chodzi o sam poziom zaangażowanych kapitałów. Wydaje mi się, że to bardzo interesująca półka, na którą warto teraz zwrócić uwagę. Dlaczego? Jeżeli spojrzymy na praktyczny aspekt potrzeb kapitałowych w regionie, to można powiedzieć, że jeżeli chodzi o sam kapitał na bardzo wczesnym etapie rozwoju firmy, można go spokojnie pozyskać. Mamy sporo tzw. aniołów biznesu czy inkubatorów. Z kolei gdy mamy już duże podmioty – najbardziej widocznym przypadkiem ostatnich miesięcy jest choćby InPost – to na bardzo duże transakcje wchodzimy już w przestrzeń graczy globalnych, którzy chętnie będą się interesować tego typu inwestycjami. Tym, czego regionowi brakuje najbardziej, a czego konsekwencję stanowi ucieczka firm osiągających nieco wyższy poziom rozwoju – choćby do USA – jest brak kapitału dla wzrostu tutaj, na miejscu. Przykładem ElevenLabs, który był założony przez Polaków w Polsce, ale wyemigrował do Kalifornii właśnie dlatego, że potrzebował kapitału na rozwój. Więc teraz autentyczną, największą potrzebą biznesu w regionie jest kapitał, który będzie w stanie angażować się na poziomie 10, 20, 50 mln euro. Gdy pracowaliśmy nad naszym pierwszym funduszem, podstawowym problemem było to, że inwestorzy na rynkach międzynarodowych po prostu nie byli zainteresowani tym regionem z braku wiedzy: „Tak, to jest jakaś wschodząca Europa, więc co tam może być ciekawego?". Ale jeśli uświadomimy sobie, że mamy ponad 120 mln ludności, łączne PKB w regionie na poziomie G7, to naprawdę wchodzimy na inny pułap rozmów inwestycyjnych.

> Jeżeli zsumujemy PKB wszystkich krajów Trójmorza, lądujemy na poziomie krajów G7. To pokazuje, jak słabo wykorzystujemy potencjał wzajemnych relacji gospodarczych pomiędzy krajami naszego regionu

W Dubrowniku podjęto decyzję, że Polska będzie reprezentowała na szczycie G20 cały region Trójmorza. Amerykanie mówią jasno: jeśli mamy współpracować, to nie z pojedynczymi krajami z niewielkim, choć może z wzrastającym potencjałem, a właśnie z takim projektem, jakim jest inicjatywa Trójmorza. Podobnie jest z Japończykami.

B.D-M.: Absolutnie tak. Japonia to fantastyczny partner. Japończycy szukają trwałych, partnerskich relacji na lata. Jeżeli podjęto jakąś decyzję, to się ją – honorowo – po prostu realizuje. Wyrazem tego, jak poważnie Japonia traktuje nasz region, jest podjęta i zrealizowana już decyzja o uruchomieniu w Warszawie oddziału Japan Bank for International Cooperation (JBIC). Jeżeli największy japoński bank rozwoju otwiera siedzibę w danym miejscu, jest to sygnał dla japońskich firm, żeby pojawić się tutaj razem z tym bankiem.

P.N.: Warto podkreślić również to, że w historii JBIC jest to raptem trzecie biuro w Europie. Istnieje biuro w Londynie, w Paryżu i powstaje nowe w Warszawie, dla regionu Trójmorza. Nie w Berlinie, nie we Frankfurcie – teoretycznie stolicy finansowej UE – tylko w Warszawie. To bardzo ważny sygnał.

Był moment niepewności, czy projekt Trójmorza będzie realizowany przez prezydenta Karola Nawrockiego z dotychczasową determinacją. Dziś wiemy, że tak, zwłaszcza po wizycie prezydenta w Dubrowniku.

B.D-M.: Była bardzo silna deklaracja pana prezydenta Nawrockiego podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. Bardzo klarowne, czytelne wystąpienie z ogromną dedykacją dla tej inicjatywy. Tym drugim punktem faktycznie był Dubrownik. Deklaracja, która została podpisana, zwraca uwagę, że przedstawiciel tego regionu po raz pierwszy wchodzi do G20. To niesamowita okazja, by pokazać siłę gospodarczą całego obszaru, nie tylko Polski.

I przekonać świat, że można tutaj inwestować z 17-procentową stopą zwrotu.

P.N.: A może aby potencjalni partnerzy zauważyli, że latami inwestowali na Zachodzie na 8 proc.? Możemy zaproponować inną dynamikę potencjału gospodarczego. Na kolejnych forach widać, jak rośnie to zainteresowanie.

Mówimy, że cały projekt Trójmorza to 10 lat budowania mostów...

B.D-M.: Na Dunaju, na odcinku granicy między Rumunią a Bułgarią, liczącym 458 km, są 2–3 mosty. Natomiast na Odrze, na odcinku granicy wschód–zachód między Polską a Niemcami, liczącym 187 km – i to jest tylko odcinek granicy na Odrze – jest 29 mostów. To jest symboliczna skala potrzeb i możliwości Trójmorza.

eprasa.pl 88714e0595



Rozśpiewane gorzkie dziś

W stulecie prapremiery najsłynniejszego dramatu Gabrieli Zapolskiej Kinga Preis przedstawia się jako 10. ekranowa Aniela Dulska. I 5. bohaterka „Moralności pani Dulskiej" pokazana w Teatrze Telewizji. Swoją postać gra śpiewająco

Fot. Waldemar Kompała/TVP

eprasa.pl 88714e0595

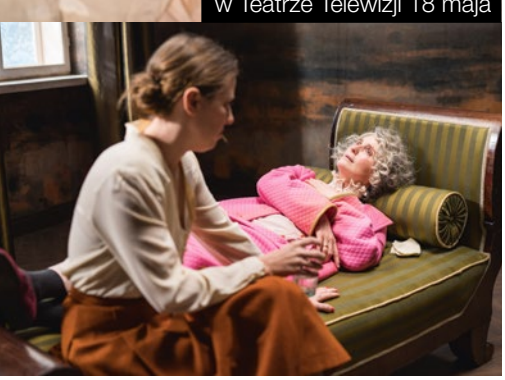


JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Agnieszka Glińska i jej syn Franciszek Przybylski na nowo – dynamicznie i muzycznie – zinterpretowali dramat Gabrieli Zapolskiej, którego prapremiera odbyła się blisko wiek temu. Po raz pierwszy „Moralność pani Dulskiej" została zaprezentowana widzom w Teatrze Miejskim w Krakowie w grudniu 1906 r. Potem stała się jedną z najczęściej pokazywanych polskich sztuk. Nie sposób podać dokładnej liczby wystawień. Łatwiej przywołać ekranowe wcielenia głównej bohaterki. Najnowszą wersję dramatu – z Kingą Preis w głównej roli – zobaczymy 18 maja. Dla aktorki będzie to powrót do Teatru Telewizji po 18 latach.



Najnowszą inscenizację „Moralności pani Dulskiej" zobaczymy w Teatrze Telewizji 18 maja



GALERIA ANIELI

Do tej pory najczęściej wymienianą przez telewidzów panią Dulską była ta wykreowana przez Annę Seniuk w spektaklu Tomasza Zygadły z 1992 r. W pamięć zapadła też Anna Polony w serialu Andrzeja Wajdy „Z biegiem lat, z biegiem dni" (1980), wspominana jest Krystyna Janda z filmu Filipa Bajona „Panie Dulskie" (2015) czy Magdalena Cielecka z wcześniejszego o dwa lata spektaklu telewizyjnym w reżyserii Marcina Wrony.

Dulską grały przed kamerami również Anna Januszewska (transmisja z Teatru Współczesnego w Szczecinie w 2006 r.), Alina Janowska (film „Dulscy" Jana Rybkowskiego z 1975 r.), Wanda Łuczycka (spektakl z 1970 r., reż. Józef Słotwiński), Zofia Jaroszewska (spektakl z 1968 r., reż. Lidia Zamkow), Marta Flantz w pierwszym polskim filmie z dialogiem nagranym na płytach gramofonowych (1930).

WCIĄŻ NA POKAZ

Glińska (która zrealizowała już ponad 30 spektakli telewizyjnych) oraz Przybylski (debiutujący w roli reżysera) przenieśli akcję sztuki do lat 30. XX w., kładąc równocześnie nacisk na współczesną stronę muzyczną oraz rozwiązania realizacyjne (np. z multiplikującą się bohaterką).

Po 10 latach od najbardziej rozśpiewanej i roztańczonej wspólnej realizacji – kinowego musicalu „#WszystkoGra" (2016) – Kinga Preis ponownie dostała od reżyserki szansę na zaprezentowanie talentu wokalnego i tanecznego.

Piosenki (napisane przez Glińską wraz z synem), do których muzykę skomponował Mariusz Obijalski, aktorka opisuje jako „nowoczesne, rytmiczne, momentami wręcz taneczne, ale jednocześnie bardzo gorzkie w treści", bo mówiące o naszej współczesnej kondycji.

Preis podkreśla, że najnowsza „Moralność pani Dulskiej" pokazuje, iż tekst Zapolskiej nadal jest aktualny. Wciąż trafnie opisuje ludzką skłonność do oceniania, pozorów i zamiatania problemów pod dywan. Dziś dulszczyznę można odnaleźć choćby w mediach społecznościowych, gdzie wiele rzeczy robi się na pokaz.

W ZESPOLE I W DUECIE

W najnowszym odczytaniu „Moralności pani Dulskiej" obok Kingi Preis pomogli też Olaf Lubaszenko (jako Dulski), Michał Balicki (Zbyszko), Martyna Byczkowska (Hesia), Weronika Krystek (Mela), Maja Wolska (Hanka), Maria Kania (Juliasiewiczowa), Małgorzata Bela (Lokatorka) oraz Anna Smołowik (Tadrachowa). Autorem zdjęć jest Maciej Edelman, scenografii – Jagna Janicka i Katarzyna Polak, kostiumów – Katarzyna Lewińska, muzyki – Mariusz Obijalski, choreografii – Weronika Pelczyńska, za montaż odpowiadała Beata Barciś. Teksty piosenek stworzyli Agnieszka Glińska i Franciszek Przybylski.

– Współpracujemy od kilkunastu lat w bardzo różny sposób. Franek wielokrotnie przygotowywał projekcje i materiały wizualne do moich spektakli – podkreśla Glińska. – Gdy pojawiła się szansa na wystawienie „Moralności pani Dulskiej", dość szybko skrystalizował się pomysł, by wyreżyserować tę sztukę w duecie. Uznaliśmy, że będziemy się uzupełniać – zarówno jeśli chodzi o odczytanie tekstu Zapolskiej, jak i sposób, w jaki chcemy go opowiedzieć – dodaje.

Reżyserka mówi, że syn – z jego wykształceniem i doświadczeniem filmowym – rozumie język kamery lepiej od niej. Ma też świetne ucho do muzyki. To on w znacznym stopniu przejął inscenizowanie opowieści oraz piosenek, a także tworzenie klipów. Ona skupiła się na pracy z aktorami, relacjach, akcentach, sensach, ale nie był to bardzo sztywny podział.

RÓŻNE ŚWIATY W TEATRZE TELEWIZJI

Telewidzowie mogą kojarzyć Franciszka Przybylskiego z serialu „M jak miłość", gdzie przez sześć lat jako dziecko wcielał się w Łukasza Mostowiaka. Po maturze wybrał studia na wydziale operatorskim łódzkiej filmówki. Współpracował m.in. z Janem Holoubkiem przy realizacji „Wielkiej wody" i „Heweliusza".

Dziś mówi: „Teatr narzuca pewne ograniczenia, film również, tymczasem współczesny Teatr Telewizji pozwala na opowiadanie historii w świeży, odkrywczy i przełamujący utarte schematy sposób. Czy tego chcę, czy nie, jestem ulepiony z teatralnej gliny, a doświadczenie zawodowe mam bardziej filmowe. W Teatrze Telewizji mogłem połączyć te światy".

Fot. Waldemar Kompała/TVP

eprasa.pl 88714e0595



STANISŁAWA CELIŃSKA 1947–2026

Po prostu pani Stasia

Była aktorką autentycznie uwielbianą przez publiczność, potrafiącą wzbudzić śmiech w świetnych rolach komediowych i prawdziwie poruszać w rolach dramatycznych. Zdobyła również ogromną popularność jako wokalistka

Zmarła w ubiegłym tygodniu Stanisława Celińska była rodowitą Warszawianką, pochodziła z rodziny o tradycjach artystycznych. Ojciec, którego utraciła w wieku kilku lat, był pianistą, dyrektorem szkoły muzycznej, którą założył przed wojną w Łowiczu, a matka zawodową skrzypaczką. Wychowała ją jednak babcia, więźniarka Ravensbrück.

Swój talent muzyczny objawiła już w dzieciństwie, a lektura biografii Heleny Modrzejewskiej dość wcześnie pomogła jej podjąć decyzję o karierze teatralnej. Ukończyła Wydział Aktorski warszawskiej PWST, gdzie studiowała pod opieką Ryszardy Hanin. Na scenie występowała niemal 60 lat, stając się jedną z najwybitniejszych, niezwykle charakterystycznych i charyzmatycznych polskich aktorek.

W teatrze debiutowała już w 1968 r. w spektaklu „Wielki człowiek do małych interesów" Fredry i przez kolejne lata jako etatowa aktorka występowała na renomowanych warszawskich scenach, m.in. w Teatrze Współczesnym, Nowym, Dramatycznym, Rozmaitości i Studio, tworząc wiele ciekawych kreacji teatralnych w spektaklach Erwina Axera, Tadeusza Łomnickiego, Zygmunta Hubnera, Jerzego Satanowskiego i Krzysztofa Warlikowskiego. W jej dorobku jest też kilkadziesiąt ról w spektaklach Teatru Telewizji. W 1984 r. wystąpiła z przejmującym monodramem „Księga Hioba", będącym interpretacją biblijnego tekstu w przekładzie Czesława Miłosza. Premiera tego spektaklu odbyła się w dniu pogrzebu ks. Jerzego Popiełuszki.

Jej ekranowym debiutem była rola Niny w głośnym filmie Andrzeja Wajdy „Krajobraz po bitwie" (1970), za który jeszcze jako studentka zebrała świetne recenzje na festiwalu w Cannes. U Wajdy zgrała też Zosię w „Pannach z Wilka", ale prawdziwą popularność przyniosła jej postać Agnieszki Niechcicówny, w którą wcieliła się w „Nocach i dniach" Jerzego Antczaka. Choć widzowie na pewno szczególnie zapamiętali ją z filmów Stanisława Barei, m.in. z roli Lusi, córki cwanego badylarza w „Nie ma róży bez ognia", niezapomnianej nauczycielki Bożeny Lewickiej w „Alternatywy 4" czy pracownicy wydawnictwa, przejętej misją odnalezienia pisarza Oborniaka w „Zmiennikach", a także w filmie „Pieniądze to nie wszystko" i wielu ról drugoplanowych. Grała również w serialach telewizyjnych, takich jak „Złotopolscy", „Samo życie" czy „Siedlisko", była też aktorką dubbingową, której głos słychać m.in. w polskich wersjach obu części „Małej Syrenki", „Autach" czy „Piorunie". Nigdy jednak – jak mówiła – nie przyjmowała propozycji występów w reklamach.

Przede wszystkim przez wiele lat była śpiewającą aktorką, która brała udział w niezliczonych programach muzycznych i koncertach. Nieprzypadkiem w 1969 r. wygrała festiwal w Opolu piosenką „Ptakom podobni", a sukces powtórzyła sześć lat temu piosenką „Niech minie złość", zdobywając laur publiczności w koncercie „Premier". Aktorka wydała również kilka płyt, m.in. znakomitą „Nową Warszawę" (2012), zawierającą interpretacje piosenek o stolicy, w tym brawurowo zaśpiewaną „Warszawę" zespołu T. Love. A za płytę „Malinowa" otrzymała w 2019 r. Fryderyka w kategorii piosenka poetycka. W tej konwencji czuła się bowiem najlepiej. Dlatego w ostatnich latach mniej grała w teatrze, a najczęściej występowała z autorskimi programami, w których za pomocą piosenek i poezji opowiadała o życiu, wcielając się w postać współczesnej kobiety, pokonującej przeciwności losu, m.in. w granym przez lata recitalu „Domofon, czyli śpiewniczek domowy Stanisławy C.", zawierającym piosenki na każdą okazję. Często rzucała wtedy publiczności myśl: „Dziś jest pierwszy dzień reszty mojego życia". Wielu przypadkiem spotykanych ludzi wyznawało jej, że te jej poetyckie, pełne uczuć utwory towarzyszyły im zwłaszcza w trudnych momentach. Ona sama przyznawała, że również jej dawały pocieszenie, gdyż aktorstwo i związane z nim sukcesy potrafiły jej skutecznie zamieszać w głowie.

Gdy miała 36 lat, ujawniło się u niej, do czego otwarcie się przyznawała, uzależnienie od alkoholu. Wyznawała też, że kilka lat później przed ostateczną utratą kontroli nad życiem uratowała ją nieoczekiwana wizyta w kościele. „W moim przypadku to była kwestia cudu i wiary żywej. Bóg i Chrystus uchronili mnie, Hioba – którym się poczułam - przed dalszym ciągiem" – przyznawała. Jak mówiła: „Pan Bóg ukarał mnie za brak wiary, a potem ocalił".

Maciej Walaszczyk

Fot. Wojciech Olszanka/East News





HITY i KITY ZAREMBY

„Pacyfiści” – rzecz o obłudzie

Marek Modzelewski, z zawodu lekarz, to jeden z niewielu dramaturgów próbujących sportretować polskie społeczeństwo. Jego „Pacyfistów” wystawił Teatr Współczesny w Warszawie. Dobre dialogi, ciekawe pytania – ważne, że sztuka unika publicystycznych odpowiedzi. No i jest to aktorski koncert jednego z najlepszych zespołów w Polsce

Naliczyłem 15 wcześniejszych sztuk Modzelewskiego. Największą sławę przyniósł mu „Wstyd”, też wystawiony we Współczesnym, potem przekształcony – z udziałem Modzelewskiego jako scenarzysty – w film „Teściowie”. Dziś jesteśmy po trzech częściach tego cyklu. Opowiadając o dwóch małżeństwach żeniących swoje pociechy, autor okazał się tyleż dowcipnym, co złośliwym obserwatorem obyczajów i charakterów. Chwilami niepoprawnym politycznie i zaskakująco symetrystycznym, kiedy zderzał wielkomiejską inteligencję z prowincjonalnym ludem.

Takie sztuki jak „Koronacja”, „Kto chce być Żydem” czy „Inteligenci” były dobrze napisane. Nie zawsze się zgadzałem, mam nawet wrażenie, że w wielu sprawach stoimy po dwóch stronach barykady. Ale za każdym razem było o czym dyskutować. Tak jest również w przypadku „Pacyfistów”. To opowieść o dwóch zaprzyjaźnionych małżeństwach, które na dodatek łączy przyjaźń ich nastoletnich synów. Kiedy Julian i Justyna postanawiają urządzić swojemu Maksowi urodziny na strzelnicy, Aldona i Mariusz składają im wizytę, aby oznajmić, że oni ze swoim Jaśkiem nie przyjadą, bo są wrogami przemocy i broni.

Zasadniczy dylemat pokazany na aktualnym tle, łącznie z kontekstem wojny za polską granicą, to tylko punkt wyjścia. Ich relacje zaczynają się gmatwać w kolejnych wybuchach emocji. Okazuje się, że problemów jest więcej – choćby kłopot jednego z dzieci z tożsamością płciową. Modzelewski bardziej pyta, niż rozstrzyga. Wywołuje wrażenie trzymania ręki na różnych pulsach. Szczególnie zdaje się go interesować kolizja zasad i postępowania liberalnych inteligentów. Opowiada o tym dowcipnie, lecz trudno się uwolnić od wrażenia, że także z goryczą.

Czy wszystko mi się podobało? Pytałem sam siebie, czy polska klasa średnia aż tak przeklina. Modzelewski z upodobaniem podrzucał zapalniki kolejnych konfliktów. Czy nie za wiele grzybów w barszczu? Ale od pierwszego do ostatniego zdania słuchaliśmy z zapartym tchem.

Wyreżyserował to aktor Jacek Braciak, który postawił na komunikatywność, prostotę fabuły i talenty kolegów. Wcześniej wraz z Agnieszką Suchorą i Mariuszem Jakusem, obecnymi w tym przedstawieniu, sam wystąpił w granym do dziś „Wstydzie”. Który reżyserował – tu obecny jako aktor – Wojciech Malajkat, dyrektor Współczesnego. A ponieważ tym razem to koprodukcja z krakowskim Teatrem Stu, Jakusa ma dublować dyrektor tej sceny, Krzysztof Pluskota. Z kolei sam Braciak będzie zmiennikiem Malajkata.

Aktorzy sprawdzają się doskonale. Trochę grając przeciw swoim najczęstszym emploi. Znakomita Monika Krzywkowska często bywa damą, kobietą perfekcyjną. Tu jako Justyna jest zdezorientowaną szarą myszką, potem osobą pogubioną i nieszczęśliwą. Z kolei Mariusz Jakus najczęściej bywa twardzielem, zakapiorem. Tu jako Mariusz, schowany za okularkami inteligenta, ma chyba najwięcej kłopotów z ogarnięciem coraz bardziej wzburzonej rzeczywistości.

Bardziej typowi dla siebie – co nie znaczy, że mniej sugestywni – są Agnieszka Suchora (Aldona) i Wojciech Malajkat (Julian). Każde z nich ośmiesza swoich bohaterów, ale w świetnym stylu, nie zapominając o unoszącej się nad tekstem melancholii. I o tym, że tekst ma być komunikatywny, każdy szczegół dopracowany. O czym zaświadczam – a siedziałem w 12. rzędzie.

Piotr Zaremba



„Wesele” – wciąż o Polakach

TVP1 przypomniała inscenizację „Wesela” w reżyserii Wawrzyńca Kostrzewskiego z 2018 r. Podważyła w ten sposób propagandowe twierdzenie, że Teatr Telewizji z czasów PiS to czarna dziura

Stanisław Wyspiański pokazał konkretne zdarzenie: wesele z 1900 r., kiedy w podkrakowskiej wsi spotkali się – bynajmniej nie bezkonfliktowo – polscy chłopi z polskimi inteligentami. Zarazem z powodu wątków fantastycznych (duchy, Chochoł) i symbolicznego zakończenia trudno uznać ten dramat za realistyczny. Dziś mnożą się inscenizacyjne igraszki związane z przenoszeniem „Wesela” w czasy współczesne. Poniekąd postąpił tak również Kostrzewski. A jednak choć jego wersja dzieje się niemal poza czasem, nie miałem poczucia dekonstruowania treści zawartych w poetyckim tekście, w tym pytań ważnych dla Polaków.

Kiedy Andrzej Wajda kręcił filmową wersję „Wesela” w 1973 r., nie próbował niczego przenosić. To się działo w czasach zaborów. W stabilnej, a przecież wpisanej w kolejną niewolę epoce Gierka, film był pytaniem, czy Polacy są zdolni się uwolnić. Wajda grał z ówczesną władzą, a przecież pytał właśnie o to.

Ciężej ustalić, o co pytają współcześni inscenizatorzy, w tym Kostrzewski. Jego wersja na pewno próbuje opowiadać o dzisiejszej, społecznie podzielonej Polsce. Trudniej przekładać poszczególne sceny na konkretne sytuacje. Oto Dziadowi ukazuje się Szela (w obu rolach znakomity Adam Ferency). Od jakiej przelanej krwi próbuje się uwolnić? Reżyser wspominał coś o czasach powojennych. Ale dzisiejsi chłopi nie są spadkobiercami antykomunistycznych partyzantów, a inteligenci – wprowadzających nową wiarę komunistów. Mamy tylko poczucie jakichś win i jakichś obrachunków. W scenie konfrontacji Dziennikarza (Tomasz Schuchardt) ze Stańczykiem (Mariusz Bonaszewski) dostajemy nawet dyskurs na schodach smoleńskich.

Można by narzekać na brak precyzji tych aluzji. Tyle że Kostrzewski jest mistrzem do tego stopnia, że opowiada nam zarazem potoczystą, zajmującą historię, którą możemy czytać literalnie – niemal tak, jak chciał Wyspiański. W roztańczonej chacie według scenografii Katarzyny Nesteruk, przy sugestywnej muzyce Piotra Łabonarskiego, goście tego wesela długo przed finałem zatracają się w szaleńczych korowodach.

A ileż mamy tu wspaniałego aktorstwa. Mnie szczególnie przekonali Michał Czernecki (niezwykły Czepiec), Marcin Stępniak (Jasiek) i przedziwna pastelowa Rachela Olgi Sarzyńskiej. Ale w pamięci utkwiły niemal epizody Martyny Byczkowskiej (Zosia), Karoliny Charkiewicz (Haneczka) czy Agaty Różyckiej (Maryna). A piękna scena zmagań Marysi (Małgorzata Kocik) z Widmem (Przemysław Stippa)? Trafiamy nawet na ponoć bojkotującego tamtą telewizję Daniela Olbrychskiego (Wernyhora). Czasy rządów Ewy Millies-Lacroix (2016–2020) to epoka świetności Teatru Telewizji. Co się stało później? To temat na odrębną opowieść.

Fot. TVP

PODZWONNE DLA TRADYCYJNYCH MEDIÓW



David Frankel nakręcił film „Diabeł ubiera się u Prady” równo 20 lat po pierwszym filmie o tym tytule. Tamten był o okrucieństwie, a także zwodniczym uroku medialnej korporacji. Ten dotyka – i to nawet zręcznie – procesów cywilizacyjnych niszczących dziennikarstwo, a szerzej – spłaszczających popkulturę.

Przypomnijmy część pierwszą. Andrea, dziewczyna z ambicjami, choć bez gustu w kwestii ubrań, najmowała się jako asystentka w modowym magazynie „Runaway”. Popadając w niewolę Mirandy Priestley, pozbawionej empatii pracoholiczki, szefowej pisma. Mieliśmy wariacje na temat eksploatacji zwykłej osoby przez korporacyjnego demona. Granego na dokładkę przez Meryl Streep, kreującą postać despotki absolutnej, mówiącej z dziwną afektacją. Andrea, grana przez Annę Hathaway, w końcu się od niej uwalnia. Ale wrażenie pozostaje.

Część druga dzieje się 20 lat później. Mamy świat, w którym tradycyjne media umierają. Andrea (nadal Hathaway) była dobrą dziennikarką, a jednak została zwolniona, bo na dziennikarstwie trzeba oszczędzać. Na skutek splotu okoliczności wraca do „Runaway” – jako szefowa działu opinii. Miranda przyjmuje ją z tradycyjnym brakiem empatii. A kiedy nasza bohaterka zaczyna wywalczać tam pozycję, dochodzi do zmiany właściciela. Pojawia się pomysł definitywnego odejścia od tradycji magazynu. Chyba że podejmie się walkę.

W filmie dostajemy sporo prawdziwych uwag na temat przemian cywilizacyjnych, które nie czynią nas lepszymi i mądrzejszymi, ale są trochę jak pogoda – ciężko się z nimi spierać. Wrażenie inteligentnej przypowiastki jak zwykle w przypadku tej konwencji trochę psuje finał. Bo musi być jakaś namiastka happy endu. Dlaczego w jednej korporacji miałoby się ułożyć lepiej, sensowniej niż w innych? No może dlatego, że mając Meryl Streep, trzeba dać jej szansę na choć częściową rehabilitację. W tle Emily Blunt, Stanley Tucci, Kenneth Branagh, a nawet Lady Gaga...



Zielony gigant z głębin

Jest samotnym łowcą, nastawiającym się na błyskawiczne uderzenie z bardzo bliska. Kształt płetw i ich przesunięcie ku tyłowi nadają mu postać strzały czekającej w cieniu grążeli na zwolnienie cięciwy



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dużą część długości ciała tej drapieżnej ryby zajmuje masywna głowa z wielką, szeroko otwierającą się paszczą. Żuchwa jest uzbrojona w długie, okazałe, a przy tym ostre jak igły kły, które przy nieostrożnym dotknięciu ranią do krwi. Na górnym podniebieniu natomiast znajduje się kilka bardzo gęstych rzędów małych, skierowanych do tyłu ząbków. Tarka z zębów znajduje się również na języku, a dodatkowo głowę chronią kolczaste wyrostki na pokrywach skrzelowych.

To szczupak (*Esox lucius*), drapieżnik żyjący również w polskich wodach. Niegdyś znacznie częstszy, niemal powszechny w rzekach, jeziorach, a nawet małych zbiornikach. Od lat liczebność szczupaka wyraźnie spada, m.in. na skutek zaniku płytkich, wiosennych rozlewisk czy zalanych łąk, na których wiosną odbywa się tarło tych ryb. Jest to strata dla systemu przyrodniczego – szczupak to stworzenie fascynujące, fenomen przyrody. Dodatkowo jako drapieżnik ze szczytu piramidy pokarmowej odgrywa kluczową rolę w utrzymywaniu populacji innych gatunków ryb w dobrej kondycji.

W wodach pozbawionych drapieżników – w tym szczupaków, których młode osobniki polują na narybek, a największe na nawet duże okazy płoci, linów i leszczy, nie gardzą też innymi drapieżnikami, w tym przedstawicielami własnego gatunku – ryby spokojnego żeru często osiągają nadmierne zagęszczenie. Przekłada się to na ich karłowacenie, a przede wszystkim na choroby, w tym pasożytnicze, rozwijające się w przegęszczonych populacjach wyjątkowo szybko.

ZIELONY I PIĘKNY

Szczupak jest piękną rybą. Na bokach ciała widnieje marmurkowy wzór z jaśniejszymi plamami na zielonkawym, czasem wręcz intensywnie zielonym tle. Głowa, jak wspomniano, jest wielka, masywna, znamionująca drapieżnika. Płetwy – również spore – są ciemne, z odcieniem czerwonawym.

Można sobie wyobrazić, jaki widok przedstawia wielki szczupak prześlizgujący się pośród falujących łagodnie traw na płytkiej, prześwietlonej światłem słonecznym, zalanej wiosennym przyborem łące. Albo jak czyha na przepływającą zdobycz, zawisając w toni wodnej na skraju pasa trzcin lub pałki wodnej, utrzymując się w miejscu niedostrzegalnymi ruchami płetw. Szczupak poluje bowiem z zasadzki. Nie ściga stad uklei jak boleń, ogłuszając drobnicę uderzeniem płetwy ogonowej, ani nie osacza stadem wzdręg, zwyczajem

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 88714e0595

pasiastych okoni. Jest samotnym łowcą, nastawiającym się na błyskawiczne uderzenie z bardzo bliska. Kształt płetw i ich przesunięcie ku tyłowi nadają mu postać strzały czekającej w cieniu grążeli na zwolnienie cięciwy.

To właśnie płytkie, przybrzeżne, litoralne partie wód stanowią optymalne środowisko dla szczupaka, również dla osobników o wielkich rozmiarach. Dopiero zimą – podobnie jak większość ryb – szczupaki opuszczają się na większe głębokości, zapewniające spokój i komfortowe przetrwanie zmiennocieplnym stworzeniom. Zarośnięte płytkie wody pozwalają nawet dużemu szczupakowi na ukrycie się. Jak pozornie rzucające się w oczy czarne pasy na żółtej sierści tygrysa czynią go niewidzialnym w ruchu światła i cienia w dżungli, tak samo wzór na ciele szczupaka maskuje go w wodnej roślinności.

NAJWIĘKSZY

Maksymalne rozmiary szczupaków od lat są tematem dyskusji. Nawet oficjalne źródła różnią się pomiędzy sobą i podają znaczną rozpiętość największej długości i masy ciała. Można znaleźć informacje o tym, że gigantyczne szczupaki osiągają, a nawet przekraczają 1,5 m długości i przeszło 30 kg masy. Udokumentowane i uznane spośród największych szczupaków (nie należy ich mylić ze szczupakiem amerykańskim *Esox masquinongy* zwanym muskie, który faktycznie dorasta do 30 kg z okładem) są jednak nieco mniejsze, lecz i tak robią wrażenie: szczupak z Niemiec ważył 25 kg, a największy drapieżnik z Polski – prawie 21 kg (kilka lat temu podano w wątpliwość szczupaka z rzeki Raba, poprzedniego rekordzisty, którego masa miała przekraczać 24 kg).

3 maja br. w Jeziorze Solińskim, bieszczadzkim zbiorniku zaporowym na Sanie, złowiono szczupaka, którego określono jako największego spośród szczupaków polskich. Miał 1,3 m długości, a więc o 3 cm więcej niż wspomniany szczupak z polskich wód. Był więc najdłuższy. Czy był także cięższy, nie wiemy – a trzeba mieć świadomość, że masa poszczególnych osobników bardzo się różni i niejednokrotnie ryba krótsza może mieć dużo większą masę ze względu na kondycję, porę roku, płeć i inne. Niemniej szczupak z Soliny to jeden z największych – jeżeli nie największy – szczupak w Polsce i jeden z największych drapieżników wodnych naszego kraju.

CZY WARTO ŁOWIĆ RYBY?

W przypadku takich doniesień zawsze zadaje się oczywiste pytanie: czy powinno się łowić ryby?

Z jednej strony to odwieczna forma aktywności ludzkiej, mająca na celu zdobycie pożywienia. Z drugiej – dochodzi do głosu naturalny i wrodzony odruch, będący częścią istoty człowieka, aby nie odbierać życia. A nawet więcej – nie szkodzić, nie ingerować bez potrzeby, inaczej mówiąc – nie wyrywać ryb z wody, w której żyją i mają swoje miejsce.

Człowiek łowił ryby niemal od zarania swoich dziejów – niemal, bo w rajskim ogrodzie Edenu nikt nikogo ani niczego nie łowił, ciesząc się wzajemnie swoją obecnością i podziwiając piękno stworzenia.

Z innej perspektywy – skoro ludzie na własne życzenie opuścili Eden, muszą pozyskiwać pożywienie i jeśli czegoś nie zdobędą własnoręcznie, muszą kupić to, co zdobył/złowił ktoś inny. Dylemat jest trudny do rozstrzygnięcia. Wszystko można jednak robić na wiele sposobów, gorzej i lepiej. Także łowić ryby.

Dla niektórych rozwiązaniem jest łowienie i wypuszczanie. Wiem, że często stoją za tym dobre intencje i poczucie, że nie szkodzi się przyrodzie, prawda jest jednak inna. Łowienie dla samego łowienia prowadzi do kaleczenia ryb, stresowania ich, narażania na uszkodzenie – zwłaszcza jeżeli przed wypuszczeniem rybę wyciągnie się z wody, położy na brzegu, zmierzy, zrobi zdjęcie itp. Nawet przy najdelikatniejszym obchodzeniu się z rybą, stosowaniu haczyków bez zadziorów czy niewyciąganiu jej z wody zawsze niesie to ze sobą ryzyko, że stworzenie złapane dla przyjemności nie przeżyje.

Co więc robić? Abstrahując od wspomnianego powyżej dylematu, czy w ogóle łowić, zdecydowanie większe uzasadnienie ma łowienie i zabieranie złowionych ryb jako pożywienia niż łowienie z zamiarem wypuszczenia, zwłaszcza na dużą skalę. Oczywiście jeżeli łowi się ryby i zabiera, aby je zjeść, trzeba przestrzegać dozwolonych metod, wymiarów i okresów ochronnych, a także limitów ilościowych. Więc jeżeli ryba ma być złapana, niech będzie chociaż pożywieniem, jak w przyrodzie.

Nie wydaje mi się również słuszne polowanie na wyjątkowo wielkie okazy. Są jak pomniki przyrody – powinny zostać w wodzie, nie niepokojone, nieranione, nienarażane na choroby (na skórze ryby znajduje się śluz chroniący przez bakteriami i grzybami, łatwo go zetrzeć, przyczyniając się do infekcji). Jeżeli komuś podczas łowienia przypadkiem trafiłby się taki matuzalem, byłbym zdecydowanie za wypuszczeniem go – bez wyciągania z wody, w jak najmniej inwazyjny sposób. Ale nie jestem za celowym polowaniem na jak największą rybę. Większą satysfakcję daje świadomość, że dzięki ochronie wód gdzieś w toni żyje taki olbrzym.

Jeżeli jednak ktoś chciałby łowić dużo, w dodatku jak największe sztuki, jest na to sposób. Wiele gatunków ryb, przeniesionych przypadkiem lub wsiedlonych przez człowieka celowo, stało się w różnych częściach świata gatunkami inwazyjnymi, powodującymi istotne szkody, a nawet niekiedy całkowite wytępienie gatunków miejscowych.

Tak jest ze szczupakiem, a zwłaszcza sumem, w Hiszpanii, gdzie te drapieżne ryby, niebędące rodzimymi dla Półwyspu Iberyjskiego, korzystając z tego, że woda długo jest ciepła i umożliwia aktywność, rosną szybko, pożerając wszystko, co zmieści się w paszczy. Podobnie jest z sandaczem, w Polsce cenionym gatunkiem okoniowatego drapieżnika, dorastającego do kilkunastu kilogramów masy ciała, który wypuszczony onegdaj w Wielkiej Brytanii, zaczął dziesiątkować tamtejszy rodzimy rybostan do tego stopnia, że nie tylko można go łowić bez limitów długości i bez okresów ochronnych, lecz także zgodnie z prawem nie wolno nawet wpuścić złowionego sandacza z powrotem do wody (prowadzone są zresztą specjalne odłowy, mające na celu wyeliminowanie sandaczy z tamtejszych wód).

eprasa.pl 88714e0595



LILLA WYJADŁOWSKA*

Niestraszna mi żadna droga

Z urodzenia jestem Kielczanką. Do Sosnowca, w którym mieszkam od lat, przyjechałam z rodzicami jako małe dziecko. Miałam cztery lata. Kielce odwiedzaliśmy często, bo tam mieszka większość rodziny. Kocham Kielce. I Góry Świętokrzyskie. Ale kocham również Sosnowiec. Tam też jest pięknie.

Oba te miejsca bardzo się zmieniły. Kielce były kiedyś jak duża wieś, a w tej chwili to tętniące życiem, nowoczesne miasto. Natomiast Sosnowiec przez długi czas był jedynie punktem na mapie, przystankiem dla kolei warszawskiej. Zaczął się zmieniać za Gierka. W tej chwili bardzo dużo robi dla miasta nasz prezydent, Arkadiusz Chęciński. Sosnowiec rozrósł się, wchłonął okoliczne miejscowości – dziś to jego dzielnice: Zagórze, Klimontów, Milowice, Sielec, Pogoń, Porąbka, Środula, Ostra Górka, Modrzejów.

Widzę ten imponujący rozwój, a jednocześnie cieszy mnie, że ocalały tradycyjne dla regionu budynki. Kiedy byłam dzieckiem, niszczały, czarne od węglowego dymu, a teraz przyciągają wzrok czerwonymi okiennicami. Lubię i doceniam zabytki. Cieszę się, gdy ożywają, jak pałac Schoena, żal, gdy popadają w ruinę, jak budynki dawnej przędzalni Henryka Dietla/Politex czy Zakładów Dziewiarskich „Wanda". To była i wciąż jest nasza historia.

Sosnowiec towarzyszy mi w całym dorosłym życiu. Z małą przerwą. Przez osiem lat mieszkałam w województwie opolskim. Wyjechałam z mężem, jak to się mówi, za chlebem. Co roku byliśmy w innym mieście. Zaczęliśmy od Chrząstowic, potem były Suchy Bór, Malinka, Ujazd Śląski, Strzelce Opolskie i w końcu Kędzierzyn-Koźle. Z tego ostatniego miasta pochodzi mój zięć i pewnie dlatego mam do tej miejscowości szczególną słabość, chociaż jest trochę zapuszczona.

Natomiast w Sosnowcu dosłownie słychać, jak tętni życie. Jest tu wiele do zobaczenia. Choćby Egzotarium, po brzegi wypełnione egzotyczną roślinnością, a także akwariami czy terrariami z różnymi gatunkami płazów i gadów. Coś fascynującego.

Przez 13 lat mieszkałam przy katedrze, która teraz urosła do rangi bazyliki. To naprawdę przecudowne miejsce. Mam też dużo dobrych wspomnień związanych z kościołem św. Tomasza, w którym byłam u komunii. W Sosnowcu jest naprawdę wiele do pokazania. Przydałoby się kilka dni, ale kiedy przyjechali moi przyjaciele, mimo starań zdążyliśmy odwiedzić tylko część.

Także podróżuję. Ostatnio byłam prawie trzy tygodnie w Szklarskiej Porębie, u przyjaciółki. Coś wspaniałego. Karkonosze, Śnieżka, Śnieżne Kotły, Trzy Świnki... Wróciłam stamtąd podekscytowana i naładowana pozytywną energią.

Lubię być w drodze. Przez 10 lat byłam zawodowym kierowcą. Jeździłam 3,5-tonówkami. Dotarłam na Sycylię i Majorkę, a także do Finlandii, nie mówiąc o Litwie, Łotwie, Estonii, całej Szwecji, Danii, Irlandii... Anglię znam chyba lepiej niż Polskę, bo przez 2,5 roku jeździłam tam praktycznie non stop.

Gdybym teraz mogła wyruszyć gdzieś tylko dla własnej przyjemności, to pewnie wybrałabym Szkocję – dla jej przepięknych widoków (ale pojechałabym też np. do Stonehenge). Miałam przyjemność objechać całe Loch Ness. To, co tam widziałam... było po prostu czymś cudownym.

Niestraszna mi żadna droga. I chociaż cierpię na chorobę lokomocyjną, pływałam statkami, promami i jeździłam tunelem pod kanałem La Manche.

Nie umiem powiedzieć, czego się boję. W czasie „Sanatorium miłości" mieliśmy przyjemność latać helikopterem. Wsiadałam do takiej maszyny pierwszy raz w życiu, ale powieka nawet mi nie drgnęła.

Jestem otwarta. Lubię nowe wyzwania. I nowe trasy. Teraz chętnie pojechałabym do Aten, bo tam jeszcze nie byłam.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

**Królowa ósmej edycji programu „Sanatorium miłości"*

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 88714e0595



SŁODKO-SŁONY

Bałagan z jajka

ANNA MONICKA

Jajecznica to dla mnie śniadanie doskonałe. Oczywiście nie każda – najbardziej smakuje mi smażona na wolnym ogniu z masłem i szczypiorkiem, nie za mocno ścięta, żeby nie przypominała podeszwy. Kompletnie nie wchodziła mi przygotowywana przez wujka, który pochodził z Poznania. Tam robiono tzw. klepok – do jajek dodawano pszenną mąkę, dokładnie rozbełtaną z mlekiem. Wuj mawiał, że to prawdziwe chłopskie śniadanie, po którym można iść w pole na cały dzień, nawet jeśli w potrawie nie ma plasterków podsmażonej kiełbasy. Pewnie miał rację, ale klepok za bardzo przypominał mi bezkształtną breję, a mąka z mlekiem tworzyła rodzaj klajstra, po którym mój żołądek cierpiał przez kilka dni.

Moje podejście do jajek na śniadanie zmieniło się, gdy pierwszy raz skosztowałam wywodzącej się z Afryki Północnej szakszuki – gotowane w gęstym, pachnącym sosie z pomidorów, czerwonej papryki i cebuli, usmażone na oliwie lub maśle klarowanym, doprawione czosnkiem, pieprzem, gałką muszkatołową i kuminem, posypane pietruszką lub kolendrą smakują wybornie. Są lekkie i bardzo pożywne, przypominają nasze sadzone: białko powinno być ścięte, żółtko tylko częściowo. Robiłam je wiele razy, eksperymentowałam z dodatkami, dosypywałam pory, cukinię czy pokrojone w talarki oliwki. Smak zawsze mnie zachwycał, niezależnie od tego, czy jadłam ją zimą, czy latem, na śniadanie czy na obiad. Danie, którego nazwa oznacza bałagan, jest dla mnie kwintesencją śniadaniowej harmonii smaków. Co roku czekam, aż pojawią się świeże i pachnące pomidory, żeby otworzyć sezon, chociaż na takich z puszki też jest niezła.

Strzałem w dziesiątkę okazała się także jajecznica turecka, czyli menemen. To dopiero jest pełen smaku i zapachu bałagan. O ile w szakszuce jajka są sadzone w gęstym sosie, o tyle tu trzeba je w nim rozmieszać jak w naszej jajecznicy i doprawić dodatkowo serem feta lub twarogiem. Paprykę, tym razem zieloną, podsmażamy na oliwie, dodajemy pokrojone pomidory bez skóry, dusimy, aż sos odparuje, wbijamy jajka i lekko je bełtamy. Doprawiamy oregano, pieprzem i solą, gotujemy 2 min i możemy zajadać, posypane natką.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Amadyna i koszenie trawy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Amadyna zebrowata (*Taeniopygia guttata*), nazywana też zeberką, jest niewielkim ptakiem z rzędu wróblowych, rodziny astryldowatych, rodzimym dla Małych Wysp Sundajskich i Australii.

Zeberka waży zaledwie 12 g, a przy tym, zamieszkując pustynne rejony, potrzebuje dziennie 5 g wody. Mały ptak radzi sobie z tym wyzwaniem na różne sposoby. Badania wykazały, że potrafi uzyskiwać wodę, spalając zapasy tłuszczu. Oczywiście w gorącym i suchym klimacie takie przystosowanie rozwiązuje problem tylko chwilowo i w końcu – raczej prędzej niż później – zeberki muszą znaleźć wodę.

Jako ptaki kolorowe, charakterystyczne, intensywnie odzywające się i nawołujące, są stosunkowo łatwe do zaobserwowania. Stadka zeberek to informacja, że niedaleko jest woda. I jeżeli będzie się je obserwować, doprowadzą do niej. Ta wiedza jest wykorzystywana przez inne zwierzęta, a także przez ludzi, którzy korzystają z pomocy zeberek pełniących samarytańską posługę w rejonach, w których woda jest warunkiem przeżycia.

A skoro mowa o wodzie – i w ogóle szerszym podejściu do ochrony ekosystemu – ostatnio zwróciłem uwagę na inną kwestię. Dotyczy działań lokalnych, prowadzonych przez wielu ludzi we własnym zakresie – nie zapominajmy jednak, że suma działań lokalnych, ważnych w swoim zakresie, przekłada się również na efekt globalny.

Chodzi o koszenie trawników. Zbyt intensywne.

Utrzymywanie króciutkiej trawy powoduje utratę wody. Zwiększa parowanie, erozję, zapylenie, często koszona trawa wymaga częstszego podlewania. Nie mówiąc już o tym, że staje się mało różnorodną wykładziną, nieatrakcyjną dla owadów zapylających czy ubogą w inne gatunki roślin kwitnących.

Ideałem – z punktu widzenia przyrodniczego – jest koszenie raz w roku, najlepiej późnym latem. Wtedy rośliny mają czas, by zakwitnąć i wydać nasiona, gąsienice motyli mogą się przeobrazić, a ptaki wyprowadzić lęgi (to na większych powierzchniach łąkowych, przydomowy trawnik jest także ważnym źródłem pożywienia dla ziarnojadów – jeżeli trawom da się szansę na wytworzenie i dojrzenie kłosów).

A jeżeli dla kogoś to zbyt rzadko, polecam chociaż model słynącej z trawników Wielkiej Brytanii, gdzie trawy tradycyjnie nie kosi się do końca maja.

eprasa.pl 88714e0595

3 MIŁOŚCI

Lalki bez oczu



ROBERT TEKIELI

Zazwyczaj skupiamy się na zewnętrznej, najbardziej spektakularnej warstwie rzeczywistości – tu trwa geostrategiczna wojna. Pozycja dotychczasowego globalnego hegemona została zakwestionowana przez Chiny. Czytam właśnie, że starcie wokół cieśniny Ormuz jest wojną o obronę dolara jako światowej waluty rezerwowej. USA uderzają w kraje, takie jak Wenezuela czy Iran, które rozliczały się z Chinami za pomocą juana. Jednak obok geostrategicznej rozgrywki o to, która cywilizacja – Zachód czy cywilizacja chińska – będzie światowym dominatorem, dla Polaków równie ważne jest starcie wewnątrz naszej cywilizacji. A idzie o samo jej przetrwanie. Ta wojna ma dwa główne fronty. Bardziej widoczny, ideologiczny oraz duchowy.

I tak ideologiczna, rewolucyjna lewica postępem nazywa dążenie do zniesienia małżeństwa, unieważnienia podziału na dwie płcie, chce też zniesienia granic. Jednocześnie masowo importuje islam, który broni małżeństwa, jasnych ról płciowych i religijnej izolacji. To nie jest sprzeczność. To narzędzie. Lewica nienawidzi naszej cywilizacji, a cywilizacji wywiedzionej z objawienia boi się bardziej niż konsekwencji zwycięstwa islamu.

Starcie ideologiczne jest opisywane przez bardzo wielu myślicieli i publicystów. Inaczej jest ze starciem duchowym.

Odważę się na wygłoszenie tezy, że odkąd chrześcijaństwo pokonało dominującą przez pierwsze dwa stulecia po Chrystusie gnozę, nie miało tak potężnego przeciwnika, jakim jest niemająca jeszcze nazwy współczesna wiązka herezji, konkurująca ze światopoglądem wywiedzionym z nauki i wiary.

Mało kto zna się na tym zagadnieniu i o nim pisze, co kilka tygodni będę zatem uzupełniał tę lukę. Na początek zobaczmy, jak wiedza tajemna – herezja, której głosiciele twierdzą, że świat duchowy da się poznać za pomocą narzędzi nauki – infiltruje system edukacji.

Odważę się na wygłoszenie tezy, że odkąd chrześcijaństwo pokonało dominującą przez pierwsze dwa stulecia po Chrystusie gnozę, nie miało tak potężnego przeciwnika, jakim jest niemająca jeszcze nazwy współczesna wiązka herezji, konkurująca ze światopoglądem wywiedzionym z nauki i wiary

„Moje dziecko, jeśli lekko uderzy się w stół ołówkiem, natychmiast wstaje, kołysze się, podnosi ręce do góry i opowiada, że teraz jest księżycem lub gwiazdą. Dzieci oddalają się od nas i zamykają się w sobie. Ukochany dotychczas braciszek stał się znienawidzony. Pojawiły się nawet groźby, że zostanie zabity. I to mówi kilkuletnie dziecko poddane wychowaniu steinerowskiemu" – opowiadała matka dziecka uczęszczającego do przedszkola na zachodzie Polski, w którym zatwierdzono program wychowawczy bazujący na elementach pedagogiki steinerowskiej. Na całym świecie jest ok. 900 szkół tego typu, w Polsce – kilkanaście.

Pedagogika steinerowska, zwana też waldorfską, bazuje na całościowej wizji świata, wynikającej z antropozofii Rudolfa Steinera, niemieckiego gnostyka i okultysty, żyjącego w latach 1861–1925. Wsławił się on np. twierdzeniem, że człowiek nie jest najmłodszym gatunkiem na Ziemi, lecz najstarszym, uczestnictwem w Zakonie Świątyni Orientu, okultystycznym towarzystwie znanym z praktyk magii seksualnej, oraz założeniem w 1903 r. pisma zatytułowanego „Luzifer".

Zwolennicy szkół steinerowskich zachwycają się ekologicznymi, drewnianymi zabawkami, bezstresowym wychowywaniem do wolności, nowoczesnością metody, uwrażliwianiem dzieci na przyrodę. W jednym z wywiadów opinię na ten temat wygłosił dr hab. Mirosław Szymański, prodziekan do spraw naukowych Wydziału Pedagogicznego UW: „W szkole steinerowskiej próbuje się rozum sprowadzić do roli służebnej wobec uczuć, intuicji, wobec »mistycznych« przeżyć, wobec docierania do »świata ponadzmysłowego«. Nie znamy niebezpieczeństw, do jakich może doprowadzić taki trening ukierunkowany na poznanie ponadzmysłowe. Jeżeli podróże we własną psychikę czy »w głąb czasu« organizuje się na zajęciach szkolnych... to może mieć naprawdę

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 88714e0595



daleko idące skutki dla psychiki młodego człowieka".

Szkoły i przedszkola steinerowskie często ukrywają, że bazują na antropozofii, która jest jedną z odmian ezoteryzmu. Eksponuje się natomiast modne hasła: ekologia, twórczość, wolność. Okazuje się jednak, że antropozofia jest w tych szkołach nie tylko światopoglądem, lecz także metodą nauczania. Nawet rozkład dnia w szkole odpowiada steinerowskiej zasadzie antropocentryzmu. Reinkarnacja jest podstawową zasadą pedagogiki steinerowskiej. Nie ma więc mowy o neutralności światopoglądowej. Nauczycieli szkoli się na kursach, że wszystko, czym jesteśmy w danym wcieleniu, to wynik praw dziedziczenia oraz karmy. Nauczyciele mają eliminować negatywne skutki czynów popełnionych przez dzieci w poprzednim wcieleniu.

O skutkach stosowania pedagogiki steinerowskiej dużo mówi głośny przed kilkunastu laty przykład przedszkola w Luboniu. Jedna z matek wspomina: „Mój syn przez trzy dni udaje czasem psa lub kota. Szczeka i miauczy, i chodzi na smyczy". Rodziców zaniepokoiło dziwne zachowanie dzieci. „Na pytanie, co było w przedszkolu, dzieci odpowiadają krótko: »nic«" – mówi inna z matek. „Słuchały bajek o potworach i smoku, który zionął trującym zapachem i wówczas wyginęła cała ludzkość. Te opowieści powtarzane były przez miesiąc. Podczas opowiadania baśni paliło się kadzidełko i świece, a przecież dzieci boją się ciemności".

Dzieci uczyły się, że w grudniu będzie Okres Światłości zamiast Bożego Narodzenia. Bawiły się lalkami bez oczu. Po powrocie do domu mówiły, że są zmęczone, że niczego nie pamiętają. Rodzice spotkali się i okazało się, że w większości przypadków zachowania dzieci chodzących do przedszkola z programem bazującym na pedagogice Steinera są podobne.

Światopogląd steinerowski jest ukryty we wszystkich warstwach tej metody. Przyjęcie go wiąże się z odrzuceniem chrześcijaństwa i otwarciem się nawet na okultyzm. Stąd te dziwne zachowania. Dziecko udaje psa, mówi, że jest księżycem. Bardzo podobne efekty dają techniki od stuleci stosowane w okultyzmie, szamanizmie i różnych tradycjach magicznych. Wcielanie się w przedmioty, rośliny czy zwierzęta to jedne z podstawowych metod szamańskich. Celem takich działań jest depersonalizacja. Rozmycie granic osoby. Ułatwia to otwieranie się na rzeczywistość duchową. Na świat demoniczny.

W szkołach i przedszkolach steinerowskich jest stosowana eurytmia. Zespala ona mowę ludzką ze specjalnym układem gestów oraz ruchów tanecznych, ma przywracać człowiekowi zmysł harmonii. Oto świadectwo Bożenny. Wyjechała do niemieckiej szkoły eurytmii, mieszkała w internacie i poznawała tę zadziwiającą sztukę. Jak mówi: „W konsekwencji tych ćwiczeń uruchamia się pewne drzemiące w sobie siły, które łączą się z siłami biegnącymi z kosmosu. Jest to droga inicjacyjna – ścieżka, która ma prowadzić człowieka do doskonałości". Bożenna opowiada, że podczas spotkania wszystkich uczestników kursów następowało tzw. przekazywanie energii. Organizatorzy prosili, żeby stanąć do nich przodem i się na nich otworzyć. „Zastanowiło mnie to, bo wyglądało, jak gdyby ściągali od nas energię" – wspomina. „W tej szkole bardzo wiele osób czuło się źle; musiały wypoczywać, przechodziły ciągłe choroby. Kilka dziewcząt miało ostre zapaści psychiczne, leczyły się nawet w szpitalu".

W szkole eurytmii obowiązywał ścisły program wtajemniczania. Gdy się o coś pytało, nauczyciele odpowiadali: „Dowiesz się tego w następnym roku". Po dwóch latach dostawało się program indywidualny, czyli wiersz oraz muzykę do zeurytmizowania. Dziś Bożenna uświadamia sobie, że wiersz, który miała indywidualnie zeurytmizować, był jej wtajemniczeniem inicjacyjnym. Wówczas otworzyła się na świat duchowy. „W pewnym momencie miałam wrażenie, że opętało mnie jakieś zło, fatalna jakaś siła, która po prostu mnie niszczyła. Nie potrafiłam sobie z nią poradzić. Żadne ziemskie środki nie mogły mi pomóc, ani psychiatrzy, ani różne metody psychologiczne, które starałam się stosować, ani bioenergoterapeuci. Moja choroba trwała prawie trzy lata, czułam się coraz słabsza. Ostatniego roku właściwie przez cały czas leżałam w łóżku i chodziłam tylko małymi kroczkami po mieszkaniu. Przejście do toalety było dla mnie jak daleka wyprawa. Już nie szukałam ratunku. Chciałam umrzeć, bo ta sytuacja była bardzo męcząca, ale z drugiej strony myślałam, że skoro jest we mnie jakaś zła siła, najprawdopodobniej diabelska, to kiedy umrę, pójdę prosto do piekła. Myślałam, że ponieważ jestem zdrowa fizycznie, to będę umierała latami w strasznych cierpieniach, będę wegetowała jak roślina. Byłam jak w potrzasku".

Cierpienia Bożenny zakończyła jedna modlitwa. Jej problem nie był kwestią psychiczną – to było uzależnienie duchowe.

W jednej z książek krytykujących steineryzm wieloletni, nauczyciele szkół steinerowskich, którzy odwrócili się od tych metod, zgromadzili rysunki dzieci nauczanych w tych szkołach. Tworzą przerażające wrażenie: emanuje z nich smutek i agresja. Trudno się dziwić.

Steiner nie był pedagogiem, a jego koncepcje wychowawcze były dyletanckie. Większość twierdzeń pedagogiki steinerowskiej pozostaje w sprzeczności z ustaleniami współczesnej nauki i była jawnym anachronizmem już na początku XX w. Głównym zarzutem ludzi o światopoglądzie materialistycznym wobec szkolnictwa steinerowskiego jest ukrywanie przez te szkoły charakteru światopoglądowego oraz szerzenie przednowoczesnej wiedzy o świecie, co wprost wynika z powiązania steineryzmu z okultyzmem. Chrześcijanie dodają do tego otwieranie dzieci na świat demoniczny.

eprasa.pl 88714e0595

OGNIEM NA WPROST

Wojna nie matka, głód nie brach



Andrzej Rafał Potocki

Rozwiały się sny o paradzie w Moskwie z okazji Dnia Zwycięstwa i dronowo-rakietowym ataku na Pl. Czerwony. Ukraina zgodziła się na trzydniowy rozejm, by nie wyglądało, że Kijów dążył do eskalacji. Dużą rolę odegrały tu naciski Donalda Trumpa na Zełenskiego, który czuje, że Moskwa powoli zbliża się do decyzji o końcu wojny. Jednak stanowisko prezydenta USA wcale nie musi oznaczać, że tak się stanie. Po raz kolejny Kacap co innego obiecał, a co innego zrobił. Tzw. rozejm trwał trzy doby, a jedyną korzyść odnieśli Ruscy, którzy spokojnie przeprowadzili obchody, na froncie zaś wykorzystali przerwę w walkach do przegrupowania sił i atakowania cichaczem Sił Zbrojnych Ukrainy. Odnotowano 147 starć – poinformował ukraiński Sztab Generalny. Na kierunku pokrowskim obrońcy zatrzymali 28 szturmów rosyjskich wojsk. Na odcinku hulajpolskim doszło do 27 ataków na pozycje ukraińskie i miejscowości w sąsiedztwie. 30 ostrzałów zarejestrowano na kierunkach północno-słobożańskim i kurskim, w tym jeden z użyciem wyrzutni rakiet. Siły Powietrzne Ukrainy poinformowały natomiast, że w nocy z 9 na 10 maja, podczas obowiązywania ogłoszonego „zawieszenia broni", Moskal przeprowadził atak z użyciem 27 dronów. Wszystkie bezzałogowce zostały zestrzelone lub stłumione. Nie odnotowano żadnych trafień. Jak widać, nie po raz pierwszy słowem Kacapa można sobie wytrzeć gębę i dopóki bydła nie zagna się z powrotem do obory, będzie kopać i wierzgać kogo i gdzie popadnie.

Na szczęście przed defiladą na plecach Putina pojawiła się gęsia skórka. Takiej bryndzy w Dniu Zwycięstwa nie było od czasu wielkiej parady w 1945 r. Zero czołgów, zero rakiet, zero pojazdów bojowych. A i na trybunach pusto. Jedynym, który dotarł na Pl. Czerwony, był kierownik Serbii, ale oni zawsze darzyli Moskwę chorą miłością. Zabrakło nawet weteranów z II wojny światowej, w otoczeniu których uwielbiał się pokazywać Władimir Władimirowicz. Sorry, pojawił się jeden dziadyga i eta wsio. Zamiast popisów pancernej potęgi puszczono film z manewrów, bo na polu walki nie ma się czym chwalić. Nie trzeba było ukraińskich rakiet i dronów, by popsuć Moskalom defiladę. Jak doda się do tego fakt, że wiosenna kampania Kremla poniosła porażkę, zanim się zaczęła, to z Kacapami rzeczywiście może być coś nie tak. Jako podsumowanie Putin oraz jego rzecznik Pieskow stwierdzili, że wojna ma się ku końcowi. Co to dokładnie znaczy – oczywiście nie wyjaśnili, ale do tej pory nie opowiadali takich rzeczy.

Powstaje pytanie, w co będzie grać Putin i jego kamanda, jak skończą wojnę na Ukrainie. Otóż na początku tej pełnoskalowej fazy konfliktu Kreml przekazał Zachodowi dwa dokumenty. Putin powiedział wtedy: podpiszcie to albo będą inne środki. Innymi słowy: podpiszcie albo będzie wojna. W tych dokumentach Putin bardzo jasno napisał, czego chce. Pragnie odbudować coś na kształt dawnej strefy kontrolowanej przez Związek Sowiecki i Układ Warszawski. I po co tu zgadywać, skoro sam kierownik Kremla powiedział to jasno. Według ekspertów, np. gen. Philipa Breedlove'a, najwyższego dowódcy sił NATO i USA w Europie w latach 2013–2016, od momentu zakończenia wojny na Ukrainie Federacja Moskiewska jest w stanie w pięć lat odbudować swoją armię i być gotowa do najazdu na nasz kraj. I tu mamy kolejne pytanie, na które sami musimy sobie odpowiedzieć. Czy opłaca się nam szybki pokój na Ukrainie?

Benedykt Andruszczyszyn, syn Jana i Weroniki, urodził się 16 kwietnia 1996 r. na Podolu, w miejscowości Gwardyjskie (nazwa historyczna miejscowości – Felsztyn, zmieniona za czasów ZSRS), rejon miasta wojewódzkiego Chmielnicki. Wychował się w polskiej, katolickiej, wielodzietnej rodzinie, kultywującej chrześcijańskie wartości. Był szczęśliwym mężem oraz kochającym ojcem dwojga małych dzieci. W metryce miał wpisane, że matka i ojciec są Polakami. Żona Benedykta Sniżanna także ma polskie korzenie. Siostra mieszka w Toruniu. Według Biura Prasowego Legionu Polskiego Benedykt Andruszczyszyn poległ na polu chwały, walcząc przeciwko Moskwie. Uroczystości pogrzebowe śp. Benedykta Andruszczyszyna odbyły się we wtorek 12 maja o godz. 11.30 w kościele parafialnym pw. św. Wojciecha, konsekrowanym w intencji Konstytucji 3 maja, w jego rodzinnej miejscowości Felsztyn. Spoczął w ziemi przodków. Cześć jego pamięci! Niech mu ziemia lekką będzie.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 88714e0595

***Michał Korsun prezentuje:* Sprawa Zondacrypto śmierdziała Tuskowi „od początku”**



Wycinki z przeszłości

W 1935 r. „Express Mazowiecki” opisywał zbiorową gorączkę wokół rzekomych objawień Matki Boskiej w Suchożebrach pod Siedlcami. Według gazety dwie pastuszki twierdziły, że widziały Maryję na torfowisku. Dziewczęta „co wieczór zdążają wraz z tłumem wioskowym do słupka z obrazkiem i popadając w stan dziwnego drżenia, wskazują na niebo”. Duchowieństwo uznało sprawę za efekt „histerii i skłonności do halucynacyi”.

(sp)


EXPRESS MAZOWIECKI

Koncesja abisyńska anulowana?

Jaką niespodziankę wymyślił dla świata Liga Narodów

Negus zarządził mobilizację

Duchowieństwo potępia

objawy zbiorowej histerji

DZIS 12 STRON

Z WOLEJA

Lara, Monica, pijak, Rubikon



Ryszard Czarnecki

Z Włoszką Larą Magoni, wicemistrzynią świata w narciarstwie alpejskim (z końca XX w.), i jej rodakami zwiedzam historyczny zamek w Trokach niedaleko Wilna. Przewodnik bredzi o „polskiej okupacji”. Opowiada farmazony w mieście, w którym przed II wojną światową, gdy ziemie te były częścią państwa polskiego, nie mieszkał żaden Litwin. Przyjaciołom z Italii mówię o ich polskiej królowej, Bonie Sforzy, i pokazuję polskie herby, polskie nazwiska, polskie monety świadczące o tym, że Polska była tu od wieków.

Signora Magoni to jeden z wielu przykładów sportowców, którzy przeszli Rubikon i znaleźli się w świecie polityki. Niedawno w parlamencie Rumunii – jednym z dwóch największych budynków administracji państwowej na świecie (obok amerykańskiego Pentagonu) – mistrzyni Europy w skoku wzwyż Monica Iagăr (też z końca ubiegłego wieku) zapytała mnie, czy pamiętam, kiedy widzieliśmy się pierwszy raz. Zdałem egzamin, bo powiedziałem, że w mieście Jassy, które przez krótki czas było nawet stolicą Rumunii.

Lara należy do prawicowej Fratelli d’Italia, rządzącej Włochami, a Monica do również prawicowego AUR, ale opozycyjnego wobec rządu w Bukareszcie. Pierwsza jest europosłanką, a druga posłem do parlamentu narodowego.

Wielu ludzi świata sportu stara się przejść do świata polityki. Niektórym się nie udaje, jak naszej mistrzyni olimpijskiej i rekordzistce świata w pływaniu Otylii Jędrzejczak, która bezskutecznie startowała z PO do Parlamentu Europejskiego czy piłkarzowi Wisły Kraków Maciejowi Żurawskiemu, który też nie dostał się do PE z listy Lewicy. Inni byli bardziej cierpliwi, jak trener skoków narciarskich Apoloniusz Tajner – bez skutku startował do europarlamentu z listy PSL, ale potem z KO dostał się do Sejmu RP. Mało kto pamięta, że legendarny trener piłkarski, złoty i srebrny medalista olimpijski oraz zdobywca pierwszego medalu dla Polski na mundialu, Lwowiak Kazimierz Górski, startował do Sejmu z list Samoobrony i... nie został wybrany! Za to w pierwszych latach III RP pięściarze szturmem wzięli izbę niższą polskiego parlamentu: Jerzy Kulej („Przepraszam, czy tu biją?”) został posłem lewicy, a czterokrotny mistrz Europy Zbigniew Pietrzykowski – posłem z zapomnianego już prowałęsowskiego BBWR. O tym drugim, skromnym i cichym zdobywcy największej liczby złotych medali mistrzostw Starego Kontynentu w historii polskiego boksu, mówiło się, że chciał pójść do sejmowej komisji sportu, a trafił do transportu, chciał być też w komisji łączności, a wybrano go... do komisji łączności z Polakami za granicą.

Uskuteczniam „rok miłosierdzia”, a więc nie ujawnię nazwiska obecnego posła-sportowca, o którym jego wybitny trener, a mój serdeczny kolega, opowiadał, że potrafił pić całą noc, a następnego dnia był najlepszy w swojej konkurencji. Posłem niestety jest słabym.

eprasa.pl 88714e0595



OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Rozmiar kapelusza

Musimy uniknąć pułapki samopotwierdzającej się przepowiedni typu: Polska to nie jest kraj dla wielkich. Bo przecież Polska to Wielki Projekt

Czy wielki projekt infrastrukturalny, jakim jest Centralny Port Komunikacyjny, ma – poza aspektem technicznym – jakiś wymiar symboliczny?

To pytanie nasunęło się nam, gdy przypomnieliśmy sobie uwagę doświadczonego trenera liderów, że w Polsce osoby bardzo utalentowane – z naciskiem na „bardzo" – często nie znajdują przestrzeni dla swego, idącego szybko w górę, rozwoju zawodowego.

BRAIN DRAIN

Ktoś powie, że dotknęliśmy tu starego problemu drenażu mózgów: kraje bogatsze i lepiej zorganizowane stale uciekają do przodu, bo podbierają talenty krajom słabszym– a bez ludzi utalentowanych biedniejsze państwa nie mają jak zmniejszyć dystansu cywilizacyjnego.

Jednocześnie – jak pokazują niektóre dane – z tym drenażem w przypadku Rzeczypospolitej wcale nie jest najgorzej. W dodatku nawet kraj tak bogaty jak Niemcy nie jest w stanie zatrzymać swoich talentów odpływających do USA (a niebawem pewnie do Chin).

Nie sposób też zignorować, że po 1989 r. weszliśmy w okres dynamicznego wzrostu: poziom życia wielu Polaków bardzo się poprawił, a ten skok rozwojowy symbolicznie przypieczętowało niedawne zaproszenie do rozmów w gronie G20.

Nie musimy przyjmować jednostronnego negatywnego obrazu sytuacji, że w polskiej gospodarce, sztuce, nauce i kulturze ludzie utalentowani nie mają za wiele pól do popisu, ale...

WYJĄTKOWO UTALENTOWANI

Bolejemy jednak, gdy widzimy, że wyszkoleni na polskich uczelniach laureaci międzynarodowych olimpiad matematycznych i informatycznych pracują na rzecz zagranicznych korporacji. Tu flagowym przykładem jest grupa Polaków współtworzących sztuczną inteligencję w firmie OpenAI, twórcy słynnego czatu GPT.

Pewnie wszyscy byśmy chcieli, aby nawet ci hiperutalentowani, na pograniczu geniuszu, mogli się spełniać, pracując dla Polski. Często jednak tak nie jest. Dlaczego?

Odpowiemy poprzez kontrapunkt. Weźmy cztery znane postacie: Elon Musk, Jeff Bezos, Demis Hassabis, Sam Altman. Odróżnia ich od nas (szaraków z dość umiarkowanym pakietem talentów) cała lista cech charakteru i umiejętności. Ale jest coś szczególnego, co ludzi tego kalibru łączy – i to właśnie na tę jedną rzecz warto spojrzeć.

WIELKA SKALA

Typowe dla tej czwórki jest myślenie i działanie w wielkiej skali. Oczywiście wiemy, że skala myślenia to tylko jeden z czynników, równie ważne są kapitał, instytucje i kultura ryzyka. Ale...

W Polsce rzeczywiście istnieją bariery, które sprawiają, że część superambitnych i kreatywnych ludzi wyjeżdża, by uczestniczyć w dziełach, których rozmach odpowiada ich wyobraźni. Choć i u nas są obszary, w których można robić rzeczy światowego poziomu. Problem chyba polega bardziej na skali ekosystemu niż na całkowitym braku możliwości.

Powiedzmy tak: w naszym kraju brakuje kultury budowania dużych rzeczy. Wiąże się z tym ciekawy paradoks – Polska często bardzo dobrze produkuje talenty techniczne i kreatywne, ale słabiej buduje wokół nich „maszyny wzrostu", pozwalające na tworzenie gigantycznych przedsięwzięć.

Czyli problem istnieje, ale bardziej jako: „trudniej tu budować rzeczy absolutnie największego kalibru".

W tej perspektywie głosy krytyczne wobec CPK, ostrzegające przed naszą rzekomą gigantomanią, a niebiorące pod uwagę rzeczywistej skali polskiej gospodarki, brzmią żałośnie. Sądzimy, że tam, gdzie nie były to głosy cyniczne, to psychologicznie stanowiły raczej przejaw mikromanii.

WIELKI PROJEKT

Projekty wielkiej skali tworzą środowisko dla ludzi myślących wielkoskalowo. Jeśli chcemy mieć satysfakcję ze swojego kraju, musimy śmiało projektować nowe przestrzenie – te materialne i te symboliczne.

Te pierwsze to finansowanie, instytucje, infrastruktura, dostęp do projektów na poziomie światowym. Te drugie to twórcza autonomia, szacunek dla wyobraźni bez granic, szanse na wielkie uznanie, na wysoki status społeczny.

Niechaj rozmach działania jednych przyciąga i rozwija talenty innych. Koniecznie musimy uniknąć pułapki samopotwierdzającej się przepowiedni typu: Polska to nie jest kraj dla wielkich. Bo przecież Polska to Wielki Projekt.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 88714e0595

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 88714e0595



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 88714e0595